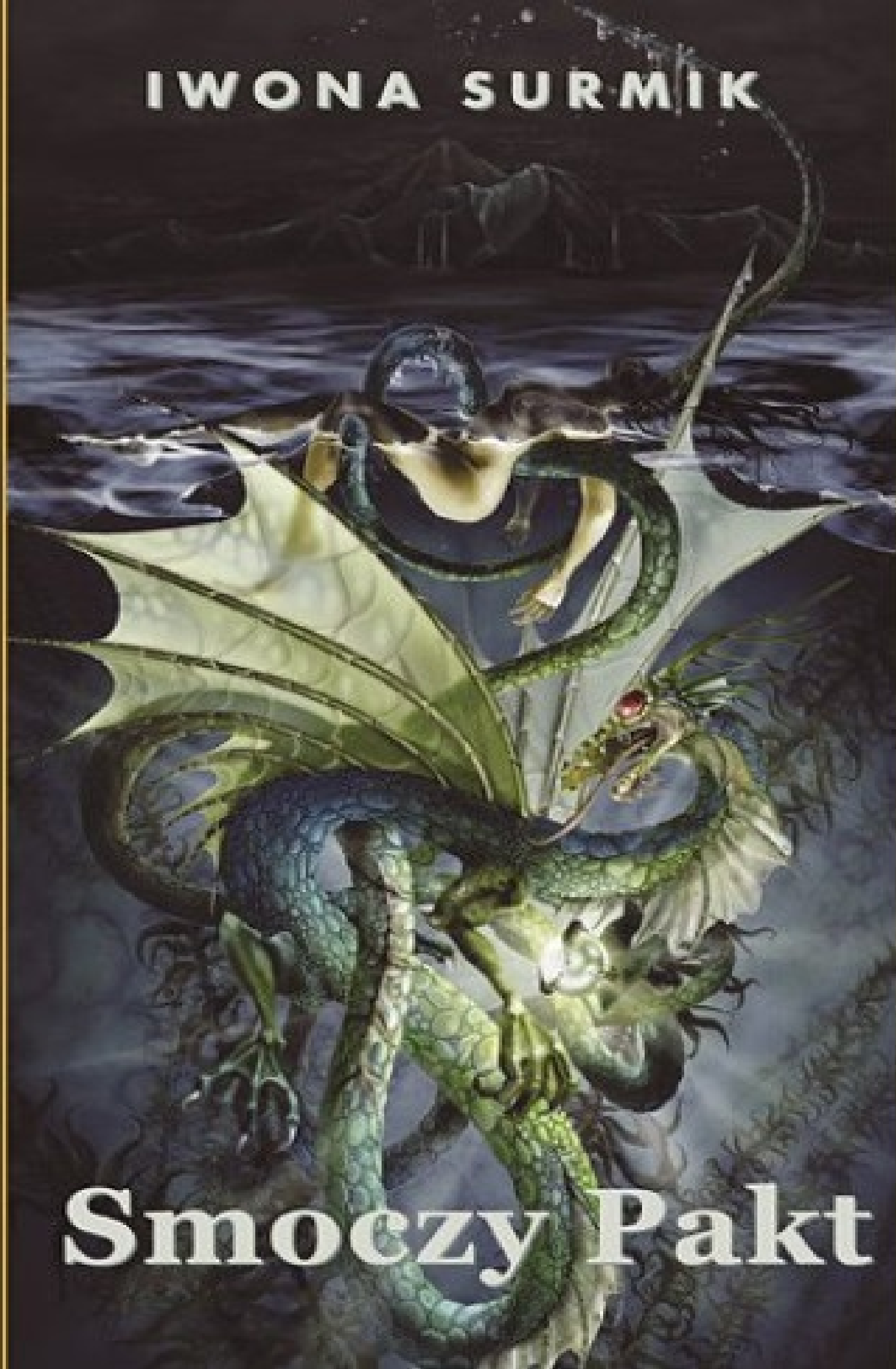




IWONA SURMIK



Smoczy Pakt

IWONA SURMIK

SMOCZY PAKT

CZEŚĆ PIĄTA: PRZEPRAWA

Las, przez który posuwała się mała kawalkada jeźdźców, zaczął rzednąć. Bujna trawa, mchy i paprocie ustąpiły rzadkim porostom, potężne dęby i buki zniknęły. Teraz przeważały karłowate jałowce i namrozy, drzewa, których pokryte pyłem korzenie wystawały nad ziemię jakby gotowe do natychmiastowej ucieczki. Pod końskimi kopytami dźwięczała skała, a pośród szumu liści coraz głośniejszym brzmiał głos toczącej wartko wody Rzeki Czerwonej.

Podróżni – czterech mężczyzn w spłowiałych mundurach, kobieta, której włosy lśniły intensywną czerwienią, i chudy wyrostek – zatrzymali się na skraju wąwozu. Zdumieli się grozą i pięknem widoku, jaki rozpościerał się u ich stóp. Czerwona niczym krew rzeka płynęła w głęboko wydrążonym korycie, pieniając się wokół skalnych progów. Ściany kanionu pokrywały zielone mchy i płożąca się bylina przywodząca na myśl wydzierganą pracownicę koronkę. Rośliny kołysały się majestatycznie, siejąc krople połyskującej w promieniach słońca wody. Wszystko było otulone zasłoną lekkiej mgły, która unosiła się nad kipiela.

– Woda wygląda jak krew – szepnął Jarik.

– Barwi ją żelazo. W górze rzeki są kopalnie rudy – wyjaśnił Cal. Patrzył nie w dół, lecz na przeciwległy brzeg, za którym zaczynały się Równiny. – Zatrzymamy się tu na noc, przeprawa zajmie nam cały dzień.

– Którędy przejdziemy? – spytał Stevar, wypatrując brodu.

– Przed wodospadem jest podwodny wał. Będziemy musieli zostawić konie, nie dadzą rady zejść na dno wąwozu.

– Mamy iść przez Marth pieszo? – zdziwił się Niedźwiedź.

– Mogłabym... – zaczęła Albana.

– Nie – przerwał jej ostro Calmin. – Dość tych kuglarskich popisów. Masz się zachowywać jak normalny człowiek.

Kobieta odwróciła poczerwieniałą twarz. Nie zamierzała pokazywać, jak głęboko zraniły ją te słowa. Skinęła na Jarika i oboje poszli nazbierać chrustu na ognisko.

Słońce jeszcze nie zaszło, kiedy juki były przepakowane, a w kociołku bulgotała zupa. Tylko Calmin ciągle grzebał w sakwach, zastanawiając się, czy aby spakował wszystko, co może być im potrzebne. Nie mieli ze sobą wiele dobytku, dlatego każda z rzeczy wydawała się niezbędną.

– Skąd wiesz o przeprawie? – spytał go Stevar, dłubiąc w zębach złamaną gałązką.

– Szedłem już tamtędy – mruknął Jeździec. – Mój klan obozował niedaleko Grzbietu Valse. Do dziś pamiętam lanie, jakie sprawił mi Falkalas.

Cień uśmiechu przewiął się przez jego surową twarz na wspomnienie owej szalonej eskapady, ale kiedy Cal napotkał spojrzenie zielonych oczu, sposepniał na nowo. Porzucił tobołki, owinał się derką i ułożył tyłem do ognia. Spędził w siodle prawie cały dzień, lecz nie mógł zasnąć. Słyszał chrapliwy głos Albany, basowe dudnienie spierającego się z nią

Niedźwiedzia i chichot Jarika. Ten radosny śmiech chłopca, którym opiekował się tak długo, wzbudził w nim poczucie urazy. Jarik mocno przywiązał się do jego żony, towarzyszył jej nieustannie, spełniał niewypowiedziane życzenia, usługiwał. Towarzystwo Albany dobrze wpłynęło na nieśmiałego wyrostka. Nabrał odwagi, odzywał się częściej, a nawet śmiał się, jak przed chwilą.

Do chłopięcego dyszkantu przyłączyły się głosy braci i Trevora, potem zarechotał Stevar. Jeździec naciągnął derkę na głowę, jakby chciał odgradzić się od tej wesołości. Wreszcie zasnął ukołysany monotonnym szumem rzeki.

Obudził się pośród najgłębszych ciemności, przerażony, zlany potem. Po drugiej stronie wygasłego ogniska jęczała śniąca swój koszmar Albana. Długą chwilę zajęło Calowi uświadomienie sobie, że te odgłosy nie należą do jego snu, lecz są rzeczywiste. Już miał wstać, obudzić ją, gdy nagle ucichła. Obrócił się, by widzieć jej posłanie. Leżała spokojnie, z dłońmi zaciśniętymi na sakwach. Na powrót przymknął oczy, ale sen nie przychodził.

Podniósł się wreszcie, odrzucając mokrą od rosy derkę, obszedł obóz, nakrył Jarika i pochylił się nad żoną. Księżyc oświetlił jej twarz, nadał srebrzystego blasku skórze. Przyptyw pożądania był tak silny, że prawie odebrał mu oddech. Już wyciągnął dłoń, żeby zerwać z niej koc, wtulić się w miękkie ciało... Powstrzymał się w ostatniej chwili. Wrócił ze złością na swoje posłanie. Od wyjazdu z Celebonu trzymał się od Albany z daleka, lecz wystarczała jedna chwila, spojrzenie, przypadkowy dotyk, żeby rozpalić w nim ogień.

Kobieta jakby nie zauważała jego udręki, choć i ona unikała go wyraźnie. Miał o to żal, tak samo jak był zazdrosny o każdy uśmiech, który ofiarowywała Jarikowi, rozmowy z braćmi, niekończące się sprzeczki ze Stevarem. Sam nieustannie ścigał ją wzrokiem, a kiedy napotykał jej spojrzenie, odwracał się ze złością. Stał się drażliwy, oschły, nie żartował jak dawniej, tylko wydawał rozkazy, poganiając wszystkich i strofując bez ustanku. W chwilach takich jak ta zadawał sobie pytanie, dlaczego z nią nie pomówi, nie przytuli jej albo chociaż nie pociągnie za rudy warkocz, i nie umiał znaleźć odpowiedzi. Może czuł żal, że znów zmieniła jego życie, a może wspomnienie czerwonowłosej dziewczyny, które nosił w sercu, różniło się od postaci z krwi i kości. Gdzieś w zakamarkach duszy tkwił też lęk przed obrazem zwężonych źrenic i rozdętych nozdrzy z lubością wdychających odór śmierci.

Ten widok nawiedzał go w snach, podobnie jak wspomnienie zniekształconych ciał Obdarowanych. W nocnych koszmarach widział rozpadające się truchła, słyszał brzęk monet toczących się po kamiennej podłodze i uwięziony w starożytnych murach jęk niewypowiedzianej męki. Czy jego żona śniła to samo?

Pyzaty miesiąc zniknął, ciemności rozświetlały jedynie zimne ogniki gwiazdozbiorów. Nad Równinami tkąła swe sieci Pajęczycy, na prawo od niej nie ustawał w wiecznej pogoni Myśliwy, a trzy małe gwiazdki ułożone w linii prostej tworzyły Strzałę, którą właśnie wypuścił. Tuż nad horyzontem jaśniała słabym jeszcze blaskiem Gwiazda Valsala – Letnia Gwiazda. Gdy załśni w zenicie, wyznaczy czas letniej równonocy, magicznej pory, kiedy dwie połowy, dzień i noc, połączą się w idealnej harmonii.

Powiał wiatr, na chwilę rozzarzył przysypane popiołem polana, przyniósł ze sobą aromat kwiatów i ziół, przypomniał o czekających rankiem trudach. Calmin westchnął. Następny wieczór miał spędzić na Równinach, w domu. Wcześniej zignorował pytanie Stevara, jednak i on martwił się, jak przebrną przez Marth i, co ważniejsze, jakie przyjęcie zgotują im Jeźdźcy. Jego pobratymcy byli przyjaźni i gościnni, ale nie mieli litości, gdy ktoś zawiódł ich zaufanie.

– Tak jak ja... – szepnął do swoich myśli.

Mimo wszystko wolał ryzykować przeprawę przez Równiny, niż jechać do Bramy Karła. Zbyt dużo było po drodze osad, za wielu kapłanów kręciło się po gościńcach, żeby mogli czuć się bezpiecznie.

Rzeka szumiała monotonie, uspokajająco, niczym trawy Równin w porannym wietrze. Gdzieś z zakamarków pamięci wyłoniły się słowa piosenki, którą często nuciła matka:

Czy słońce świeci czy deszcz pada, pędzą stada.

Czy śnieg sypie czy zieleni się trawa, pędzą stada.

Niech wiatr rozwiewa grzywy, niech deszcz skórę schładza, pędzą stada.

Te słowa przyniosły mu ulgę, ukołysały wreszcie do snu.

Ścieżka była tak wąska, że można było po niej iść tylko bokiem, szorując ciałem po skale. Rośliny, do tej pory malowniczo ubarwiające krajobraz, teraz utrudniały wędrówkę. Wiotkie łodygi nie dawały oparcia rękom, a nasiąkły wodą mech sprawiał, że buty ślizgały się na ledwo widocznej dróżce.

Pierwszy szedł Calmin. Ostrożnie stawiał stopy, zastygał w bezruchu, gdy drobne kamyki staczały się w dół miniaturową lawiną. Za nim posuwali się bracia, Stevar, Jarik i Trevor – blady, spocony, drżący. Ostatnia szła nawykła do górskich wędrówek Albana. Mimo że wyruszyli o pierwszym brzasku, a teraz słońce stało prawie w zenicie, dno kanionu ciągle wydawało się równie odległe. Tylko rzeka szumiała coraz bardziej ogłuszająco, a wodny pył przemoczył odzienie. Wreszcie dróżka zrobiła się szersza i wszyscy przystanęli, zapatrzeni na krwistoczerwoną rzekę, która burzyła się u ich stóp.

Ścieżka kończyła się płaskim skalnym występem. Zatrzymali się na nim zadyszani, obolali, z rękami krwawiącymi od otarć i siniaków. Trevor usiadł oparty o kamień i rozkoszując się jej twardym dotykiem, starał się uspokoić skrecony w supeł żołądek.

Cal mówił coś, wskazując na rzekę, ale słowa zagłuszył szum wodospadu. Nachylił się więc i wrzasnął wprost do ucha Stevara:

– Pójdę pierwszy i wezmę linę!

Niedźwiedź uniósł rękę, jakby miał się popukać w czoło, lecz spojrzał w górę, na ścieżynę, którą przyszli, i tylko westchnął. Odwiązał linę, którą był opasany, i podał koniec przyjacielowi. Cal ściągnął buty, wepchnął je do tłumoka niesionego na plecach, przewiązał się sznurem i stąpając ostrożnie po kamieniach, wszedł do wody. Była przeraźliwie zimna, a wartki nurt prawie podciął mu nogi. Balansował chwilę, nim odzyskał równowagę i ruszył w stronę przeciwległego brzegu. Jego towarzysze z zapartym tchem obserwowali, jak brnie naprzód zanurzony do pasa, a Stevar popuszczał łagodnie linę, uważając, by nie ściągnąć go z wału.

Droga musiała być łatwiejsza, niż wydawało się patrzącym z brzegu, bo po niedługim czasie Jeździec stanął bezpiecznie na bliźniaczej skalnej platformie po drugiej stronie. Widzieli, jak siada na kamieniach i rozciera stopy, a potem raczy się gorzałką, by rozgrzać skostniałe ciało, pobudzić krew. Wstał wreszcie i zamachał rękami na znak, że jest gotów.

Stevar wskazał na Jarika i Briana. Obaj wzorem Cala zzuli buty i trzymając się sznura, weszli do rzeki. Po nich przyszła kolej na Dougha i Albanę. Wreszcie na brzegu pozostał tylko Stevar i Trevor.

Niedźwiedź ponaglił kompana ruchem głowy, ale Trevor zamachał odmownie rękami.

– Idź – wrzasnął Stevarowi do ucha. – Jesteś zmęczony, ja potrzynam linę.

Nie sposób się było spierać pośród ogłuszającego łoskotu, od którego bolała głowa i

szumiało w uszach. Niedźwiedź skinął głową, załadował sobie na grzbiet resztę tobołków i ruszył w kipiela.

Podwodny wał był na tyle szeroki, żeby swobodnie stawiać stopy i przeprawa byłaby całkiem łatwa, gdyby nie to, że wartki prąd zbijał z nóg, a woda była mętna i lodowato zimna. Kiedy dobrnął do brzegu, wydawało mu się, że zamiast nóg ma dwa pozbawione czucia kloce.

Teraz Trevor opasał się śliskim, nasiąkniętym wodą sznurem i zanurzył się w rzece. Wolał iść ostatni, bo bardziej od innych odczuł skutki morderczego marszu. Bał się wysokości i wędrówka skalną drożyną wyczerpała jego siły. Teraz szedł powoli, uważając, by nie stracić równowagi. Przebrnął już niemal połowę drogi, kiedy nagle pośliznął się na kamieniach. Zamachał gwałtownie rękami, a opasująca go lina naprężyła się niebezpiecznie. Nie dostrzegł kłody, która pędziła wraz z nurtem. Chwiał się jeszcze, kiedy kawał drewna, prawie niewidoczny wśród czerwonych fal, zbił go z nóg. Spadł z Grzbietu Valse wprost w kipiela, nim stłoczeni na brzegu towarzysze zdążyli zrozumieć, co się stało.

Trzymający linę Dough napiął mięśnie, gdy poczuł gwałtowne szarpnięcie. Brian i Stevar pomogli mu ją utrzymać, a Cal wychylił się niebezpiecznie, usiłując poprzez unoszącą się nad wodospadem mgłę dojrzeć Trevora.

Sznur poluzował się na chwilę. Mężczyźni pociągnęli go z całych sił i przewrócili się na skały. W rękach pozostał im przetarty strzęp. Calmin oprzytomniał. Był już w wodzie, kiedy poczuł na rękawie drobną dłoń Jarika. Chłopak miał oczy pełne łez.

– Nie żyje – powiedział.

Ciche słowa nie przedarły się przez łoskot rzeki. Nie musiały. Cal zrozumiał. Odwrócił się i spojrział na toń. Kłoda, która powaliła Trevora, tańczyła w wodnym wirze, odbijając się od kamieni. Brian i Dough opuścili smętnie głowy. Stevar bezmyślnie wpatrywał się w kawałek liny, którą wciąż trzymał w poranionych dłoniach.

– Musimy iść! – wrzasnął Jeździec. – Niedługo się ściemni.

Droga w górę stanowiła nieprzerwane pasmo udręki. W zapadającym zmroku trudno było właściwie ocenić odległości i odróżnić skalne kształty. Bez przerwy ktoś się potykał, kamienie usuwały się im spod stóp. Zziębnięci, mokrzy od potu, z bolącymi mięśniami i otartymi stopami stanęli wreszcie na pokrytej nocną rosą trawie Równin Marth. Sił starczyło im ledwo na to, by trochę oddalić się od krawędzi przepaści. Potem usiedli ciężko. Nie rozbili obozu, nie wystawili wart. Zasnęli tam, gdzie siedli, kamiennym snem śmiertelnie zmęczonych ludzi.

Cal obudził się nagle, czując zimne ostrze na gardle. Otworzył oczy i ujrzał nad sobą nadnaturalnie wysoką postać Jeźdźca Równin. Poranny wiatr rozwiewał mu długie, związane na czubku głowy włosy, kolorowe ubranie przypominało strój jarmarcznego błazna. Calmin zerknął w stronę swoich towarzyszy. Obok każdego czały się groźne sylwetki.

– Kim jesteście i czego szukacie na Równinach? – spytał groźnie Jeździec.

– Czy obyczaj się tu tak bardzo zmienił, że goście wita się mieczem? – odpowiedział pytaniem Calmin, patrząc wprost w czarne oczy pobratymca.

– Jeśli ktoś zakrada się jak złodziej, traktowany jest jak złodziej – warknął Jeździec. – Coście za jedni?

Fen zdecydowanie odsunął ostrze i wstał.

– Jestem Calmin, syn Dalali z klanu Fen. Kobieta jest moją żoną, pozostali to przyjaciele.

– Nie wyglądasz jak Jeździec. – Pytający rozciągnął usta w niemiłym uśmiechu. Z pogardą patrzył na poszarpany przy wspinaczce kaftan, przekrwione oczy, poranione dłonie. – Gdzie

twoje stada, namioty? Nawet jeśli kiedyś byłeś Jeźdźcem, już nim nie jesteś.

Calmin zbladł.

– Nie tobie mnie sądzić – wycedził. – Wytłumaczę się przed wodzem i Radą, nie przed tobą, pastuchu.

Jeździec znów przyłożył mu miecz do gardła, przecinając skórę. Strużka krwi pociekła Calowi za koszulę. Albana poruszyła się niespokojnie.

– Wystarczy, Balal.

Niemłody mężczyzna – o włosach oprószonych siwizną – stanął obok Jeźdźca. Miał wzrost karła, zbyt długi tułów i pałakowate nogi. Mimo nikczemnej postury miał silny, nawykły do wydawania rozkazów głos. Wojownik nazwany Balalem niechętnie opuścił oręż, lecz wściekłe spojrzenie zapowiadało, że to nie koniec zwady.

– Jestem Malas, starszy klanu Kevat. Nie odmówię ci prawa wstępu na Równiny, Calminie z klanu Fen. Co do twoich towarzyszy...

Obrzucił uważnym spojrzeniem lśniące w porannym słońcu włosy Albany i haftowany na żołnierskich kaftanach wizerunek jastrzębia.

– Ręczę za nich – powiedział stanowczo Calmin.

Starszy skinął głową.

– Gotujcie się do drogi, niedaleko stąd jest nasz obóz. Wierzę, że masz powody, by wracać do domu taką drogą. Nie moja rzecz o tym sądzić, ale broń musicie oddać w nasze ręce.

Cal, choć na pozór spokojny, w duchu przeklinał swego pecha. Malas, jako starszy, brał udział w wyborze kandydatów na wodza, obserwował ich zmagania i był świadkiem haniebnej porażki klanu Fen. Teraz potraktował go jak wyrzutka, banitę, z którego nie można spuścić oczu.

Choć policzki poczerwieniały mu od nabiegłej krwi, odrzucił do tyłu warkocz i wyprostował się dumnie. Słyszał za plecami ciężki oddech Stevara, widział wpatrzone w siebie oczy Briana i Dougha.

Daj tylko znak, wodzu, zdawali się mówić.

Jeźdźcy wyczuli napięcie i sprężyli ciała w oczekiwaniu na atak.

Calmin odetchnął głęboko. Nie chciał wszczynać zwady, zwracać się przeciwko pobratymcom. Odpasał miecz, zdjął z pleców łuk i rzucił go pod nogi starszemu.

– Możesz przechować naszą broń – powiedział. – Odbierzemy ją, kiedy nadejdzie stosowna chwila.

Żołnierze niechętnie złożyli oręż, otaczający ich wojownicy opuścili miecze. Napięcie zelżało.

Jeźdźcy podzielili się na dwie grupy. Jedna oddaliła się poza skalny nawis i niewidoczna zaległa w trawie, druga, pod wodzą Malasa, dosiadła koni i wzięła na siodło braci i Jarika. Calowi i Albanie dostał się wspólny wierzchowiec, Stevar jechał sam.

Usłany odłamkami skał teren wkrótce ustąpił miejsca równinie. Harmonii krajobrazu nie burzyły zarośla, nie widać było drzew tylko morze traw kołyszących się z szelestem w lekkich podmuchach wiatru. Pomiędzy żdzblami rozkwitały stokrotki, maki i chabry tworzące barwne mozaiki na tle soczystej zieleni. W powietrzu, niczym obłok, unosił się biały puch dmuchawców.

Albana chłoneła te obrazy całą swoją istotą. Oszalałymi ją kolory, z lubością wdychała aromat ziół i kwiatów, nasłuchiwała szumu traw i brzęczenia niezliczonej masy owadów krążących pomiędzy pąkami. Krzyknęła z zachwytem, kiedy w powietrze uniósł się róż

barwnych motyli, a słońce wydobyło pomarańczowo-żółte refleksy z delikatnych skrzydeł. Piękno wokół wyciszyło jej lęki, ukojiło żal po śmierci Trevora i gniew, który ogarnął ją nad urwiskiem, pobudziło zmysły. Czowała siłę otaczających ją męskich ramion, ciepły oddech na szyi, bicie serca. Wtuliła się mocniej w objęcia Cala, odwróciła twarz, żeby podzielić się z nim radością.

– Nie kręć się – warknął Jeździec. – Przyniesiesz mi wstyd, jeśli spadniesz.

Pełen złości ton męża stłumił radość, przypomniał urazę. Czy ten pochmurny mężczyzna to rzeczywiście jej małżonek, o którym marzyła nocami? Gdzie podziały się zachwyt i czułość, z jaką patrzył na nią przed laty? Czy miał do niej żal, że tak gwałtownie odmieniła jego życie, zburzyła obraz świata, do jakiego przywykł? Nie umiała zdobyć się na szczerą rozmowę, nie przywykła do dzielenia się myślami ani do okazywania uczuć, więc dusiła w sobie gorycz i wątpliwości, które ogarniały ją za każdym razem, kiedy napotykała jego spojrzenie. A skoro nie znajdowała akceptacji w oczach Calmina, szukała jej u pozostałych towarzyszy podróży. Jarik ofiarował jej swoje przywiązanie bez żadnych warunków, bez wątpliwości. Bracia, początkowo podejrzliwi, oswoili się z jej obecnością i zaaprobowali jako towarzyszkę podróży, dogadywała się nawet ze Stevarem, choć wiedli ze sobą nieustanne sprzeczki. Tylko Cal pozostawał daleki i obcy, jak w tej chwili.

Pograżona w myślach nie zważała na upływ czasu, przestała dostrzegać niezwykłą urodę pejzażu. Wróciła do rzeczywistości, dopiero gdy usłyszała śpiewny okrzyk Malasa. Stał w strzemionach i wskazywał grupę namiotów zagubionych pośród morza traw.

Obóz klanu Kevat był niewielki. Obszerne jurty z wyprawionych końskich skór ustawiono w okrąg. Jego środek wyznaczało najbardziej okazałe domostwo, na którego czubku powiewały haftowane proporce. Po zdeptanej trawie kręciły się kobiety zajęte codziennymi sprawami, a gromada nagich dzieci goniła łaciatego psa. Na widok zbliżającej się kawalkady wszyscy porzucili swe zajęcia i zbrali się na placu.

Jeźdźcy wjechali do obozu. Tarmosili czupryny wieszających się im na strzemionach dzieci, uśmiechali się do kobiet.

– Co to za gości nam sprowadziłeś? – spytał jeden ze zgromadzonych mężczyzn, rzucając kose spojrzenie na obcych.

Malas machnął ręką.

– Dużo by opowiadać. Zdrożeniśmy i konie trzeba oporządzić. Camala, jeść! – krzyknął.

Niska, pulchna kobieta z dzieckiem wspartym na biodrze uśmiechnęła się na powitanie. Starszy zsiadł z konia, odebrał jej dziecko i przytulił małą twarzyczkę do swej szorstkiej skóry. Niemowlę zamrugało w zdziwieniu niebieskimi oczkami, a kiedy ojciec uniósł je wysoko w górę, uśmiechnęło się radośnie, pokazując bezzębne dziąsła.

– To mój najmłodszy, Jedal – pochwalił się. – Te dwa basałki to Lival i Tekales. A gdzie Milla? Pokaż się, mój kwiatuszku.

Trzyletnia może dziewczynka wychyliła się z namiotu i podbiegła do ojca. Malas podniósł ją na drugą rękę i cmoknął w policzek. Córka obdarzyła go w zamian gorącym uściskiem i zaszczębiotała coś do ucha.

Camala tymczasem przygotowała poczęstunek. Do drewnianych czarek naląła kobyłego mleka, podzieliła wysuszony ser.

– Siądźcie, posilcie się – zaprosiła.

Stewar tylko na to czekał. Rozsiadł się na trawie i jednym haustem wypił mleko, a potem wepchnął do ust gomółkę sera. Nim reszta się usadowiła, poprosił o dokładkę.

Albana przycupnęła obok Camali i obserwowała starszego. Zdawało się, że całą uwagę poświęca dzieciom – słuchał świergotu córki, pokrzykiwań synów, gaworzenia śliniącego się Jedala. W niczym nie przypominał groźnego wojownika znad Grzbietu Valse. Camala zachowywała się z większą rezerwą, ale w jej czarnych, wesołych oczach błyszczała ciekawość. Pozostali Jeźdźcy trzymali się z daleka. Patrzyli nieufnie na spłowiałe w słońcu żołnierskie kaftany, niechlujny zarost i potargany warkocz Calmina i na nią. Wyprostowała się, odgarnęła włosy z czoła i odpowiedziała im śmiałym spojrzeniem.

Cal z posępną miną żuł ser i popijał mleko. Znajome smaki i aromaty, towarzystwo hałaśliwych dzieci, ciekawskich kobiet i nieufnych mężczyzn sprawiało, że czuł się fatalnie. Był wśród swoich, a jednak obcy. Balal miał rację, kiedy wytknął mu, że nie jest Jeźdźcem; nie należał już do tego świata, nie dla niego była nieustająca wędrówka za stadami i spokojne wieczory w cieniu namiotów.

Do końca posiłku siedział w milczeniu, zastanawiając się, co Malas zamierza z nimi zrobić. Ale starszy nie spieszył się z podjęciem decyzji. Kiedy zjadł, odprawił żonę i dzieci, a potem wskazał na haftowanego ptaka.

– Co to za znak? – spytał bezceremonialnie.

Cal ożywił się. Zaczął opowiadać o życiu w oddziale, o walce, którą toczyli na Rubieżach. Ważył każde słowo, by nie zdradzić za dużo. Zachowujący dystans Jeźdźcy wprawdzie zbliżyli się nieznacznie, a potem rozsiedli kołem i przysłuchiwali opowieści. Widać miano Jastrzębia i jego wyczyny nie były im obce, bo potakiwali głowami, dopytywali się o szczegóły.

– Więc powiadasz, że Jastrząb zginął – mruknął Malas, kiedy Calmin umilkł – a ty wróciłeś na Równiny i żonę ze sobą przywiodłeś. Prawda, czas już wielki, żebyś własne stado prowadził...

– Nie zostanę w Marth – przerwał mu Cal. – Jedziemy na zachód, spieszo nam bardzo, dlatego przeprawiliśmy się przez Grzbiet Valse, zamiast jechać do Bramy Karła.

– Nie zostaniesz... – zawiesił głos Malas. Zmrużonymi oczami patrzył na wyblakłe znaki po kapitańskich skrzydłach, na rudy warkocz kobiety. – Nie moja to rzecz, ale ty z wodzem i Radą chciałeś się rozmówić, więc pojedziemy razem.

– Wielki czynisz nam zaszczyt, starszy – mruknął z ironią Calmin – tyle że nasze konie zostały za rzeką.

– Naszych stad starczy dla ciebie i twoich towarzyszy – oznajmił Malas. Wstał, dając znak, że to koniec rozmowy, ale większość Jeźdźców została, ciekawa nowin ze świata.

Albana odeszła z koła rozdyskutowanych mężczyzn i przystanąła w cieniu jurty. Camala odsunęła derkę zasłaniającą wejście i gestem zaprosiła ją do środka. Z wnętrza bił zapach skór, potu i ziół. Dach był otwarty, a rozgrzane słońcem powietrze powiększało zaduch. Derki w kolorze żółci, czerwieni i brązu oddzielały dwa obszerne pomieszczenia. Jedno stanowiło przedsionek i spiżarnię jednocześnie, drugie sypialnię, wspólną dla małżonków i dzieci.

– Ty i twój mąż będziecie naszymi gośćmi – powiedziała Camala. – Rozgość się, rozpakuj sakwy.

Resztę popołudnia Albana spędziła w towarzystwie żony starszego. Doiła kłaczki, obierała dziką marchew i cebulę, pilnowała dzieci i nosiła wodę z płynącego niedaleko strumienia. Kiedy została na chwilę sama, z ulgą zanurzyła się w chłodnej wodzie. Wyprała swoje rzeczy i nie czekając, aż wyschną, nałożyła mokre ubranie. Na widok sztywnego, ociekającego wodą odzienia Camala załamała rękę.

– Nie godzi się, żeby kobieta Jeźdźca wyglądała niczym włóczęga – powiedziała i

wyciągnęła z tobołka swój odświętny strój.

Albana z zachwytem pogładziła koszulę z delikatnego płótna, przeciągnęła palcem po żółto-brązowym hafcie układającym się w geometryczny klanowy wzór. Zrzuciła odzież i przebrała się szybko. Rękawy koszuli sięgały jej ledwo do łokci, obszyta zajęczym futrem kamizela kończyła się na wysokości pasa i była tak obszerna, że Albana mogłaby się nią owinąć kilka razy, spódnica była za krótka, a spodnie, które tutejsze kobiety nosiły pod wysoko rozciętymi spódnicami, opadły jej z bioder i zwinęły się wokół kostek. Na ten widok Camala nie mogła powstrzymać śmiechu.

– Wystarczy sama spódnica i koszula – powiedziała, ocierając łzy z kącików oczu. – Usiądź, pomogę ci spleść włosy.

Uczesała niesforne rude loki, splotła je w dwa gładkie warkocze, ozdobiła paciorkami i wstążkami.

– Wyglądasz jak oblubienica, która czeka na swego wybranka – zasmakowała zadowolona ze swojego dzieła. – Idź, pokaż się mężowi.

Albana nagle poczuła się niepewnie i zaczerwieniła mocno, ale Camala pociągnęła ją za ręką i wypchnęła z namiotu.

Na jej widok Brian gwizdnął, Stevar wybuchnął krótkim, nerwowym chichotem, a Jarik zaklaskał w ręce. Zakłopotana kobieta podniosła wzrok. Pomiędzy siedzącymi przed domostwem mężczyznami nie było Calmina.

– Starszy zaprosił Cala na polowanie – wyjaśnił Dough.

Albana westchnęła rozczarowana.

Cal niechętnie przyjął zaproszenie Malasa. Bał się, że starszy będzie go wypytywał, dociekał, dlaczego porzucił Równiny, ale Jeździec milczał. Jechał przodem, ostrym kłusem, pozostawiając za sobą wąski szlak zdeptanej trawy. Popołudniowe słońce grzało mocno, wydobywało słodkie zapachy z rozkwitających kwiatów, dmuchawcowy puch osiadał na włosach i ubraniach, drażnił nos.

Po latach przebywania w ciasnym, dusznym mieście, a potem na zalesionych Rubieżach Calmin wreszcie mógł nacieszyć się widokiem otwartej przestrzeni. Spiął konia i ruszył galopem. Wypoczęty wierzchowiec niósł go lekko, bez wysiłku prześlizgiwał się pomiędzy wysokimi źdźbłami. Przez chwilę Cal poczuł się niebotycznie szczęśliwy. Opuściły go wszystkie wątpliwości i złe myśli. Liczyło się tylko błękitne niebo, falująca trawa, zapach końskiego potu i wiatr igrający we włosach. Gdzieś z daleka dobiegł go okrzyk Malasa. Calmin przyhamował konia i zawrócił w stronę starszego.

– Jeździsz jak szaleniec – zaśmiał się Malas. – Ale uważaj, tu niedaleko ziemia zryta jest przez świstaki. Łatwo o wypadek.

Dalej pojechali razem, już wolniej, pozwalając, żeby zwierzęta same wybierały drogę. Wreszcie pomiędzy trawą pojawiły się skalne okruchy i połacie nagiej ziemi. Zsiedli, wbili w glebę ostro zakończone paliki, które Jeźdźcy zawsze wozili przy siodłach, przywiązali do nich konie i ruszyli pieszo. Każdy miał na plecach łuk i pełen kołczan, a w rękach wabik z końskiego włosa.

Calmin był podniecony jak dziecko, które dorośli pierwszy raz zabierają na łowy. Czuł, że Malas zaprosił go nie bez przyczyny, że poddaje go jakiejś ocenie, ale to dodatkowo zwiększało jego ekscytację. Położył na ziemi łuk i przysiadł ukryty za niewielkim wzniesieniem. Obok zaległ starszy.

Kiedy oddechy myśliwych się wyrównały, a spłoszone ich przyjazdem ptaki podjęły swoje bezszelestne łowy, Malas wychylił się zza pagórka i potrząsnął wabikiem. Przywiązane do krótkiej tyczki włosie zakotłowało się niespokojnie. Z ukrytej pomiędzy kamieniami norki wychylił się bystry pyszczek ozdobiony długimi wąsami. Czarne ślepka patrzyły uważnie, ruchliwy nos wietrzył czujnie. I choć instynkt podpowiadał, że nie wszystko jest tak, jak być powinno, to ciekawość przeważała. Po chwili żółto-brunatny świstak wychynął z nory i zastygł w bezruchu, nie odrywając oczu od podrygującego włosia. Calmin strzelił. Zwierzę zadrgało, tłuste ciało zwinęło się w kłębek i wreszcie legło nieruchomo, ale myśliwi pozostali na swoich miejscach. Teraz Cal potrząsał wabikiem. Z innej norki, oddalonej o kilkanaście kroków od ich kryjówki, wyrzwał kolejny jej mieszkaniec. Nim Malas wycelował, Cal odrzucił tyczkę i napiął łuk. Znowu trafił i wyczytał niechętny podziw w oczach starszego. Zanim świstaki ostatecznie zniknęły w swoich podziemnych domostwach, upolowali jeszcze trzy sztuki. Wracali do obozu zadowoleni, myśląc o tłustej, sytej wieczerzy, którą dane im będzie spożyć.

Słońce zachodziło powoli, niebo rozkwitło czerwienią i fioletem, a potem pociemniało do granatu. Niewidoczna w dzień tarcza księżycza zalśniła srebrnym blaskiem. Jeźdźcy z daleka dostrzegli obozowe ogniska i pogonili wierzchowce.

Ogień rozpalany na końskim nawozie tlił się leniwie, przygotowana za dnia zupa grzała się w kociołkach. Myśliwi zostawili swój łup i podążyli do strumienia, żeby się obmyć.

Kiedy Malas wrócił do obozu, grudy tłuszczu już warzyły się razem z zupą. Zapach smażonego mięsa mieszał się z aromatem ziół. Jeźdźcy posiadali wokół ognisk, dzieci zaglądały do kociołków, podskubywały surowe jeszcze porcje.

Przed jednym z namiotów odezwała się cicho piszczałka. Po chwili do samotnego głosu dołączyły następne. Któraś z młodszych kobiet wstała i zaczęła tańczyć. Jedna po drugiej włączały się kolejne. Ustawiły się kołem i przytupując, przesuwwały zgodnym ruchem raz w jedną, raz w drugą stronę. Mężczyźni zaklaskali do rytmu. Camala położyła mężowi na kolanach niemowlaka, pociągnęła za sobą Albanę i obie dołączyły do kręgu.

Albana tańczyła swój pierwszy taniec w życiu. W Ostatniej Twierdzy zawsze stała z boku, ale tutaj, w towarzystwie tych rozbawionych kobiet, nie czuła zwykłego skrępowania. Poddała się władzy piskliwej, drażniącej muzyki, pozwoliła, by porwał ją wybijany stopami rytm. Świadomość tego, że obserwują ją męskie oczy, przydała jej ruchom miękkości i zmysłowości. Włosy rozplotły się i spłynęły na ramiona lśniąca falą. Rozcięta spódnica ukazywała długie, szczupłe nogi.

Calmin, który jakiś czas zamarudził przy strumieniu, wrócił do obozu zwabiony dźwiękiem fujarek. Stał poza kręgiem ognia i przypatrywał się tańczącym kobietom. Widok Albany niemal odebrał mu dech. Wirowała wokół ognia, jakby była jego częścią, płomieniem. Jej włosy połyskiwały ogniście, spódnica w czerwone i żółte pasy falowała wokół nóg, ciało poruszało się sprężysto i miękko zarazem. Zamknął oczy, ale nawet pod zaciśniętymi powiekami widział ten obraz.

Z drugiej strony ogniska Albanie przyglądały się inne oczy, równie zachłanne. Przez cały dzień Balal nie spuszczał wzroku z rudowłosej kobiety. Podglądał z ukrycia pospieszną kąpiel, podziwiał oblepione mokrą koszulą ciało. Podniecało go wyzywające spojrzenie zielonych oczu i egzotyczna uroda. Teraz siedział w kucki przed własnym namiotem, a zmysłowy czar Albany wzmagął w nim pożądanie. Wibrująca muzyka składała się w jego myślach w słowa: będziesz moja, będziesz moja.

Dźwięki piszczałek najpierw wzniosły się wysoko, wygrywając ostatni akord, a potem umilkły. Tańczące znieruchomiały w oczekiwaniu na następny ton. Kiedy nie nadszedł, wróciły na swoje miejsca, zmęczone i rozgrzane. Albana nie usiadła z nimi. Była zbyt pobudzona. Woląла skryć się w cieniu, żeby nikt nie dostrzegł drżenia, wysuszonych ust, rozszerzonych źrenic. Przytknęła dłonie do rozpalonych policzków i jęknęła cicho, zasłoniła twarz.

– Co ty wyprawiasz, kobieto?

Ochrypty głos męża rozległ się przy jej uchu jak zgrzyt. Wziął ją za ręce, odsłonił oczy, przeciągnął palcem po nabrzmiąłych ustach. A potem pocałował gwałtownie i zachłannie. Albana przylgnęła do niego, oddała pocałunek z taką samą pasją. Nagle wszystko przestało się liczyć, zniknęły dzielące ich bariery. Ważny był tylko dotyk gorącego ciała, uścisk, pocałunek. Cal wsunął rękę pod wysoko rozciętą spódnicę, Albana dotykała twardych mięśni. Oddychali ciężko, szybko. Legli na trawie, nie zważając na to, że są ledwie parę kroków od najbliższego namiotu, że ktoś może ich zobaczyć. Spełnienie przyszło za szybko, nie pozwoliło nacieszyć się bliskością. Wrócili pomiędzy ogniska, unikając swego wzroku, zawstydzeni tym, co przed chwilą przeżyli, z ustami ciągle wilgotnymi od pocałunków, ze źdźbłami trawy we włosach.

Przy ogniu Jeźdźcy dzielili się już spieczonym mięsem, popijali żółtą od szafranu zupę. Potem pomiędzy siedzącymi zaczęły krążyć czarki z kumysem – wódką pędzoną ze sfermentowanego kobylego mleka.

Parę łyków musującego alkoholu sprawiło, że Albana poczuła się nagle znużona. Przeprawa przez Grzbiet Valse, niewygodny nocleg i napięcie całego dnia sprawiły, że niemal po omacku poszła do jurty, wsunęła się do odgradzonego przez Camalę kącika i zasnęła głęboko.

Cal długo siedział przy wygasłym ognisku. Słuchał pokrzykiwań podchmielonych mężczyzn, zawitych opowieści, wychylał toasty wznoszone ku pamięci Trevora.

Kiedy wreszcie zdecydował się porzucić towarzystwo, gospodarze leżeli już okryci skórą, a dzieci spały. Wsunął się za derkę i ułożył obok rozgrzanej żony. Rzuciła się niespokojnie, skórę miała śliską od potu. Śniła. Calmin przygarnął ją, szeptał uspokajające słowa, póki nie wtuliła się w niego jak dziecko i zasnęła uspokojona. Nie tego oczekiwał, więc westchnął rozżalony i przymknął oczy.

Przez otwarty dach jurty widać było gwiazdy, nocne powietrze chłodziło rozpalone ciało. Mężczyzna poczuł, jak powoli opuszcza go napięcie. Po raz pierwszy od wielu dni zasnął spokojnie, nienękany wątpliwościami, a jego snu nie mąciły koszmary.

Albana obudziła się pierwsza. Zanim wstała, pogładziła rozgrzany policzek śpiącego męża, odgarnęła włosy z czoła i pocałowała delikatnie. Wyśliznęła się z namiotu i dołączyła do krzątającej się już Camali. Kiedy wypoczęty po długiej nocy Calmin podszedł do obu kobiet, uśmiechnęła się do niego nieśmiało. Jednak Malas nie dał im czasu na rozmowę. Zaraz po posiłku poprowadził mężczyzn na pastwisko. Tam, pilnowane przez kilku Jeźdźców, pały się konie. Nie było ich wiele – prócz wierzchowców, na których przyjechali, ledwo cztery klacze z towarzyszącymi im młodymi i oddzielony od nich ogier. Jedynie on był spętany, reszta stada spokojnie szczypała trawę, nie oddalając się od obozu. Cienkonogie źrebaki, strofowane rżeniem matek, hasały wokół.

Żołnierze patrzyli zafascynowani na wysmukłe szyje, harmonijne sylwetki, grzywy rozwiewane przez wiatr. Gniady ogier wyczuł nieznaną zapachy, zarżał głośno i nerwowo zadreptał w miejscu. Klacze zastrzygły niespokojnie uszami i zbiły się w ciasną gromadę, chroniąc swe dzieci.

– Reszta stada już wyszła do Bramy Karła, na targi – wyjaśnił Malas. – My ruszymy jutro.

Cal nie słuchał, stał zapatrzony w ogiera.

– Piękne zwierzę, ale zupełnie dzikie – mruknął starszy z przewrotnym uśmiechem. – Jeśli chcesz na nim pojechać, musisz go ujarzmić.

Calmin odwrócił się i stanął naprzeciwko krzywonogiego mężczyzny. Jego szare oczy zmierzyły się w niemym pojedynku z błękitnymi tęczówkami Jeźdźca.

– Czy to wyzwanie, Malasie z klanu Kevat?

– Przyjmiesz je, Calminie z klanu Fen?

Cal przyłożył palce do ust.

– Bezpieczeństwo dla mnie i moich towarzyszy, Malasie.

– Bezpieczeństwo dla was wszystkich – obiecał starszy i powtórzył gest Calmina.

Obserwujący ich żołnierze poczuli nagły niepokój. Niedźwiedź położył rękę na ramieniu przyjaciela.

– Mam nadzieję, że wiesz, co robisz – powiedział cicho.

– Nie waż się wtrącać, cokolwiek się stanie – ostrzegł go Cal. Głos miał poważny, ale oczy błyszczały mu podnieceniem.

Zdjął koszulę, rzucił ją Niedźwiedziowi, a potem ściągnął buty. Zerwał garść trawy, zmiażdżył ją w dłoniach i natarł starannie ciało i włosy. Wolno ruszył w stronę niespokojnie strzygącego uszami ogiera.

Albana i Camala w towarzystwie innych kobiet siedziały przy strumieniu. Zmyły już naczynia, zrobiły pranie, a teraz obserwowały chlapiące się w wodzie dzieci. Pogadywały trochę onieśmiałoneo codziennym życiu poza Równinami, o miastach, mężczyznach innych od Jeźdźców i strojach noszonych przez ich kobiety.

Kiedy Jarik stanął przy niej i pociągnął za rękę, z przykrością porzuciła towarzystwo. Jednak niepokój w oczach chłopca przynaglał do pośpiechu.

Jarik poprowadził ją w stronę skupionych w gromadę mężczyzn. Wypatrzyła górującego nad innymi Stevara i przepchnęła się ku niemu.

– Co się dzieje? – spytała niespokojnie.

Niedźwiedź bez słowa wskazał przed siebie.

Calmin podnosił się właśnie z ziemi. We włosach utkwily mu źdźbła trawy, na skroni rósł wielki guz, na torsie i ramionach widać było otarcia i kropelki krwi. Ale twarz miał spokojną i zdecydowaną. Stojący obok koń przebierał nogami i zawzięcie gryzł wędzidło.

– Czemu nikt tego nie przerwie?

– Cal zabronił się wtrącać.

Albana prychnęła gniewnie i w tej samej chwili poczuła na sobie wzrok męża. Nie musiała odwoływać się do Daru, żeby zrozumieć, co chce jej przekazać. Niechętnie skinęła głową.

Calmin, na nowo skupiony, zaczął zbliżać się do ogiera. Zwierzę wodziło za nim ślepiami, okręcając się niespokojnie. Kiedy poczuło na sobie ciężar jeźdźca, zaczęło wierzgać i podskakiwać jak szalone. Cal przylgnął do jego grzbietu. Trzymał się grzywy, nogami mocno opasując tułów. Pod skórą poznaczoną białymi smugami blizn napinały się twarde węzły mięśni.

Rozjuszony koń podrzucał zadem, spod kopyt pryskała ziemia, czarna grzywa fruwała na wietrze. Chwilami furia przycichała, zwierzę zdawało się uspokajać, by po chwili wystrzelić w górę i z nową energią rozpocząć szalony taniec. Wreszcie Cal utrzymał się na końskim

grzbiecie tak długo, aż stało się jasne, że zyskuje przewagę.

Niespodziewanie spomiędzy nóg skupionych mężczyzn wypełzła Milla. Dostrzegła ojca i ucieszona pisnęła głośno, przenikliwie.

Gniady ogier zerwał się do biegu. Nie zważał na siedzącego mu na grzbiecie jeźdźca. Przeskoczył nad dzieckiem i pognał przed siebie. Za nim pogalopowały spłoszone klacze.

Stegar desperacko rzucił się na dziewczynkę i odepchnął na bok, w ostatnim momencie ratując przed stratowaniem.

Albana otrząsnęła się z oszołomienia, kiedy usłyszała płacz. Wzięła dziecko w ramiona, zakołysała łagodnie i przytuliła mokry od łez policzek.

– Już dobrze, malutka – szepnęła. – Już wszystko dobrze...

Milla uspokoiła się, oczka pojaśniały jej radością i niespodziewanie obdarzyła kobietę wilgotnym buziakiem. Potem wysliznęła się z jej objęć i pobiegła na swych krótkich nóżkach do ojca.

Rozczulony wzrok Albany stwardniał, kiedy spojrzała na twarze otaczających ją ludzi.

– Co teraz? – spytała Malasa.

Starszy tulił w ramionach córkę. Ręce mu drżały, oczy były wilgotne od łez.

– Mój kwiatuszku – szeptał bezdźwięcznie. – Chwała Valasalowi, że miał cię w opiece.

– Malasie...

– Tyś ją uratował – starszy zwrócił się do Stevara i skłonił głęboko. – Dałem słowo. Nawet jeśli Calmin z klanu Fen nie wróci, odprowadzę was do granicy Równin. Bezpieczeństwo dla was wszystkich.

Przytknął dłoń do ust, a potem odwrócił się i odszedł z Millą w objęciach. Za nim podążyli inni Jeźdźcy. Żołnierze i Albana zostali sami.

– Masz ci los – stęknął Brian i przeciągnął dłonią po szczecinie na twarzy.

– Chyba pojedą go szukać... – mruknął Niedźwiedź.

Albana parsknęła gniewnie, ale nim zdążyła coś powiedzieć, Stevar położył jej ciężką rękę na ramieniu.

– Pohamuj swój gniew, kobieto – powiedział, a w jego głosie nie słychać było zwykłej złośliwości. – Jeśli Jeźdźcy nie ruszą na poszukiwania, my pójdziemy. A na razie wracajmy do obozu.

Pomiędzy namiotami panował nienaturalny spokój. Kobiety wodziły roztargnionym spojrzeniem za dziećmi, mężczyźni stali w gromadzie i szeptali do siebie, ale na widok żołnierzy ucichli i zniknęli w skórzanych domostwach.

Dzień mijał powoli. Jeźdźcy raz po raz zerkali w stronę namiotu Malasa. Albana i coraz posępniejsi żołnierze poszli nad strumień. Usiedli w trawie, blisko siebie, ale nim zdążyli coś postanowić, odnalazł ich starszy.

– Ruszamy na poszukiwania. Jeden z was może do nas dołączyć – oznajmił.

– Dlaczego dopiero teraz? – sarknęła rozeźlona Albana.

– Dałem Calminowi Fen szansę udowodnienia, że nie przestał być Jeźdźcem. Przyjął wyzwanie.

– Jakie masz prawo osądzać Cala, poddawać go próbom? Nic nie wiesz o jego wyborach, o tym, co osiągnął. Jaką miarką mierzysz wartość człowieka, starszy? Tym, że potrafi ujeżdżać konie?!

– wykrzyczała niemal jednym tchem Albana.

Malas poczerwieniał.

– Zamilknij – syknął Stevar, wygrażając jej pięścią zza pleców starszego.

– Calmin nigdy nie przestał być Jeźdźcem. Jeśli sądzisz inaczej, jesteś głupcem. Wiesz, że sprostą twojemu wyzwaniu. Gdyby nie Milla, ten ogier jadłby mu z ręki – ciągnęła kobieta.

Starszy skrzywił się i jakby zakłopotał.

– To był nieszczęśliwy przypadek. Prawda, że udało mu się okiełznać konia – przyznał. – Ty, Albano da Fen, musisz pojąć, że gdybym wysłał pomoc zbyt szybko, pozbawiłbym go szansy na zwycięstwo.

– Racja – wtrącił się Niedźwiedź. – Kobietom trudno zrozumieć takie rzeczy. Lepiej jedźmy, zanim będzie za późno.

Mężczyźni podnieśli się z trawy, tylko Albana siedziała nieporuszona. Oddychała szybko i ciężko, twarz ciągle miała zaczerwienioną ze złości, w oczach błyskały zielone ogniki.

– Idźcie – mruknęła chrapliwie. – Chcę zostać sama.

– – Słusznie. Może zimna kąpiel ostudzi twój temperament – burknął zgryźliwie Stevar i ruszył w stronę obozu. Reszta poszła za nim.

Kobieta przymknęła oczy. Potrzebowała samotności, żeby opanować gniew, wyciszyć się. W głębi duszy była wdzięczna Stevarowi, że nie pozwolił dalej ciągnąć zwady, bo – czuła to – nie byłaby zdolna zapanować nad sobą. Zaciśnęła dłonie na kolanach, uspokoiła oddech i starała się opróżnić umysł z dręczących ją uczuć. Ale spokój nie przychodził, a siła Daru ciągle w niej wibrowała, szukając ujścia. Wreszcie, zniechęcona i zła, zrzuciła odzienie i w samej koszuli weszła do strumienia.

Chłodna woda obmyła jej zmęczone ciało, kołysała leniwie. Naprężone mięśnie rozluźniły się, włosy falowały unoszone powolnym prądem. Emocje ostygły, powrócił spokój. Nie słyszała stukotu końskich kopyt ani harmideru w obozie. Siadła i zaczęła wyciskać wodę z włosów. Usłyszawszy trzask łamanej pod stopą gałązki, odruchowo przycisnęła ręce do piersi.

Na brzegu stał Calmin. Zakurzony, ze strużkami zakrzepłej krwi na torsie, z potarganymi włosami. Rzuciła się w jego kierunku. Złapał ją, przytulił z całych sił i nie wypuszczając z objęć, wszedł do strumienia.

– Wróciłeś – powtarzała Albana. Polewała go wodą, przemywała zadrapania, masowała mięśnie, rozplątywała włosy.

– Zawsze będę do ciebie wracał – szeptał Cal, kiedy ocierała się stwardniałymi sutkami o jego piersi, opłótła nogami. – Kocham cię.

Pieścił ją, przesuwając dłońmi po mokrej skórze, całował złote znamię. Wszedł w nią, a ona zakołysała biodrami w rytmie narastającej rozkoszy.

– Nie zniosłabym kolejnego rozstania. Przez wszystkie te lata marzyłam, śniłam... Widziałam cię zranionego i cierpiałam razem z tobą. A kiedy się spotkaliśmy, wszystko poszło nie tak... – powiedziała, gdy ułożyli się w pachnącej trawie.

– Chciałem cię wziąć w ramiona, scałować łzy, oddalić ból. Ale nie wiedziałem, czy mnie pamiętasz, chcesz. Byłaś taka odmieniona, dojrzała, piękniejsza. Po dzikusce, którą poślubiłem, nie został ślad. Przepraszam...

– Nauczyłam się pisać i czytać, ale gdzieś we mnie ciągle tkwi ta zagubiona dziewczynka. Nie wszystko da się zmienić, zapomnieć. W Twierdzy otoczona byłam Obdarowanymi, jednak ciągle obca, inna. To nieważne... Kocham cię, Jeźdźcu. Zawsze cię kochałam...

Ciemniało już, kiedy objęci wrócili do obozu.

Wieczera była skromniejsza niż poprzednio: resztki słonawego mięsa świstaków i zupa. Coś się jednak zmieniło w zachowaniu Jeźdźców, jakby dopiero teraz uwierzyli, że Calmin

naprawdę jest jednym z nich. Bariera nieufności runęła. Malas klepał go po ramieniu i dopytywał się o przebytą drogę, ktoś inny chwalił zręczność, z jaką obłaskawiał ogiera, Tamalach otwarcie pokpiwał z mokrych spodni i wypłowiałego munduru, stroju, w jakim Fen zasiadł przy ogniu. Stevar zrzędził pod nosem na skąpą porcję, a Jarik nie odstępował Cala na krok. Braciszkwowie brali dzieciaki na kolana i przekomarzali się z kobietami.

Albana siedziała u boku męża, ale nie brała udziału w ogólnej rozmowie. Patrzyła na obóz, na Jeźdźców i nie mogła powstrzymać myśli, że tak mogłoby wyglądać jej życie, gdyby pięć lat wcześniej mąż przywiózł ją na Równiny. Czy byłaby szczęśliwa, wędrując za stadami, otoczona krewnymi i przyjaciółmi? Czy tu odnalazłaby ukojenie? Westchnęła i pokręciła głową. Wiedziała, że nie. Jej Dar nie pozwoliłby długo cieszyć się spokojem, prędzej czy później ujawniłby się z całą mocą. Miłość Cala mogła nie wystarczyć do tego, by potrafiła zapanować nad sobą i siłami, które posiadała.

Ukryty w cieniu, z dała od radosnego zgiełku, Balal wpatrywał się w przytuloną do siebie parę – rudowłosą kobietę i Jeźdźca Równin odzianego w spłowiały kaftan. Czyścił miecz, przeciągając po głowni natłuszczoną szmatę długimi, niemal pieszczotliwymi ruchami. Skończył, ale nim wsunął go do pochwy, przesunął ostrzem po nadgarstku i patrzył jak małe strumyczki krwi spływa mu po ręce.

– Dla ciebie, odszczepieńcu, śmierć, a dla mnie ona. Przysięgam na krew – powiedział cicho, przykładając dłoń do ust.

Ledwie świt zaróżowił niebo, obóz klanu Kevat gotów był do wędrówki. Namioty zwinięto, spakowano juki. Żołnierze patrzyli z uznaniem na sprawnie uformowany pochód, w którym każdy, nawet najmniejsze dziecko, miał określone miejsce.

Cal jechał na swoim ogierze obok Malasa. Akceptacja widoczna na pooranym zmarszczkami obliczu sprawiła, że odważył się spytać:

– Pamiętasz mnie, starszy?

– Pamiętałem chłopca, spotkałem mężczyznę. Musiałem się upewnić, Calminie z klanu Fen.

Cal uśmiechnął się gorzko.

– Próba Jeźdźców... Nie mam żalu. Rozumiem.

– Twoja kobieta powiedziała mi wczoraj, że nie mam prawa osądzać wyborów, jakich dokonałeś. Może to racja, ale wszystko się zmienia, a pięć lat to szmat czasu... I Równiny nie są takie jak kiedyś. Widzisz wypaloną trawę, tam, na południu?

Cal stanął w strzemionach i spojrział we wskazanym kierunku. Koń pod nim parsknął niezadowolony z takich akrobacji. Mężczyzna poklepał zwierzę po karku.

– Pożar?

– To nie pożar, Calminie, tylko ci głupcy z klanu Jingu. Wypalili trawę.

– Po co?

– Sieją zboże, budują chaty.

Zaskoczony Cal wstrzymał konia. Ogier zarył kopytami w ziemię, a potem, jakby podkreślając swoje niezadowolenie, wierzgnął tylnymi nogami. Malas, ponury jak noc, też się zatrzymał.

– Skróć mu cugle, bo się znarowi – poradził odruchowo.

– To mądre zwierzę. Malasie, czy ja dobrze usłyszałem? Jeźdźcy uprawiają zboże, zakładają osiedla? Nigdy wcześniej tak nie bywało.

– Nie było też ołtarzy ani kapłanów – zaperzył się starszy. Twarz poczerwieniała mu ze

złości. – Nikt nie marł opętany szalonym tańcem.

– Więc i tu dotarli. – Calmin przygarbił się siodle.

Twarz zasnuł mu cień, a spojrzenie powędrowało ku Albanie, jadącej w środku kolumny wraz z innymi kobietami. Poczul na sobie uważny wzrok starszego i szybko zagadnął:

– Nie pojąłem twoich słów, Malasie. O jakim tańcu mówisz?

– Nie wiadomo, co to za choroba. Przychodzi nagle i opanowuje wszystkich. Ludzie popadają w amok i mrą w mękach. Niektóre klany rozproszyły się, jak my, inne przeciwnie – zaczęły budować wsie i uprawiać zboże. Przez granicę próbują przedostać się bandyci albo inne męty uciekające przed prawem, stada znikają. Dlatego każdy klan na zmianę stróżuje przy Grzbiecie Valse i patroluje brzegi Villeji. Trudno dziś zawierzyć komukolwiek. I na dodatek te klechy włóczące się za nami. Źle się dzieje na Równinach, bardzo źle.

– A moi ludzie?

– Nic o nich nie wiem. Nie spotkałem klanu Fen od ostatnich targów.

Starszy cmoknął na konia i wysforował się do przodu. Calmin dołączył do przyjaciół i z zafrasowaną miną przekazał im wiadomości.

Wędrówka przez bezkresne Równiny zdawała się nie mieć końca. Jeźdźcy wstawali wczesnym świtem, zjadali pospieszny posiłek i ruszali w drogę. Wieczór i noc były porą obfitej wieszery i spoczynku.

Cal i Albana ciągle byli gośćmi Malasa i Camali. W oddzielnym derką kąciku kochali się gorąco i żarliwie, jakby chcieli powetować sobie wszystkie noce, które spędzili oddzielnie.

Stear widział podkrążone oczy kochanków, obrzmiałe od pocałunków usta, czułe gesty. Boczył się na Albanę, że tak całkowicie zawładnęła Calminem, i na przyjaciela, bo odsunął się od towarzystwa. Żeby zagłuszyć żal, uporczywie starał się przywołać minione chwile i bez przerwy wspominał życie w oddziale Jastrzębia, opowiadał o przyjaciółkach, żywych, których pozostawili w lesie, i tych martwych, pochowanych na szlaku żołnierskiej wędrówki. Brian i Dough znudzeni monotonną jazdą flirtowali z kobietami, Jarik przyłgwał do grupy podobnych mu wiekiem wyrostków. Tak powoli mijały dni i wieczory.

Letnia Gwiazda świeciła coraz mocniejszym blaskiem. Wczesna, ciepła wiosna szybko zmieniała się w upalne lato. Soczysta zieleń przyblakła i pożółkła, a rozgrzane powietrze falowało, mamiło wzrok.

Rzeka Villeja skrzyła się w słońcu. Swój początek brała w Górach Przejścia, a potem rozlewała się szeroko na Równinach, wyznaczając południową granicę Marth. Susza sprawiła, że teraz płynęła leniwie, płytko.

Utudzona kolumna Jeźdźców skręciła na wąską piaszczystą łachę. Trzeba było uzupełnić zapasy wody, dać wypocząć zwierzętom. Tylko zwiadowcy ruszyli wzdłuż brzegu, żeby znaleźć miejsce na wieczorny obóz.

Albana, znużona gorącem, drzemała w cieniu rzadkich zarośli. Ze snu wyrwały ją podniesione męskie głosy. To wzburzeni zwiadowcy przekazywali starszemu jakieś wiadomości. Nie zrozumiała słów, ale kiedy uniosła powieki, Malas ze zmarszczonym czołem tłumaczył coś Calowi. Zaciekawiona porzuciła cień i przyłączyła się do nich.

– „...„tańczącą wieś”. Pojedziesz ze mną? – usłyszała.

– Ja też pojedę – zaofiarowała się, zaciekawiona.

Starszy dosiadł konia. Za nim ruszyło paru Jeźdźców, Cal, Albana i znudzeni żołnierze z

nieodłącznym Jarikiem.

Wioska leżała po drugiej stronie rzeki otoczona wątlymi drzewami. W niewielkim zakolu stłoczyło się kilkanaście namiotów, dalej rozciągało się pole obsiane żółknącym zbożem.

– Nie tak żyli nasi dziadowie i ojcowie – mruknął ktoś na widok zagonu. – I nie tak umierali... – dokończył słabnącym głosem.

Pomiędzy domostwami, w dziwnym, niesłyszalnym dla obserwatorów rytmie poruszali się ludzie. Usta mieli wykrzywione w obłąkańczym uśmiechu, a w oczach pustkę.

– Trzeba ominąć wieś – powiedział ponuro starszy. – Im nie można już pomóc, a ja nie pozwolę, żeby moi ludzie się zarazili.

– Chcesz ich tak zostawić? – spytał z niedowierzaniem Calmin.

– Jedyne, co mógłbym zrobić, to skrócić im cierpienia, ale niewezmę tego na swoje sumienie. Zdarza się, że niektórzy zdrowieją.

– Obejrzą ich – powiedziała Albana.

– Nie wolno ci... – zaczął Malas, ale kobieta nie słuchała. Zsiadła z konia, z juków wydobyła torbę z lekami.

– Powstrzymaj ją. – Starszy chwycił Cala za łokieć i spojrzał w oczy. – Powstrzymaj, bo choćby wróciła żywa, nie przyjmę jej z powrotem. Nie dopuszczę do rozniesienia zarazy.

– Tym ludziom trzeba pomóc, a ja jestem uzdrowicielką – powtórzyła uparcie Albana. – Ale masz rację, starszy. Zabierz stąd swój klan i jedź dalej. Wy też. – Spojrzała na męża.

Cal również zsiadł i podszedł do żony.

– Zostanę z tobą.

– Nie. Poradzę sobie sama. Wezmę tylko konia i trochę jedzenia – odrzekła stanowczo i pociągnęła go za sobą na bok, tak by nikt nie mógł usłyszeć ich słów. – Nic mi będzie. Jestem silniejsza niż kiedyś, odporniejsza. Ta trucizna... – zawahała się, ale po chwili podniosła wzrok. – Jedź, Cal. Spotkamy się przy Bramie Karła, obiecuję. Jeśli będę potrzebowała pomocy, wezwę was przez Jarika.

– Nie chcę cię znów stracić – powiedział cicho Calmin.

– Nic mi nie będzie – powtórzyła Albana i pocałowała męża w szorstki policzek. Kiedy naburmuszony odszedł, przywołała chłopca.

– Pilnuj moich rzeczy, nikomu nie pozwól ich dotykać – pouczyła go i zawiesiła mu na szyi medalion Emausa. – Gdyby coś mi się stało, oddasz sakwę i wisior mojemu ojcu lub jego dzieciom. Nikomu innemu, rozumiesz?

Jarik patrzył na nią zdumiony.

– Ale kapitan... – zaczął niepewnie.

Kobieta zawahała się ponownie.

– Nie przestrasz się – szepnęła, a potem wtargnęła delikatnie do jego umysłu.

Zdawało się, że chłopak na mgnienie stracił dech, ale myśl była szybsza od słowa. Jego jaźń wchłonęła przekaz Albany.

– Wszystko zrozumiałeś?

– Tak, pani.

– Pamiętaj, powiesz tylko wtedy, jeśli nie wrócę.

Jarik skinął głową.

– Obiecuję – powiedział poważnie.

Uścisnęła go i popchnęła w stronę jeźdźców. Podniosła dłoń na pożegnanie i wskoczyła na siodło. Mężczyźni patrzyli, jak przekracza szeroko rozlane w tym miejscu wody. Potem

zawrócili.

Albana przebyła rzekę i ruszyła pomiędzy jurtami.

Pograżeni w swym upiornym tańcu mieszkańcy wsi nie zareagowali na jej pojawienie, nie odpowiadali na pytania. Przemieszczali się ciągle z miejsca na miejsce, poruszając niezbornie kończynami. Oczy mieli zamglone i nieobecne, z ust sączyła im się ślina. Wyglądają bardziej jak oszołomieni kokrą niż chorzy, myślała kobieta.

Tak jak w obozie klanu Kevat domostwa ustawiono w okrąg, a centralne miejsce na małym placu zajmował posąg Boga o Wielu Obliczach przystrojony gałęziami i pękami zielonych kłosów. Cztery drewniane twarze patrzyły obojętnie na rozgrywającą się wokół tragedię. Albana splunęła z odrazą na drewnianą figurę, łyse czerepy boskich obliczy przywodziły jej na myśl Zebona.

Gdzieś na drugim końcu wsi słyhać było przeraźliwe zawodzenie. Ruszyła w tamtą stronę i ujrzała nieszczęśnika, walącego głową w drzewo. Cienki pień kołysał się w rytm tych uderzeń, na oddartej korze pozostały ślady krwi. Czoło mężczyzny było mocno pokiereszowane, tak samo jak dłonie, a ubranie zwisało w strzępach. Kiedy użyła Daru, by przeniknąć do jego umysłu, poraziły ją zniekształcone obrazy koszmarnych wizji, których doświadczał.

Muszę go związać, inaczej te majaki go zabiją, pomyślała. Wpadła do pierwszego z brzegu namiotu i zerwała sznur, na którym wisiały oddzielające pomieszczenia derki. Nie zważając na bełkotliwy skowyt, skrępowała chorego. Jęczał i rzucał się, kiedy uważnie oglądała jego skórę, słuchała bicia serca.

Sprawdziła, czy nie zrobi sobie krzywdy, znalazła następne linki i spętała jeszcze kilkoro błakających się wokół ludzi. Ich stan był podobny – choć wszyscy doświadczali koszmarów nękających umysł, ciała wydawały się zdrowe. Tylko serca waliły im w obłąkanym, pospiesznym rytmie. Wreszcie, zdesperowana, nacięła lekko skórę na ramieniu jednego z mężczyzn i posmakowała krwi.

Jej organizm, bez udziału woli, zareagował na zapach i smak świeżej posoki. Nozdrza rozszerzyły się, język chciwie oblizwał ranę. Nim pojęła, co robi, wyczulone zmysły znalazły rozwiązanie tajemnicy. Wypluła to, co miała w ustach i przepłukała wódką z bukłaka.

– Trucizna – mruknęła do siebie oszołomiona i przestraszona nowym doznaniem. Żeby zagłuszyć niepokój i głód, który nagle poczuła, zaczęła mówić do siebie: – Trucizna wywołuje majaki, mąci umysł i popycha do tego upiornego tańca. Szkoda, że pozwoliłam Calowi odjechać. Sama nie dam rady związać wszystkich – mamrotała. – Mogę użyć Daru, żeby ich kontrolować, póki sama nie oszaleję, ale wtedy nie dam rady pomóc. To beznadziejne...

Zmartwiona i zniechęcona odwróciła wzrok od oszołomionych, zataczających się Jeźdźców. Co mogli zjeść albo wypić wszyscy, nawet dzieci? Woda, oczywiście. Zbiegła nad rzekę, zmoczyła palce i posmakowała, ale nie wyczula śladów trucizny. Wróciła pomiędzy namioty i zaczęła je przeszukiwać. Zaglądała do garnków i dzbanków, ostrożnie próbując, co tylko znalazła. Solone ryby, wędzone mięso, skwaśniałe mleko w skopkach, dzikie warzywa... wszystko zdawało się w porządku. Coraz bardziej zdesperowana zaczęła rozgrzebywać ogniska, szukając resztek palonych ziół, ale i tu spotkało ją niepowodzenie. Usiadła wreszcie przed jednym z namiotów. Zewsząd dochodziły ją coraz głośniejsze zawodzenia. Sąsiednie domostwo zawaliło się nagle z trzaskiem. Wystraszona zerwała się i zobaczyła kobietę zaplątaną w skóry, a mimo to uparcie pełznącą przed siebie. Jej ciało skręcało się w

drgawkach, pogryziony język wystawał z ust, oczy zdawały się patrzeć we wszystkich kierunkach równocześnie.

Albana związała ją i uciekła od przygnębiającego widoku, niemilknącego zawodzenia. Z przerażeniem uświadomiła sobie, że niedługo zapadnie zmrok, a ona zostanie sama z tymi szaleńcami. Przystanęła na miedzy, patrząc bezmyślnie na dojrzewające zboże, na rozciągające się poza nimi trawy i znów na poletka.

Tańczące wsie, pomyślała bez związku, wsie, nie obozy. Odwróciła się ku jurtom. Niektóre zwieńczone były wiązką kłosów żółką i wysuszoną.

Zboże. Ziarno. Czy widziałam gdzieś chleb?

Pobiegła do stojącego najbliżej domostwa. W przedsionku znalazła pękaty worek wypełniony szeleszczącą zawartością. Przecięła go i na ręce posypały się nasiona. Wyszła na zewnątrz, żeby je obejrzyć. Były drobne, kłujące w dotyku, pachniały kurzem. Roztarła je w dłoniach, zdmuchnęła łupiny i rozgryzła jedno. Wypluła je natychmiast i raz jeszcze przyjrzała się ziarnu. Dopiero teraz dostrzegła, że pokryte jest drobnymi, ciemnymi plamkami. Uśmiechnęła się triumfalnie.

Z nową energią ruszyła pomiędzy namioty. Znalazła wielki sagan, napelniła go wodą i rozpałała ogień. Długo wahała się nad wyborem ziół, nim przyrządziła lekarstwo.

Pierwszym pacjentem został Jeździec walący głową w drzewo. Jego stan jeszcze się pogorszył. Ciałem wstrząsały konwulsje, całkiem utracił świadomość.

– Chyba za późno, żeby ci pomóc, ale nie zawadzi spróbować – mruknęła, wlewając mu płyn do obślinionych ust.

Podeszła do następnych. Związanych napoiła bez problemów, gorzej było z tymi, którzy ciągle tańczyli swój taniec śmierci. Bronili się przed dotykiem, wytręcali kubek albo nie chcieli połykać gorzkiej mikstury. Wreszcie śmiertelnie wyczerpana, brudna i poraniona zeszła nad rzekę i legła na piasku.

Noc dłużyła się straszliwie. Z płytkiego snu wrywały ją skowyty i zawodzenia coraz mniej przypominające ludzkie głosy. Koń, którego wcześniej podprowadziła tak, by był blisko niej, tupał i rżał niespokojnie. Okręciła sobie w końcu wodze wokół dłoni, bojąc się, że ucieknie i zostawi ją samą. Z ulgą powitała pierwsze promienie słońca. Przygotowała nową porcję leku i wróciła do chorych.

Zamarło jej serce, bo większość Jeźdźców spoczywała na trawie, w dziwacznych, nienaturalnych pozycjach. Wszyscy umarli, pomyślała w panice, to wioska trupów. Podeszła do leżącego najbliżej dziecka i przyłożyła mu rękę do szyi. Żył. Puls miało szybszy niż normalnie, skórę śliską od potu, ale oddychało, tak samo zresztą jak pozostali. Tylko parę osób, jęcząc żałośnie i słabo, błąkało się pomiędzy śpiącymi. Napoiła ich swoją mieszanką, choć nie miała nadziei, że przeżyją. Trucizna poczyniła zbyt wielkie szkody w ich organizmach. Odnalazła swego pierwszego podopiecznego. Był martwy. Leżał sztywny, z rękami otartymi niemal do kości, bo widać próbował uwolnić się od sznura, którym go skrępowala.

Wędrowała pomiędzy śpiącymi, unosiła im głowy i wlewała w spieczone usta lekarstwo, uważając, by się nie udławili. Kiedy napoiła wszystkich, z trudem wdrapała się na konia i przejechała rzekę. Musiała się przespać. Miała nadzieję, że woda powstrzyma tych, którzy nie poddali się działaniu jej ziół.

Spała krótko i niespokojnie. Prześladowujące ją majaki powróciły. Zerwała się nagle zdjęta nieopanowanym lękiem i gorączkowo zaczęła przerzucać zawartość torby z lekami.

– Nie ma – szeptwała w udręce – nie ma... Nie ma! – zawyła jak zranione zwierzę.

Gdzieś na Równinie podążający dotąd spokojnie w kawalkadzie Jeźdźców Jarik zachwiał się w siodle. Z oczu spłynęły mu łzy. W swoim umyśle odczuł ból i strach targający Albaną. Zacisnął palce na medalionie, wyczuł w jukach twardy kształt owiniętego skórą bloku.

Ulga była tak nagła, że kobieta zachwiała się i przysiadła w trawie. Objęła rękami głowę, skuliła się. Jestem tak samo szalona jak ci ludzie tutaj, pomyślała z bólem. Och, Cal, dlaczego pozwoliłam ci odjechać...

Wspomnienie męża patrzącego na nią z miłością i ufnością przywróciło jej wreszcie odrobinę spokoju. Wykąpała się i wróciła do wioski. Kiedy mijała śpiących, nagle poczuła na sobie czyjś wzrok. Odwróciła się i dojrzała otwarte oczy młodego mężczyzny. Nie było w nich obłądu, jedynie oszołomienie i słabość. Roześmiała się głośno. Jeździec poruszył się, jęknął i próbował wstać. Przyklękła obok i podała kubek wystygłego napoju.

– Wypij na zdrowie – powiedziała łagodnie.

– Kim jeesteś – wymamrotał niewyraźnie, odsuwając naczynie.

– Uzdrowicielką. Pij.

Udało mu się podnieść trochę głowę. Spojrzał na leżące pokotem ciała.

– Co się stało?

– Zatruliście się wszyscy. To lekarstwo. Zaufaj mi i wypij.

Zacisnął wargi, więc bezceremonialnie złapała go za nos, poczekała, aż z braku powietrza otworzy usta i wlała mu zawartość naczynia do gardła.

– Musisz szybko nabrać sił, przyda mi się pomoc.

Otuliła go skórą wyciągniętą z najbliższego domostwa, pogłaskała po policzku.

– Jak ci na imię?

– Halim.

– Odpoczywaj, Halimie.

Miała ochotę krzyczeć z radości.

Popołudniem i nocą kilkoro następnych Jeźdźców odzyskało przytomność. Ciągłe byli słabi, ale żyli. Albana pracowała bez wytchnienia. Poila ich swoją miksturą, opatrywała skaleczenia, poodciągała też na bok trupy, by nie straszyły wracających do życia. Przeszukała całą wieś, namiot po namiocie, i wywlokła na zewnątrz każdy worek z ziarnem i mąką, jaki znalazła. Miała ochotę spalić to plugastwo, ale musiała zostawić dowód na poparcie swoich słów.

Rankiem Halim czuł się na tyle dobrze, że zjadł naprędce przygotowany przez Albanę posiłek i włączył się do pomocy. Czarownica wyjaśniła mu sytuację, a sama wśliznęła się do jurty i zasnęła głęboko.

Trzy dni później opuszczała wioskę żegnana błogosławieństwem Jeźdźców, z Halimem u boku i workiem ziarna przytroczonym do siodła.

Jeździec bez wahania prowadził ją tropem klanu Kevat. Gnali przez Równiny, ścigając się z wiatrem, by jak najszybciej odnaleźć obóz Malasa. Czwartego dnia tej szaleńczej jazdy ujrzeli pędzącą w ich kierunku grupę konnych. Stevar, Brian, Jarik i Dough wyjechali im naprzeciw. Machali rękami, krzyczeli radośnie słowa powitania.

Jarik pierwszy zsunął się z konia i przypadł do jej kolan.

– Jesteś, pani. Pilnowałem wszystkiego, jak kazałaś, i nikomu nie powiedziałem – szepnął na powitanie.

Albana czule pogłaskała go po zmierzwionych włosach.

– Wiem, głuptasie – uśmiechnęła się serdecznie. – Tak się cieszę, że was widzę. Nawet ciebie, Niedźwiedziu. A gdzie Cal?

Stear zmarszczył brwi.

– Dobrze, że wróciłaś – mruknął. – Nic ci nie jest?

– Nie. Jestem tylko zmęczona i głodna. Tak się spieszyliśmy, że nie zostało wiele czasu na polowanie. Stevar, gdzie jest Cal?

– Przekonuje Malasa, żeby cię przyjął z powrotem, ale wątpię, żeby co z tego wyszło. Stary jest uparty jak muł.

– Starszy może być spokojny. To nie zaraza, to trucizna.

– Jaka trucizna? – zdziwił się Niedźwiedź.

– Była w ziarnie, w mące. Uratowałam większość ludzi z tamtej wioski. Ten tutaj to jeden z nich. Ma na imię Halim. Ocknął się pierwszy, wszystko widział. Może zaświadczyć. – Albana wyprężyła się dumnie.

Stear niedbale skinął głową młodemu Jeźdźcowi.

– Może on przekona Malasa. Jedźmy, wieczorem powinniśmy ich dogonić.

Albana powstrzymała wsiadającego na konia Jarika.

– Mój medalion – powiedziała łagodnie. – Oddaj mi medalion i juki.

Chłopak spiesznie ściągnął wisior i podał jej. Zawiesiła łańcuch, czując, jak chłodny kamień dotyka znamienia. Wzięła swoje sakwy i przytoczyła do siodła.

– Ruszajmy – zawołała, naśladując śpiewny akcent Jeźdźców, i popędziła konia.

Malas nie dał się przekonać. Calmin w końcu machnął ręką i ruszył z obozu śladem swoich towarzyszy. Chciał jak najprędzej upewnić się, że Albana jest bezpieczna, znów trzymać ją w ramionach. Żałował, że pozwolił jej odejść samej. Nic na świecie nie było warte tęsknoty i niepokoju, które czuł. Nie zauważył, że od kolumny odłączył się ktoś jeszcze.

Balal dogonił go i zajechał drogę.

– Zsiadaj – rzucił wściekle. – Nikt bezkarnie nie będzie nazywał mnie pastuchem, odszczepieńcu. Myślałeś, że zapomnę? Zsiadaj i walcz.

Tyle było nienawiści w głosie młodego Jeźdźcy, że Calminowi ścierpła skóra. Nie wiedział, czy powinien podjąć wyzwanie, czy uciec, ale nim się zdecydował, Balal złapał za uzdę jego wierzchowca.

– Tchórzysz, Fen? Tak jak wtedy, gdy nie wróciłeś na Równiny? Myślisz, że wszyscy o tym zapomnieli?

– Mam tylko łuk i nóż do patroszenia – powiedział powoli Cal.

Balal zdjął swój łuk, odpiął miecz i odrzucił daleko od siebie.

– Twój nóż i mój nóż. Zsiadaj, tchórze.

Cal zacisnął zęby. Prowokuje mnie, pomyślał. Tylko spokojnie.

Nie spuszczać z siebie oczu, zsunęli się z koni, uwiązali je do palików i wyjęli noże. Zaczęli okrążyć się czujnie. Ostrze Balala błysnęło w słońcu. Jeździec zrobił wypad w stronę Cala i ciął mocno. Calmin uchylił się. Obaj podjęli swój taniec. Balal, powodowany wściekłością, atakował raz po raz. Cal bronił się, oceniając siły i umiejętności przeciwnika. Ogarnął go spokój i poczucie nierealności, jakie czuł podczas każdej walki. Strach przychodził dopiero potem.

Balal walczył agresywnie, wkładając wszystkie siły w każdy atak, każde pchnięcie. Łatwość, z jaką Fen parował ciosy, podsyciła jego złość, postanowił więc zmienić taktykę.

Zamachnął się, w ostatniej chwili zmienił kierunek i uderzył od dołu, celując w brzuch. Cał złapał go za nadgarstek i pomagając sobie kolaniem, odrzucił od siebie.

– Chcesz mnie zabić?

– Stawaj – wydyszał Balal, podnosząc się z ziemi.

– Czy nazwanie kogoś pastuchem wystarczy, żeby Jeździec zwrócił się przeciwko Jeźdźcowi?

– Stawaj, Fen!

– Nie chcę cię zabijać. Widziałem już dość śmierci...

Balal doskoczył do Cala, nie pozwalając mu dokończyć. Pojedynek rozgorzał na nowo, zacieklejszy niż poprzednio.

– ...Delk, syn Finali, pił z pucharu z młodą Wayllą. To była wielka uczta. Mięso, ser, chleb i placki żółte od szafranu – opowiadał Halim. – Bawiliśmy się całą noc... Co było dalej, nie pamiętam. Tylko jakieś barwy, które raziły moje oczy, i to, że musiałem iść. Dokąd, nie wiem.

Albana w zamyśleniu kiwała głową.

– Dlaczego Jingu osiedli w miejscu? – spytał Stevar.

– Wczesną wiosną przyłączył się do nas kapłan. Opowiadał nam o bogu, o błogosławieństwach, jakich doświadczamy dzięki niemu. Myślę, że to on namówił starszego na założenie wsi. Nie mnie sądzić jego decyzję, ale brakowało mi wędrówki, widoku stada pędzącego przez trawy...

– A mnich? Gdzie się podział?

– Ruszył dalej. Powiedział, że wypełnił swe zadanie wśród Jingu, rozgrzał nasze serca, oczyścił dusze i zwrócił je ku bogu. Pojechał szukać innych klanów.

Stevar parsknął ponurym śmiechem i zamilkł, ale Albana drążyła dalej.

– Skąd mieliście ziarno?

– Jest taki kram, wedle Bramy Karła. Za parę łutów szafranu można tam dostać różne rzeczy.

Kobieta prychnęła z irytacją.

– Pewnie to jakiś oszust. Szafran jest rzadką przyprawą i lekarstwem. Nie ma zielarki, która nie chciałaby mieć go w swoich zbiorach. Ale u was go pod dostatkiem.

– Każdej wiosny nasze kobiety łuszczą krokusy – wyjaśnił zdumiony Halim. – Kiedy topnieją śniegi, jest ich zatrzesienie, plenią się jak chwasty.

– Może... – zaczęła Albana.

– Pospieszmy się – krzyknął nagle Jarik i popędził konia. Już od dłuższego czasu nie słuchał Halima, tylko kręcił się niespokojnie, nasłuchiwał.

Albana, w jednej chwili czujna, wyostrzyła zmysły. Zachwiała się w siodle, kiedy dotarła do niej fala nienawiści i strachu.

– Cał – wykrztusiła. – Szybko. Tam.

Ruszyli galopem.

Chwila dekoncentracji, kiedy spostrzegł błysk rudych włosów, niemal kosztowała Calmina życie. Nóż Balala rozciął mu skórę na piersiach, zahaczył o żebro. Potknął się i przewrócił do tyłu, wypuszczając z ręki swoje ostrze. Balal rzucił się na niego. Cał odtoczył się w bok, rozpaczliwie błędząc ręką w poszukiwaniu noża. Kiedy poczuł w spoczonej dłoni rękojeść, z całą siłą, na jaką było go jeszcze stać, kopnął Balala w krocze. Jeździec stęknął z bólu i

stoczył się wprost na postawiony sztorcem nóż. Z rany na piersi bluznęła krew.

Niedźwiedź, pilnie obserwujący sytuację, gotów w każdej chwili przyjść z pomocą przyjacielowi, ściągnął na trawę martwego Balala i podał rękę Calowi. Albana podbiegła do męża i przytuliła go mocno. Jarik szlochał, bo nie mógł poradzić sobie z intensywnością bodźców, które odbierał jego niewyszkolony umysł.

Albana poczuła nagle, że Calmin wsparł się na niej całym ciężarem, jakby miał za chwilę upaść. Podtrzymała go i z pomocą Niedźwiedzia usadziła na trawie. Dopiero teraz dostrzegła strużkę krwi sączącą się z piersi. Przemogła ogarniającą ją słabość, odwróciła wzrok i sięgnęła po torbę z lekami.

Stear tylko rzucił okiem na ranę, skrzywił się i powiedział pewnie:

– Nic ci nie będzie. Co tu się stało?

Cal oderwał wzrok od Albany.

– Nie darował, że obraziłem go nad przeprawą. Jechał za mną i wyzwiał na pojedynek. Próbowaliśmy mu przemówić do rozumu, ale nie słuchał.

– Co zrobimy? Malas się wścieknie.

– Nie wiem. Kto jest z wami?

Kobieta zdjęła z grzbietu męża postrzępioną koszulę, podarła ją i opatrzyła zranienie. Drżały jej ręce, oczy zaszkliły się łzami, w kącikach ust zbierała ślina, ale nie przerwała, póki nie zaciągnęła ostatniego supła.

– To Halim z klanu Jingu. Uratowałam prawie wszystkich z „tańczącej wsi” – powiedziała cicho.

– Ty i twój klan możecie być z niej dumni – potwierdził milczący dotąd Halim.

Cal skinął głową. Stęknął i podniósł się.

– Jeśli potrafisz wyleczyć tę zarazę, może Malas zmieni zdanie.

– Poprawił bandażę, odrzucił do tyłu warkocz. – Musimy zabrać ciało Balala. Klan powinien wyprawić mu godziwy pochówek. Zginął jak wojownik. Zabierzcie jego rzeczy i ruszajmy, Jeźdźcy są niedaleko – dodał po chwili namysłu.

Brian i Dough załadowali trupa na konia, odszukali porzucony w trawie oręż i orszak pogrzebowy ruszył na zachód.

Obóz klanu Kevat był już przygotowany do noclegu. Kiedy żołnierze zjawili się na horyzoncie, naprzeciw wyjechali im wartownicy.

– Ani kroku dalej – ostrzegł głośno Tamalach, trzymając się w bezpiecznej odległości. – Macie obozować z dala od nas.

– Sprowadźcie Malasa, musimy porozmawiać – krzyknął Cal, wskazując na nieboszczyka.

Jeźdźcy rozpoznali Balala, ich spojrzenia nagle stwardniały. Skłonili ku sobie głowy i porozumieli się szeptem. Jeden z nich zawrócił konia i pognął ku namiotom. Wrócił po chwili wraz z Malasem.

– Co się stało? – rzucił gniewnie starszy, patrząc na przerzucone przez wierzchowca ciało.

– Balal zginął z honorem, jak przystało najeźdźca – powiedział Cal, ostrożnie dobierając słowa.

– Z czyjej ręki?

– Z mojej – przyznał Fen, patrząc wprost w błękitne oczy starszego. – Wyzwał mnie i przegrał. Przywiozłem jego ciało, byście go godnie pożegnali.

Malas patrzył uważnie na kompanię Calmina, zatrzymując spojrzenie na każdej twarzy. Kiedy jego wzrok spoczął na Halimie, młody Jeździec wysunął się do przodu.

– Jestem Halim, z klanu Jingu – przedstawił się. – Widziałem śmierć tego, którego zwali Balalem. Zginął honorowo, w walce.

– Dlaczego cię wyzwiał, Fen?

– Znieważylem go nad urwiskiem – przyznał Cal. – Nie mógł tego zapomnieć. Pewnie nie dałbyś zgody na pojedynek, więc czekał na sposobność, by zostać ze mną sam na sam. Nie chciałem tego...

– Balal był gwałtownikiem. Mogę uwierzyć, że nie zapomniał twoich słów – powiedział ponuro starszy. – Stało się. Jego ciało spłonie, a dobytek zostanie rozdany.

Cal wypuścił wodze z ręki i klepnął konia, kierując go ku Jeźdźcom z klanu Kevat. Tamalach złapał wierzchowca i poprowadził w stronę ognisk. Wszyscy patrzyli w milczeniu na ostatnią drogę Balala.

– Starszy – przerwała ciszę Albana. – Wróciłam zdrowa i przywiodłam ze sobą Halima z klanu Jingu, by świadczył o prawdziwości moich słów. To nie zaraza zabija we wsiach, ale trucizna. Trzeba ostrzec inne wioski i sporządzić lekarstwo.

Starszy zamyślił się głęboko, popatrując w stronę swojego obozu.

– Trzymajcie się naszych śladów – powiedział w końcu. – Macie dwa łuki, to wystarczy do polowania. Jeśli nie zachorujecie, zanim dojedziemy na targi, będziecie mogli porozmawiać z wodzem. Wiedźcie, że raczej was zabiję, niż pozwolę na rozniesienie zarazy – dokończył twardo.

Albana westchnęła. Calmin pokręcił głową zrezygnowany.

– Będziemy trzymać się z dala – obiecał.

Malas odjechał, wartownicy cofnęli się nieco. Drużyna popatrzyła na siebie z goryczą.

– Pomogła im, a oni w zamian grożą śmiercią. Gościnnie ludek ci Jeźdźcy – burknął Niedźwiedź, wyrażając myśli pozostałych.

Następne dni upłynęły im na monotonnej jeździe tropem klanu Kevat. Mogliby, co prawda, spróbować wymknąć się Jeźdźcom, ale po naradzie uznali, że dzień lub dwa, które by zaoszczędzili, nie są warte ryzyka. Nikt nie wątpił, że Malas spełniłby swoją groźbę.

Benektus zapalił się do pomysłu, żeby wciągnąć do spisku Jastrzębia i uczynić go dowódcą wojsk rebeliantów, musiał go tylko odnaleźć. Wątpił, czy gubernator Rhodes zaufa mu na tyle, żeby pomóc w tym zadaniu, bo choć koniuszy często gościł w Mulacium, nie znał bliżej gubernatora Rubieży. Dlatego po dokładnym przemyśleniu sprawy Benektus postanowił wpieryw ustalić tożsamość Jastrzębia. Uczynił założenie, że kapitan jest rzeczywiście żołnierzem Królewskiej Armii Imeskarii i rozpoczął poszukiwania od kantorka kapitana Arebusa. Pod pretekstem ustalenia liczby koni, które zamierzał nabyć na końskich targach, przejrzał rejestry, a potem przeprowadził krótki wywiad wśród swoich podwładnych, stajennych i koniuchów. Wśród wojaków, którzy wyruszyli na wyprawę przeciwko bandytom, uwagę koniuszego zwrócili Weda, Trevor, Stevar i jego przyjaciel Calmin Fen, Jeździec Równin.

Ponieważ końskie targi miały się odbyć już za parę dni, Benektus postanowił wykorzystać pobyt na Równinach do zebrania informacji o Calminie z klanu Fen. Sposobił się do wyjazdu, z podnieceniem zastanawiając się, co przyniesie czas i czy uda mu się wykroić parę dni, by odwiedzić Ostatnią Twierdzę. Miał ochotę porozmawiać z Sajronem, którego zdanie bardzo sobie cenił.

Bazyl, wraz z innymi ukrytymi w lesie żołnierzami, obserwował przerażający pojedynek na poszczerbionych murach Celebonu. Wściekłość mało go nie zadusiła, bo na jego oczach szlag trafił nie tylko Jastrzębia i czerwono włosą wiedźmę, lecz także jego zapłatę. Nie wątpił, że sprawozdanie z tego widowiska wkrótce dotrze do uszu Zebona, a ten niechybnie zażąda zwrotu zaliczki, której Bazyl pozbył się już dawno. Kiedy z ruin wrócili zwiadowcy, informując, że nikt nie przeżył, a ciała zostały pogrzebane pod gruzami, nie pozostało mu nic innego jak odwrót u boku wojaków. Przez chwilę rozważał myśl o przejęciu dowództwa i uczynienia z oddziału Jastrzębia prawdziwej zbójeckiej watahy, ale szybko ją porzucił. Wystarczająco wynudził się u Krispa, by zniechęcić się do bandyckiego rzemiosła. Wrócił jednak do wsi, licząc, że uda mu się zagarnąć żołnierskie skarby.

Pozostawieni w wiosce ranni z niedowierzaniem słuchali nowin, kręcili głowami, przeklinali albo otwarcie płakali, nie umiając ukryć żalu za swym kapitanem. Każdy miał coś do opowiedzenia, wspominał chwile, które spędził w oddziale, i przechylał bukłak, by uczcić pamięć o nim.

Bazyl w tym czasie nie próżnował. Przeszukał wieś, chałupa po chałupie, i udało mu się znaleźć trochę cennych rzeczy. Spakował to, osiodłał konia i już miał odjechać, kiedy wpadł mu w ucho fragment rozmowy.

– ...i przepadł jako kamień we wodę – upierał się ktoś.

– Nieprawda! On kapitana na krok nie odstępował. Może się zapodział w lesie – oponował drugi z pijackim uporem.

– Godom ci przecie, że nie pojechał z kapitanem ino z nami ostoł. Był tu, aż do przedwczora, a potem znikł.

– Szukaliście?

– A jakże. Jastrząb by się rozsierdził, jakby mu się co stało. Szukalim, ale nie znaleźlim.

Głosy na chwilę przycichły stłumione bulgotem rozlewanej napitki, a Bazyl wreszcie dosiadł konia i ruszył ku Mulacium. Lecz coś nie dawało mu spokoju. Jako najemny morderca w równym stopniu polegał na sile, rozumie i instynkcie. Bezasadne uczucie niepokoju nieraz pozwoliło mu na ucieczkę przed niebezpieczeństwem wcześniej, niż wydawało się to konieczne. Bazyl nauczył się, że nie wolno go lekceważyć. Dlatego po kilku chwilach zawrócił wierzchowca i ruszył z powrotem w stronę Celebonu. Jechał spieszenie, zatrzymując się na krótkie popasy, byle koń odpoczął. Nie musiał polować. Zabrał z wioski wystarczającą ilość jedzenia.

Do Celebonu dotarł nocą, po całym dniu spędzonym w siodle. Oświetlone poświatą księżycza ruiny robiły niesamowite wrażenie. Bazyl, który przecież spędził w nich sporo czasu, nie rozpoznawał teraz żadnego miejsca. Ziemia rozstąpiła się, odkrywając lochy, fragmenty murów rozpadły się na dziesiątki odłamków.

Morderca patrzył na ten przerażający widok i rozum podpowiadał mu, że z takiego kataklizmu nikt nie mógł ocaleć, ale instynkt nakazywał szukać dalej. Opuścił zrujnowane miasto i zagłębił się w pobliskich lasach, zataczając coraz szersze koła. W końcu natrafił na ślady popasu. Popiół z ogniska, ogryzione kości i świeże odchody wyraźnie świadczyły, że na polanie obozowała spora grupa. Ruszył ich śladem, ciągle nie bardzo rozumiejąc, dlaczego płacze się po wertepach, zamiast jechać do najbliższego miasta, sprzedać znalezione łupy, wykapać się wreszcie i porządnie odziać.

Kiedy dotarł do Rzeki Czerwonej i znalazł szczypiące trawę konie, pogratulował sobie cierpliwości. W jednym z wierzchowców rozpoznał potężnego wałacha, który nosił na

grzbiecie Stevara. Przeszukał pozostawione bagaże, wziął równańczyka, na którym ponoć jeździł kapitan, i ruszył wzdłuż urwiska, szukając dalszych tropów. Nie wiedział o istnieniu Grzbietu Valse, więc z każdym dniem coraz bardziej oddalał się od jedyne go brodu, który wiódł do Marth.

Stopniowo skały obniżyły się tak, że Bazyl jechał po równinie wzdłuż brzegu. Domyślał się już, że Jastrząb wraz z kompanami przebył rzekę, pilnie zatem wypatrywał płycizny. Kiedy po raz kolejny pochylał się nad kipiela, żeby sprawdzić głębokość wody, odkrył szarpane prądem, uwięzione pomiędzy głazami ciało. Pokiereszowane, napęczniałe zwłoki miały na sobie żołnierskimundur. Makabryczne znalezisko potwierdziło jego domysły, postanowił więc nie tracić więcej czasu, tylko jechać na przełaj do Bramy Karła i stamtąd na nowo rozpocząć poszukiwania tajemniczego dowódcy.

Końskie targi na Równinach Marth odbywały się zwyczajowo dwa razy w roku, w czas letniej i zimowej równonocy. Do Bramy Karła ściągali rzemieślnicy, kupcy, żebracy i wędrowni kuglarze liczący na szybki zarobek. Również Jeźdźcy cenili sobie te spotkania. Zbierały się wtedy wszystkie klany, spotykała Rada Starszych, a młodzież urządzała wyścigi i zawody w ujeżdżaniu.

Valdal z klanu Tema, wódz Jeźdźców, z niepokojem obserwował malejącą liczbę kupców na równinnych koniach. Ludzie ubożeli i chociaż targ tętnił życiem, to zawierano nieliczne tylko transakcje. Tak było już od kilku sezonów. Jeźdźcy z coraz większym trudem wysuptywali miedziaki na kupno zapasów potrzebnych do przetrwania kolejnej zimy, broni czy choćby porządnych butów. Dlatego nie protestował, gdy niektóre klany postanowiły spróbować nowego stylu życia i osiedlić się na stałe, żeby uprawiać zboże i hodować zwierzęta.

Valdal był poważnym młodym mężczyzną, liczącym sobie dwadzieścia osiem wiosen. Niski, korpulentny, miał bystry rozum i skrytą naturę. Wybór na wodza przyjął z godnością, a decyzje podejmował rozważnie. Teraz jego największą troską stała się przyszłość Jeźdźców. W obliczu biedy i szalejącej zarazy Valdal widział ją z każdym dniem w czarniejszych barwach. Martwił się nieustannie, a w jego warkoczu widać było coraz więcej srebrnych nitk.

Wieść o rudowłosej uzdrowicielce, którą przywiózł Malas, sprawiła, że poczuł przyływ nadziei. Poruszyła go też wiadomość powrocie Calmina z klanu Fen, rywala sprzed lat. Dlatego tylko nikłą część uwagi poświęcał słowom swego dostojnego gościa, Wielkiego Koniuszego, który siedział ze skrzyżowanymi nogami w jego namiocie i popijał kumys.

Benektus przybył do Bramy Karła wczesnym popołudniem i z przyjemnością zanurzył się w atmosferze targowego rozgardiaszu. Przechadzał się pomiędzy straganami, rzucał drobniaki fikającym kozły akrobatom i podziwiał wystawione na sprzedaż równinnych wierzchowce. Koniuszy miał szczerze dość przytłaczającej ciszy zamkowych korytarzy i zawodzeń chóru na wieczornych modlitwach, nie zważał więc na rozwrzeszczane dzieciaki ani na psy płaczące się pod nogami, lecz cieszył się każdą chwilą. Tym bardziej że lubił Jeźdźców, podziwiał ich dumę, niezależność i tradycje, których nie zarzucili po zakończeniu smoczniej wojny.

Kiedy dotarł wreszcie do namiotu Valdała, był zakurzony, zmęczony, ale radosny. Przyjął zaproszenie do wspólnego posiłku, bez skrupowania raczył się schłodzonym alkoholem i opowiadał pikantne dworskie ploteczki. Jednak tym razem wódz najwyraźniej miał myśli zaprzątnięte czymś innym, bo dobrą chwilę trwało, nim spostrzegł, że jego gość umilkł.

– Wybacz, Benektusie – mitygował się – ale troski przyćmiły radość z twojego przybycia.
– A ja myślałem, że wiedziecie życie wolni jak ptaki i nie znacie zmartwień. – Wieki Koniuszy uśmiechnął się spod wąsa.

– Może tak było kiedyś – zasępił się Valdal. – Powiedz ty, bywały w świecie, słyszałeś kiedy o „tańczących wsiach”?

Nie czekając na odpowiedź, zaczął mówić. O chorobie, która pustoszyła osady, biedzie wyglądającej z każdego kąta, o wędrujących kapłanach. Benektus słuchał ze zmarszczonymi brwiami, splatał i rozplatał palce, gryzł wąsy.

– Nie jestem medykiem, ale znam paru uzdrowicieli. Zapytam o „tańczące wsie”, obiecuję.
– Przerwał, położył dłoń na ramieniu wodza i spojrzał mu w oczy. – Co do reszty... Udzielę ci rady, Valdału, przyjacielskiej rady. Nie ufaj kapłanom i nie lekceważ ich. To szpiedzy, nie misjonarze, a Zebon z przyjemnością znajdzie pretekst, żeby ukrócić waszą, zbytnią jego zdaniem, niezależność.

Valdal skulił ramiona, przeciągnął dłonią po twarzy.

– Jeszcze i to – westchnął. – Dzięki, Benektusie, wezmę to pod uwagę.

Zamyślili się oboje, w namiocie zapadło ciężkie milczenie. Pierwszy ocknął się Valdal i przypomniał sobie o obowiązkach gospodarza. Podsunął gościowi kolejną czarkę kumysu.

– Wspomniałeś o uzdrowicielach – zagaił. – Jeszcze dziś mam się spotkać z pewną znachorką. Może poszedłbyś ze mną i posłuchał, co ma do powiedzenia? Nie jestem pewien, czy można jej ufać.

– Dlaczego nie postawisz jej przed Radą?

Valdal zamyślił się.

– Ciężko to wytłumaczyć – odezwał się w końcu. – Malas, który przywiódł ją i jej towarzyszy, opowiada dziwne rzeczy. Mam wątpliwości, czy Rada... Ty widziałeś niejedno, ciężko cię zadziwić, zwieść gładkimi słówkami.

– Cóż – zawahał się koniuszy. – A jeśli mój osąd zawiedzie?

– Wysłucham twojej opinii, ale decyzję podejmę sam – zapewnił go Valdal.

– Więc zgoda, wodzu – zgodził się Benektus. – I ja będę miał do ciebie prośbę, ale to może poczekać.

– Dziękuję ci. Wyznaczę miejsce spotkania, gdzieś na uboczu, a ty pozostaniesz w ukryciu. Łatwiej ci będzie obserwować tych ludzi. A teraz wybacz, obowiązki wzywają.

Valdal osobiście wyznaczył kwatery dla kompanii Calmina z klanu Fen. Namioty, do których skierowano przybyszów, rozbito z dala od innych, tak by Jeźdźcy mogli mieć nad nimi nieustanny dyskretny nadzór.

Zaraz po przyjeździe, ledwo tylko Cal i pozostali zdążyli rozkulbaczyć konie, zaprowadzono ich w ustronne miejsce. Drogę na trawiastą równinę zastawili wartownicy, obóz odgradzony był pasem splątanych zarośli.

Nad Bramą Karła powoli zapadał zmierzch. Powietrze było parne, ciężkie, a na zachodzie zbierały się chmury, granatowe plamy na tle złocistego nieba. Pomiędzy domostwami rozbłyły ogniska i pochodnie, cykanie świerszczy mieszało się z piskliwymi dźwiękami fujarek.

Valdal stał naprzeciwko grupy przybyszów. Rozkazał ustawić ich tak, że łagodne promienie zachodzącego słońca oświetlało sylwetki gości, podczas gdy jego samego otulał już zmierzch. Wszyscy byli zakurzeni od całodziennego jazdy, cuchnęli końskim potem, twarze mieli

ściągnięte ze zmęczenia. Młody Jeździec w barwach Jingu skłonił się z szacunkiem, reszta stała w niedbałych pozach, choć oczy mężczyzn czujnie śledziły wartowników. Wreszcie wysoki, barczysty Jeździec, o źrenicach przejrzystych niby górski kryształ, pochylił głowę.

– Witaj, wodzu. Czujemy się zaszczytzeni, że ofiarowałeś nam gościnę.

Mimo że słowa brzmiały uprzejmie, w głosie wyraźnie słychać było ironię. Valdał zacisnął szczęki.

– Witaj na Równinach, Albano da Fen – odezwał się, ignorując powitanie. – Starszy klanu Kevat...

Ukryty w krzakach Benektus, rozpoznawszy Albanę, mało nie wraził sobie gałęzi do oka, a gdy dotarły do niego słowa wodza, nie wytrzymał i wygramolił się z kryjóWKi.

– Albana da Fen? Co to znaczy, u licha?

Calmin, Niedźwiedź, Brian i Dough ze zdumieniem patrzyli na Wielkiego Koniuszego Królestwa wylazącego z zarośli, z patykami w siwych włosach i ubraniem pobrudzonym trawą. Valdał syknął ze złością, Albana roześmiała się chrapliwie.

– Witaj, przyjacielu. Dlaczego siedzisz w tych chaszczach? Nabawiłeś się reumatyzmu i leczysz go pokrzywą?

– Żarty się ciebie trzymają, kobieto – parsknął koniuszy i uściskał ją serdecznie. – Skąd się wzięłaś na Równinach? Zostałaś żoną Jeźdźca?

– To wy się znacie? – spytali równocześnie Cal, Brian, Valdał, Stevar i Dough.

– A jakże – potwierdził radośnie Benektus. – Valdału, stoi przed tobą najlepsza uzdrowicielka w Imeskarii. Możesz jej zaufać, ręczę za to. Ale pozostałych nie znam – zastrzegł się szybko.

– To mój mąż Calmin z klanu Fen, Stevar, Brian, Dough i Jarik. Ten Jeździec to Halim z klanu Jingu – przedstawiła swych towarzyszy Albana.

Benektus po raz kolejny przetarł zdumione oczy.

– Calmin Fen, Stevar... – powtórzył słabo. – Ależ ja właśnie przyjechałem... Jesteś jego żoną?! Jak? Kiedy?

Wódz spoglądał oszołomiony na zielonooką kobietę, na ściskającego ją Benektusa, na równie zdziwionego Cala. Nagle poczuł się bardzo niepewnie.

– Chodźmy stąd – mruknął w końcu. – Musimy porozmawiać.

– Racja, racja – poparł go koniuszy. – Kręcą się tu różne męty, ehm, kapłani...

Stojące na uboczu namioty były obszerne i wygodne. Valdał przez parę chwil, które zajęło im przejście do obozu, miał czas, żeby przemyśleć sytuację.

– Najpilniejszy jest teraz ratunek przed zarazą, która zabija moich ludzi. Reszta może poczekać – oświadczył stanowczo, kiedy wszyscy usadowili się już na miękkich skórach. – Starszy klanu Kevat mówił, że potrafisz uleczyć chorych. Czy to prawda, Albano da Fen?

– Tłumaczyłam już Malasowi – westchnęła kobieta. – To nie zaraza zabija Jeźdźców, lecz ziarno, z którego pieką chleb. Popatrzcie.

Pokazała nasiona, które przywiozła z wioski Jingu, a młody Halim opowiedział o zaślubinach i uczcie, która zakończyła się tak fatalnie, o pomocy udzielonej im przez rudowłosą uzdrowicielkę.

– Trzeba natychmiast sprawdzić wszystkie worki z ziarnem i mąką, które są w obozie. – Wódz zerwał się i szybko wydał polecenie wartownikom. – I niech nikt nie waży się jeść chleba, póki nie zezwolę! – krzyknął jeszcze za znikającymi w ciemnościach sylwetkami.

W namiocie na chwilę zapadło milczenie. Przerwał je Calmin.

– Czy klan Fen przybył?
– Tak, wszyscy już są. Chcesz się z nimi spotkać?
– Z matką.
– Tylko z matką? – zdziwił się wódz. – Nie chcesz rozmawiać z rodzeństwem, z Falkalase?

Twarz Cala skurczyła się jak pod wpływem bólu. Trwało to tylko moment, ale nie uszło niczyjej uwagi.

– Nie – powiedział. – Wolałbym, żeby jak najmniej osób wiedziało o naszym pobycie tutaj.
– Mądra decyzja, Albana nie powinna się pokazywać – pochwalił Benektus ze swego kąta.
– I tak nie pojmuję, jakim sposobem Sajron zezwolił ci na przyjazd. – Pociągnął ją za rudy warkocz. – Jak go przekonałaś?

Zanim kobieta zdążyła odpowiedzieć, wrócili wartownicy, taszcząc worki z nasionami. Albana szybko je sprawdziła.

– Wyrzućcie to świństwo – mruknęła i obficie strzyknęła śliną, otarła usta. – Wszystkie są zatrute. Nie podoba mi się to.

– Nie myślisz chyba... – zaczął koniuszy, poczochnął ręką włosy i zamilkł, jakby przestraszył się własnych myśli. – Nie, nikt, nawet on, nie posunąłby się tak daleko... chociaż... – Zawahał się i dodał po chwili: – Chociaż, kto wie, co mogło się wykluć w głowie szaleńca. Później zjawiliby się kapłani i zaraza ustąpiłaby... chwalmy Boga o Wielu Obliczach i jego Najwyższego Kapłana... Koniecznie muszę porozmawiać z Sajronem.

– Czas zwołać Radę – zdecydował milczący dotąd Valdal. – Możecie być spokojni, nikt nie będzie was tu niepokoił, wartownicy tego dopilnują. Dziękuję, Albano da Fen, Jeźdźcy mają wobec ciebie ogromny dług.

Wyszedł, za nim po chwili wahania wymknął się Halim i w namiocie znów zapadło milczenie. Każdy miał tyle pytań i wątpliwości, że nikt nie wiedział, od czego zacząć. Albana siedziała z opuszczoną głową, unikając spojrzenia Benektusa. Nie miała pojęcia, w jaki sposób przekazać mu wieść o śmierci Sajrona. Koniuszy zastanawiał się, jak rozpocząć rozmowę o Jastrzębiu, żeby nie zbyto go byle wykrętem. Uprzedził go Cal.

– Zdaje się, że miałeś do mnie i Stevara jakąś sprawę, panie – przerwał ciszę. – Mów w czym rzecz, zostali sami swoi.

– Tak, no cóż – westchnął koniuszy. – Przejrzałem listy żołnierzy, którzy wyruszyli z Loenu na Rubieże, i stąd wasze imiona nie są mi obce. Szukam Jastrzębia, chcę z nim pomówić.

– Jaki masz do niego interes? – spytał Stevar.

– Wybacz, to sprawa pomiędzy mną a Jastrzębiem, nikim innym.

– Przykro mi – powiedział sucho Calmin – ale Jastrzab nie żyje, a jego oddział się rozpadł.

– Nie żyje? To niemożliwe! Ja muszę się z nim spotkać. Albano...

– Powiedz, co to za sprawa, Benektusie.

Coś takiego było w jej głosie, że koniuszego nagle przeszedł dreszcz. Przypomniał sobie, co o rudowłosej kobiecie mówił mu Sajron, co sam widział.

– Życie wielu ludzi zależy od dochowania tajemnicy – odezwał się w końcu wykrętnie. – Jak zginął Jastrzab?

– Na murach Celebonu. Poległ on, kilkoro jego towarzyszy i czerwono-włosa wiedźma, która pogrzebała ciała pod murami – wyjaśniła spokojnie Albana.

– Czerwono... Ty? Ale jak? Przecież...

– Jastrzab zginął – powtórzył z naciskiem Fen. – Widziało to prawie pięćdziesięciu ludzi.

Jakikolwiek miałeś do niego interes, spóźniłeś się.

– Więc to jeden z was – uznał koniuszy.

W namiocie było ciemno, do środka docierał jedynie nikły blask zapalonego na zewnątrz ognia. Benektus nie widział twarzy swoich rozmówców. Pożałował, że nie może zajrzeć w siwe oczy Jeźdźca ani błękitne, ocienione gęstymi brwiami tęczę Stevara. Odchrząknął i zdecydował się porzucić dyplomację.

– Jest w Loenie grupa ludzi, która chce usunąć naszego, hm, łysego znajomego. Aby taka rzecz się powiodła, trzeba, by gubernatorzy, wojsko i zwykli ludzie poparli tę sprawę. Jestem, jak by tu rzec, emisariuszem, który miał skontaktować się z Jastrzębiem i zaofiarować mu dowództwo wojsk rebeliantów. Kapitan jest znany wśród żołnierzy i ludu, ma poparcie gubernatora Rubieży. A gdyby Rhodes przyłączył się do spisku, za nim może poszliby inni.

Stevar gwizdnął przeciągle, Albana uśmiechnęła się ze złośliwą satysfakcją. Tylko Fen pozostał ponury.

– To dobry plan – odezwał się. – Dziwi mnie, że tak długo z tym zwlekaliście. Rhodes poprze was z pewnością, czy zrobią to inni, nie wiem. Prośba o pomoc w walce z bandytami to jedno, udział w spisku przeciwko Najwyższemu Kapłanowi to drugie. Gdybyś skontaktował się ze mną wcześniej, kto wie... Dziś odpowiem ci tak: Jastrząb nie żyje, a my mamy co innego do zrobienia. Musicie poradzić sobie bez niego i jego ludzi.

W namiocie zapadło ciężkie milczenie. Benektus zawzięcie żuł wąsa.

– Co może być ważniejszego od usunięcia tego wrzodu, który rujnuje kraj? – wybuchnął wreszcie.

Zaszurały skóry i Benektus poczuł na ramieniu drobną dłoń.

– Przejdźmy się, przyjacielu – powiedziała Albana. – Już noc, nikt nie powinien nas zobaczyć.

Wyszli. W ciemnościach Stevar przeczesał palcami od dawna niestrzyżone włosy.

– Może jednak powinniśmy rozważyć tę propozycję? – spytał ostrożnie.

– Nie trzymam cię za koszulę. Jeśli chcesz zostać, zostań. Możesz objąć komendę nad wojskiem, Rhodes cię zna i ufa – niespodziewanie ostro odezwał się Calmin. – Wy tak samo.

– Przecież wiesz, że nie o to mi idzie – ciągnął Niedźwiedź. – Smoki to legendowe mrzonki, a Benektus daje nam szansę stanięcia twarzą w twarz z wrogiem. Moglibyśmy wreszcie złoić skóry tym szarym dupkom, dobrać się do Zebona.

– Nie zmienię zdania – powtórzył uparcie Cal.

Stevar zacisnął zęby i zamilkł. W mroku słychać było tylko jego ciężki oddech.

– Nie ma nic ważniejszego niż ubicie bestii – odezwał się niespodziewanie cichy głos Jarika.

– Strasznie pyskaty się ostatnio zrobiłeś – ofuknął go Niedźwiedź.

– Daj mu spokój. Jest jednym z nas, ma prawo do własnego zdania – sarknął Fen. – A ty zdecyduj się: zostajesz z nami czy przyłączasz się do Benektusa?

– Zostaję – burknął Stevar.

Na zewnątrz, pod czujnym okiem wartowników, Albana przechadzała się z Benektusem i cichym głosem opowiadała ostatnie wydarzenia. Koniuszy słuchał uważnie, na przemian blednąc i czerwieniejąc. Nie wszystkie sprawy były mu obce, bo Sajron zwierzył mu się ze swoich obaw, opowiadał o poszukiwaniach, pokazał szkatułę. Koniuszy sam wprowadził na dwór Lavalę, aby wykorzystując swój Dar, odnalazła klucz. Sukces tych wysiłków, okupiony śmiercią starego przyjaciela, przyprawił go o drzenie.

– Tak trudno w to uwierzyć, ogarnąć wszystko. Tak wiele się wydarzyło – powtarzał raz za razem. – Co robić, co robić?

– Przeprowadzić wasz zamysł do końca. Nie będzie łatwo, ważycie się na wielką rzecz. Zebon jest Obdarowany, silny, może wyczuć wasze intencje. Ale kiedy zginie, wszystko powinno być prostsze. Dopilnujcie, żeby natychmiast przywrócono dawną liczebność armii i wyposażono ją należycie, nie zaniedbujcie wystawiania posterunków na wieżach obserwacyjnych – poradziła Albana. – Kogo zamierzacie posadzić na tronie?

– To inny problem. Przeszukujemy... Co? Co powiedziałaś? Że Zebon jest Obdarowany? Jak to?

– Nie wiedziałaś? – zdziwiła się kobieta. – Był uczniem Sajrona, ale widać władza nad garstką wygnańców mu nie wystarczała. Pokłócili się i odszedł.

Benektusowi na dłuższą chwilę odebrało mowę. Przełykał ślinę, sapał, przewracał oczami, ścisnął nerwowo rękojeść sztyletu wystającego mu zza pasa.

– Jeśli masz jeszcze jakieś nowiny – wystękał w końcu – zachowaj je do jutra, bo za chwilę trafi mnie apopleksja. Ten łysy kastrat czarownikiem! To nie do uwierzenia!

– A jednak. Więc kto obejmie władzę po Zebonie?

– Przeszukujemy archiwa, żeby znaleźć potomków z linii Forsytha.

Albana zapatrzyła się na kołyszące się trawy. Kiedy odezwała się ponownie, w jej głosie pojawił się nowy ton.

– Wiesz, Benektusie, że Forsyth miał brata?

– Brata? A tak, rzeczywiście, słyszałem, ale przecież zaginął na wojnie.

– Powinniście sprawdzić jego losy. Może ta linia będzie kontynuacją dynastii.

– Podsunę tę myśl Brendanowi – mruknął koniuszy bez przekonania. – Ja gotów jestem posadzić na tronie choćby psa, nawet on będzie lepszy od tego skurwysyna. Cóż, teraz pojmuję, dlaczego Jastrzab odmówił mojej prośbie. Masz szczęście, że udało ci się znaleźć takiego obrońcę.

– Dla mnie większym szczęściem byłoby, gdybym mogła zostać tutaj, nietrapiona podobnymi zmartwieniami. Przemierzalibyśmy z Calem Równiny, wychowywali dzieci. O takim życiu marzę.

Wielki Koniuszy pogładził ją po rozczochranych włosach.

– Jeśli wszystko ułoży się pomyślnie, wrócisz tu i będziesz żyć długo i szczęśliwie.

Albana parsknęła krótkim, chrapliwym śmiechem.

– Może i tak, Benektusie. Oby tak się stało.

Odwróciła się i spojrzała na ogniska palące się przed namiotami, sylwetki ludzi krzątające się wokół i niebo, na którym spoza chmur jasnym światłem przebijała Letnia Gwiazda. Niecierpliwie otarła rękawem łzy zbierające się w kąciakach oczu.

– Wracajmy – powiedział cicho koniuszy. – Powiedz, jakim sposobem tak szybko usidliłaś tego Jeźdźca i namówiłaś do wypicia z Pucharu Zaślubin?

– Ja? Ja namawiałam jego? – W ciemności chrapliwy śmiech brzmiał niemal jak płacz. – Opowiem ci, jak było...

Kiedy wrócili do namiotu, zastali w nim tylko zadumanego Calmina. Jarik i Stevar poszli poszukać czegoś do jedzenia, a bracia, wyczuwając ponury nastrój swego dowódcy, wymknęli się cichaczem, żeby pomyszkować po targu.

Benektus położył rękę na ramieniu Jeźdźca.

– Albana wyjaśniła mi sytuację – powiedział. – Rozumiem twoją decyzję. Ktoś musi jej

towarzyszyć.

Fen bez słowa skinął głową. Koniuszy już miał wyjść, gdy Cal odezwał się cicho:

– Powiedz, proszę, skąd Wielki Koniuszy Królestwa zna skazaną na śmierć Obdarowaną?

– Tak, ehm. Los zetknął mnie z Sajronem dawno temu. Przyjaźniliśmy się i kiedy tylko mogłem, odwiedzałem Ostatnią Twierdzę. Tam poznałem twoją żonę.

– Gdyby to się wydało, spłonąłbyś na stosie.

– Żyję z tą myślą tak długo, że przestała mnie ona dręczyć. Człowiek oswaja się ze swoim strachem, obłaskawia go i lokuje gdzieś na dnie serca. Jesteś żołnierzem, musisz znać to uczucie.

Cal potaknął i znów pogрузił się w rozmyślaniach. Nie zauważył wyjścia Wielkiego Koniuszego ani tego, że Albana usiadła obok i również zamyśliła się głęboko.

Nocą rozpętała się burza. Błyskawice przecinały mroczne niebo, gromy huczały, o skórzane dachy bębnił deszcz. Świt był ponury. Ciemne, skłębione chmury przesłoniły słońce, mżyło. Krople wody spływały po natłuszczonych łojem namiotach, tworzyły kałuże na wydeptanych ścieżkach.

Kompania w milczeniu spożywała zimny posiłek. Tak zastał ich Valdal. Wszedł do środka pachnący deszczem, obładowany bronią, którą odebrał od Malasa. Za nim wtoczył się Benektus z tobołem na plecach.

– Czemu siedzicie tacy ponurzy? – spytał wesoło wódz.

Valdal cały wieczór spędził na rozmowach z Radą. Teraz, kiedy wiedział, że jego ludzie są bezpieczni, odzyskał dobry humor.

– Musimy porozmawiać – mruknął Calmin. – Wyjaśnimy ci parę spraw. Siadaj, napij się.

Opowiedział mu pokrótce swoje dzieje i dzieje Albany, streścił odkrycia, wysnuł wnioski. Valdal słuchał uważnie, a na koniec roześmiał się.

– Chyba w to nie wierzycie? Smokami straszy się u nas dzieci.

– To wszystko prawda – potwierdził śmiertelnie poważny Benektus. – Nie lekceważ tego, wodzu, bo to ostrzeżenie płynące z serca.

Valdal spoważniał.

– Wezmę to pod rozwagę, ale nasza sytuacja jest kiepska. Jeźdźców nie stać na kupno nowego odzienia, a co dopiero na solidne zbroje czy miecze. Niewiele koni sprzedajemy ostatnio.

– Westchnął.

– Prócz koni macie tu pod dostatkiem innego dobra, wodzu – wtrąciła się Albana. – Czemu nie zaczniecie handlować szafranem? W innych prowincjach płacą krocie za łut.

– Prawda – ożywił się Benektus. – Że też nie przyszło mi to do głowy. Szafran to królewska przyprawa.

– Mamy być kupcami?

– I wędrować po Imeskarii tak, jak przemierzacie Równiny. Cóż w tym złego?

Valdal zapatrzył się w kąt namiotu, a przed oczami przesuwwały mu się obrazy karawany podążającej nieznanymi drogami. Widać skusiły go te wizje, bo po dłuższej chwili skinął głową.

– Przedstawię ten pomysł Radzie, myślę, że spodoba się starszym. Cóż – odchrząknął – nie przyjąłem was zbyt gościnnie, żałuję. Dziś, poza wdzięcznością, niewiele mogę wam zaofiarować, ale przyjmijcie choć to. – Zakłopotany wskazał na toboł, który przytaskał

Benektus. W środku były oczyszczone, połatane żołnierskie kaftany i stroje Jeźdźców ozdobione haftami wszystkich równinnych klanów. – Dostaniecie też konie. Ty, Cal, możesz oczywiście zatrzymać swojego ogiera.

– Dziękujemy, wodzu – uśmiechnął się Calmin. – Nasza podróż była dość... nieoczekiwana. Nie mamy ze sobą wiele dobytku, nie mówiąc o pieniądzach na kupno koni.

– Ale że ty jesteś Jastrzębiem, no, no. Moi synowie biegają z drewnianymi mieczami i udają, że gromią bandytów. Zostałeś bohaterem. – Valdal zacmokał z uznaniem. Stracił oficjalną pozę, porzucił poważny ton. Teraz był tylko przyjacielskim młodym mężczyzną, który po latach spotkał dawno niewidzianego znajomka.

– A ty jesteś gubernatorem. Niewielu ludzi w królestwie dorównuje ci pozycją. To więcej niż ganień po lasach z mieczem w garści – zrewanżował się Cal i rozmowa potoczyła się wartko, przerywana na przemian wybuchami śmiechu i narzekaniami. Pozostali słuchali z ciekawością i szacunkiem, wtrącali swoje uwagi. Nie codziennie w końcu mieli okazję do pogawędki z gubernatorem i Wielkim Koniuszym Królestwa.

Dalala z klanu Fen, otrzymawszy wezwanie wodza, poczuła nieokreślony niepokój. Wolniej niż zwykle wykonywała czynności gospodarskie, byle odwlec moment stawienia się przed obliczem Valdala. Kiedy nie zostało już nic do zrobienia, powolnym krokiem ruszyła na drugi koniec obozu. Jeźdźcy, którzy bez widocznego powodu kręcili się w pobliżu trzech ustawionych na uboczu namiotów, tylko wzmogli uczucie niepokoju. Nie zatrzymali jej, podeszła więc do największego domostwa i cicho wsunęła się do przedsionka.

Z wnętrza dochodziły głosy kilkorga mężczyzn. Wśród rozmawiających Dalala rozpoznała głos wodza i ze złością zacisnęła usta w wąską kreskę. Nie lubiła go, nie darzyła należnym szacunkiem i niechętnie stosowała się do poleceń. Uważała, że ani on, ani żaden inny kandydat, który stanął do współzawodnictwa, nawet w części nie dorównywał Calminowi. Dlatego, zamiast dać znak swojej obecności, zaczęła podsłuchiwać rozmowę, czerpiąc z tego jakąś przewrotną przyjemność.

Dalala zmieniła się przez ostanie pięć lat. Straciła gdzieś pogodę ducha, która ją zawsze cechowała, stała się ponura, zgryźliwa i uparta. Niezauważalnie, drobnymi krokami, oddalała się od rodziny, od klanu. Trwała w przekonaniu, że Cal zginął podczas wyprawy, a za jego śmierć obwiniała starszego Falkalasa, Radę i Valdala osobiście.

Głosy w namiocie rozległy się głośniejsze.

– I jak teraz, Calminie Fen, zapatrujesz się na obowiązki gubernatora Równin? – pytał wódz.

Dalala przyłożyła dłoń do ust, niepewna, czy dobrze usłyszała. Ten gwałtowny ruch przyciągnął uwagę siedzących. Derki odsunęły się, czyjaś dłoń wciągnęła ją do środka, a na gardle poczuła ostrze noża. Zszokowana nie odezwała się słowem, wodziła tylko oczyma po majaczących w półmroku twarzach.

– Kim jesteś, kobieto, i czemu czaisz się tu jak szpieg?

– Przecież to moja matka – powiedział powoli Cal. – Opuść nóż, Stevar. To moja matka – powtórzył.

Dalala patrzyła w twarz syna, którego już dawno opłakała. W jej pamięci pozostał chłopcem o szczupłym ciele, zbyt długich rękach i w przykrótkich spodniach, z których zdawał się wyrastać w ciągu jednej nocy. Teraz stał przed nią mężczyzna o surowych rysach twarzy, ubrany w koszulę ciasno opinającą szerokie barki, tak wysoki, że sięgał głową skórzastego

dachu.

– Matko – powiedział zdławionym głosem Calmin i schylił się do jej spracowanych rąk.

– Cal – wyszeptała, starając się odnaleźć w tym dorosłym mężczyźnie syna, którego kochała najbardziej ze swoich dzieci.

Wyciągnęła rękę, by dotknąć jego twarzy i cofnęła ją zaraz, niepewna, jak zareaguje ten inny, dorosły Calmin.

– Mamo – powtórzył z uczuciem.

To skruszyło mur obcości. Zaszlochała i nagle znalazła się w jego objęciach. Ciepło płynące z tego uścisku rozpuściło obręcz rozpaczy, którą nosiła w sobie. Wilgoć przesiąkniętego deszczem odzienia, jego szorstkość, pozwalały wierzyć, że to dzieje się naprawdę.

– Synku, jak ty urosłeś – wykrztusiła przez łzy.

Cal roześmiał się. Dźwięk tego śmiechu przekonał ją ostatecznie, że chłopiec, którego zapamiętała, i mężczyzna, który ją trzyma w ramionach, to jedna i ta sama osoba. Podniosła twarz i spojrzała wprost w szare, lśniące od łez oczy, pocałowała mokry policzek.

Pozostali cicho wysliznęli się z namiotu.

Calmin patrzył na matkę i uświadomił sobie, jak bardzo się postarzała, od kiedy widział ją po raz ostatni. Twarz miała pobrużdżoną od ciężkiej pracy i zgryzot, sylwetkę przygarbioną. Z bólem pomyślał, ile zmartwień sam przysporzył jej swoim zniknięciem. Dotknął pooranego zmarszczkami policzka, pocałował dłoń.

– Matko – powiedział cicho. – Nie zostanę na Równinach.

– Nie zostaniesz... – powtórzyła tępo Dalala. – Nie możesz odejść. Twoje miejsce jest tutaj, z nami. Jesteś teraz głową rodziny, masz obowiązki. Falkalas nie jest już młody, wyznaczy cię swoim następcą. Będziesz starszym klanu, członkiem Rady. Nie możesz odjechać... Nie teraz, kiedy odzyskałam cię na nowo.

– Muszę – powtórzył Cal. – Bardzo tęsknię za rodziną i klanem, za życiem na Równinach, ale dla mnie jeszcze nie czas na powrót. Valdal później wszystko ci wytłumaczy. Jednak nim odejdę, chciałbym, żebyś poznała moją żonę.

– Ożeniłeś się? – W głosie Dalali zabrzmiał nowy ton. – Tym bardziej powinieneś zostać. Będziesz prowadził własne stada, przyłączymy się do was, ja i twoje rodzeństwo.

– To niemożliwe – uciął krótko Calmin. – Poczekaj tutaj, pójdę po Albanę.

Dalala zacisnęła palce na skraju pstrokatego szala. Nie pozwolę mu odejść, pomyślała, nie mogę go stracić jeszcze raz. Z żoną czy sam, jest mój. Mój synek... Cal, Calmin.

Derki uchyliły się i do namiotu wsunęły się dwie sylwetki. Padające z zewnątrz światło wydobyło blask z zielonych oczu, rozświetliło przemoczone włosy. Dalala zachłysnęła się na ten widok.

– Matko, to jest Albana, moja żona – powiedział dumnie Calmin.

– Twoja żona – zająknęła się Dalala. – Ona?

Albana wzruszona i przejęta nie zauważyła pełnego niechęci spojrzenia. Schyliła się, by ucałować dłoń teściowej. Dalala gwałtownie wyszarpnęła rękę.

– To przez nią, prawda? – wysyczała nienawistnie. – Przez nią nie chcesz zostać. Przez tego odmieńca.

Albana wyprostowała się i odsunęła na bok. Zbladła.

– To nie żaden odmieniec, tylko moja żona – powiedział gniewnie Jeździec. – Pozwól, by okazała ci szacunek.

– Nie potrzebuję szacunku od tej, tej... Dla mnie nie masz żony.

Calmin zacisnął wargi. Nagle na powrót stał się obcym mężczyzną. Dalala przymknęła oczy z rozpaczą.

– Synu – powiedziała błagalnie.

– Nic o niej nie wiesz i nie masz prawa osądzać. Przyjmij Albanę jak synową, a nie rozstaniemy się w gniewie.

– Nie możesz wyjechać.

– Muszę.

– Niech tak będzie. – Dalala sztywno skinęła głową i wyszła.

Calmin patrzył nieruchomym wzrokiem, jak drobna, skurczona sylwetka brnie przez kałuże, ślizgając się w błocie.

– Przykro mi – powiedział, nie patrząc na żonę. – Nie mam pojęcia, co w nią wstąpiło.

– Nie zależy mi na jej opinii – odpowiedziała Albana sucho. – Kiedy wyjeżdżamy?

– Im szybciej, tym lepiej. Uzgodnię to z Valdalem.

Wyszedł, ale zamiast skierować się do wartowników, obszedł namioty i skrył się przed spojrzem towarzyszy. Albana usiadła na skórkach i objęła rękami ramiona. Odmieniec, pomyślała z rozpaczą, nic i nikt tego nie zmieni.

Wkrótce po przyjeździe na targ Bazyl zauważył, że uwaga wodza Jeźdźców skupia się na grupie namiotów rozstawionych na uboczu. Niby wszystko odbywało się jak zwykle, jednak drobne szczegóły świadczyły o tym, że na końskich targach dzieje się coś niezwykłego. Kręcił się pomiędzy ludźmi, żeby zorientować się, w czym rzecz, ale przyjezdni nic nie wiedzieli, a Jeźdźcy kłopotliwe pytania zbywali żartem lub milkli.

Gdy tylko zapadł zmrok, Bazyl przemknął się chyłkiem w pobliże tajemniczych domostw. Wpadł wprost na Dougha, który złapał go za kark i nie zważając na protesty, wepchnął do środka. Stevar omal nie zadławił się zupą, gdy zobaczył mężczyznę, któremu uratował życie.

– Znam go – powiedział, kiedy złapał dech. – Był z nami pod Celebonem. Co ty tu robisz, człowieku?

Bazyl wyprostował się z godnością i obciągnął ubranie. Wyglądał jak wcielenie zdziwionej niewinności.

– Wy żyjecie? – krzyknął z afektowanym zdumieniem. – Iveth niech będą dzięki. To cud prawdziwy!

– Kto to? – spytał Cal, patrząc z ciekawością na nieznanego.

– Zgarnąłem go z gościńca niedaleko Celebonu, ranny był – wyjaśnił Niedźwiedź. – Skądś się tu wziął?

– Ano rozjechaliśmy się po waszej... waszym zniknięciu. Pomyślałem, że zajrzę na targ, może robota jakaś się trafi. Co za przypadek, co za szczęście!

– Kłamie – odezwał się siorbiący zupę Jarik. – I bardzo się boi.

Atmosfera zmieniła się w jednej chwili. Miski odstawiono na bok, Calmin sięgnął po miecz, w rękach Stevara błysnął nóż.

– Pewnie, że się boję – potwierdził pospiesznie Bazyl. – Każdy by się przestraszył. Pogodziłem się już z waszą śmiercią, a wy tu, jak duchy.

– Ja z nim porozmawiam – mruknęła Albana, wynurzając się z cienia.

– O, i kobieta z wami jest – stwierdził z błyskiem w oku morderca.

Albana stanęła naprzeciw niego i wpatrzyła się intensywnie w wyblakłe oczy. Bazyl aż

zachwiał się pod jej spojrzeniem. Pobladł, na twarzy pojawiły mu się kropelki potu, a kobieta bezlitośnie drażyła jego myśli i uczucia.

– To morderca – powiedziała wreszcie, bardziej ochryple niż zawsze. – Zebon go wynajął do zabicia Jastrzębia i mnie. Przyłączył się do Krispa, bo chciał go namówić do zaatakowania waszego oddziału, a kiedy nic nie wskórał, wyruszył niby to szukać diamentów. To on i jego kompani napadli mnie w lesie. Potem pokłócił się z kolegami, a oni dali mu po łbie i zostawili, żeby zdechł. Wtedy go znalazłeś. – Spojrzała przelotnie na Niedźwiedzia.

– Ty suko! – Bazyl rzucił się w mocarnym uścisku Stevara, który zaraz po pierwszych słowach czarownicy wykręcił mu ręce. – Powinienem być zabić cię od razu.

– Skręcę ci ten parszywy kark własnymi rękami – szepnął mu Niedźwiedź do ucha. – Życie ci uratowałem, bydlaku, a ty chciałeś mi tak odpłacić?

– Nie, Stevar, zostaw tę przyjemność mnie – wtrącił Calmin. W oczach szalała mu furia. – Twojego kolesia zabiłem za szybko. Ty będziesz umierał długo i powoli. Będziesz mnie błagało śmierć, a ja, kto wie, może pozwolę ci żyć.

– Mam cię w dupie – kwiknął Bazyl dyszkantem. – Myślisz, że się ciebie boję, pastuchu?

– Powinieneś – powiedział zimno Jeździec.

– Zaczekajcie, mam lepszy pomysł – wtrąciła się niespodziewanie Albana. – O wiele lepszy.

Pociągnęła Cala na bok i tłumaczyła mu coś długo, szepcząc niedosłyszalnie dla innych.

– Jesteś pewna, że się uda? – spytał Fen, patrząc powątpiewająco na wijącego się ciągle Bazyla. – Jeśli nie, nasze życie będzie niewiele warte.

– Uda się – potwierdziła niecierpliwie. – Robiłam to już, pamiętasz?

– Wolałbym osobiście ukręcić mu łeb, ale gdyby się to powiodło... Warto chyba zaryzykować – przyznał wreszcie z wahaniem.

– Stevar, zabierz mu broń – poleciała już głośno kobieta – i zostaw mnie z nim samą. Porozmawiamy sobie. – Uśmiechnęła się zimno. – Ocaliłeś mi życie, jestem ci coś winna.

Niedźwiedź spojrzał na dowódcę. Zobaczył nieme potwierdzenie i zabrał Bazylowi oręż.

– Zostawiam cię w dobrych rękach – rzucił złowieszczo. – Mam nadzieję, że kiedy cię znów zobaczę, będziesz już tylko kupą ścierwa.

Wyszli, stając tuż przy uchylonym wejściu, gotowi do działania.

– Co ona zamierza? – spytał Brian.

– Rzuci na niego urok – powiedział krótko Cal. – Nim to bydlę zdechnie, zrobi coś dla nas.

– Kurde – zaklął Stevar wsłuchany w jęki bandyty. – Jak ty z nią sypiasz? Nie boisz się, że zamieni cię w jakie paskudztwo?

– Zamknij się, bo w końcu ci przyłożę – warknął Fen.

Bazyl szarpał się w więzach, ale Niedźwiedź zadzierzgnął je mocno, więc otarł sobie tylko nadgarstki. Z zewnątrz dochodził szmer rozmów tak cichy, że nie rozróżniał słów. Nagle w mroku błysnęły rozjarzone zielone oczy. Morderca poczuł dreszcz strachu. Ciało pokrył mu pot, oddech przyspieszył.

Albana po spotkaniu z Dalalą zamknęła się w sobie. Jej twarz nie wyrażała żadnych uczuć, ale pod czaszką huczały jej słowa: odmieniec, smocze nasienie, wiedźma. Tak mówiła o niej teściowa, Mei, nawet Lavalla. Ból i uraza eksplodowały, kiedy odkryła, kim jest Bazyl. Gdy przedstawiała swój plan Calminowi, starała się, żeby jej słowa brzmiały rozsądnie, jednak gdy pozostawiono ich samych, wszelkie bariery pękły. Poddała się nienawiści, pozwoliła, by to uczucie zawładnęło nią całkowicie i pozbawiło kontroli.

Stała naprzeciw więźnia i przez chwilę napawała się strachem, który z niego emanował. Ale to nie wystarczyło. Zaatakowała jego umysł, zadawała ból, dręczyła. Pozwalała mu wierzyć, że jego ciało jest rozszarpywane na strzępy, a kości łamane. Upokarzała, sugerując, że z pełnego życia mężczyzny zmienia się w bełkoczącego starca, śliniącego się i sikającego w spodnie. A kiedy doprowadziła go na skraj szaleństwa, cofnęła sugestię i zaczęła szeptać.

Proste, jasne polecenia, powtarzane po wielokroć, głęboko utkwily w świadomości Bazyla. Teraz żył już tylko po to, by spełnić żądanie istoty o pionowych źrenicach i złotawo połyskującej skórze. Wyłonił się z namiotu. Nie patrzył na otaczających go ludzi, jakby nie zauważył ich obecności. Odszedł w mrok sztywnym, nienaturalnym krokiem.

– Brian, odprowadź go do kwatery i zabierz mu juki – poleciła zmęczonym głosem kobieta.
– Zostań z nim, póki nie odjedzie dopilnuj, żeby nikt go nie zatrzymał.

Brian ruszył truchcikiem, bojąc się, że morderca zniknie mu z oczu.

– Mam nadzieję, że nigdy więcej go nie spotkam – powiedziała Albana. Ręce jej drżały, była nienaturalnie blada.

– Żywym nie zobaczysz go już nigdy – obiecał z zaciętością Cal.

Deszcz siąpił nieustannie, niosąc ulgę wysuszonej ziemi. Noc zapadła chłodna, lecz w namiocie było zacisznie i ciepło. Mimo że małżonkowie po raz pierwszy od przyjazdu na Równiny mogli cieszyć się odosobnieniem, leżeli z dala od siebie, milczący i obojętni. Kobieta ciągle na nowo rozpamiętywała spotkanie z Dalalą, obraźliwe słowa i niechęć, z jaką potraktowała ją teściowa. Zemsta na Bazylu przyniosła jej jedynie chwilową ulgę. Kiedy tylko morderca zniknął z horyzontu, ból powrócił z ogromną siłą, łzy same cisnęły się do oczu, ręce drżały, a żołądek skręcał w ciasny supeł. Płytki sen, w który wreszcie zapadła, nie przyniósł ukojenia. Prześladowający ją koszmar wrócił, znów stąpała po lochach Celebonu, widziała rozpadające się ciała Obdarowanych, czuła obeszła ją przerażenie. I to naglące pragnienie, żeby choć raz poczuć, posmakować...

Cal, odwrócony do żony plecami, przymykał oczy w udręce, jakby chciał zmusić oporne ciało do podporządkowania się woli.

I ciągle nie mógł zasnąć. Rozmowa z matką dopełniła czary goryczy. Wpierw Jeźdźcy z klanu Kevat potraktowali go jak wyrzutka, potem nie zaufał mu Valdal i wreszcie odwróciła się od niego własna matka. Jak gdyby tego było mało, musiał odrzucić propozycję Wielkiego Koniuszego objęcia dowództwa nad armią, która miała obalić Zebona. Słowa Niedźwiedzia o bezpośrednim starciu z wrogiem oddawały aż za dobrze jego własne myśli i uczucia, dlatego potraktował go tak szorstko. A wszystkiemu winna była Albana, czerwonołosa wiedźma, z którą związał się tak pochopnie. Zazgrzytał zębami ze złości i obrócił się na drugi bok. Widział teraz, jak rzuca się na posłaniu, słyszał jęki. Rozrzucone skóry odsłoniły nagie pośladki, rozchełstana koszula ukazywała jasną plamę piersi. Ze świstem wciągnął powietrze, krew zaszumiała mu w skroniach. Zagarnął ją pod siebie i posiadł, bez czułości, bez pocałunków i pieszczot, jakby chciał ukarać za obelgi Balala, za nieufność wodza, wrogość matki.

Albana majaczyła na krawędzi jawy i snu. Pragnienie zamieniło się w przymus. Nie mogła tego znieść. Musiała tylko... Krzyknęła chrapliwie, kiedy przygniotło ją ciało męża. Jego ciężki oddech niecierpliwie dłonie odgoniły koszmar, zagłuszyły pragnienie. Zanurzyła się w namiętności równie gwałtownie jak Calmin. Orała paznokciami skórę na jego plecach, on zostawiał sińce na piersiach, biodrach, udach. Ich miłość bardziej przypominała walkę. Pożądanie stłumiło wątpliwości, odsunęło żale i przyniosło ulgę. Zasnęli objęci, spokojniejsi.

Wódz nie próżnował. Ciągłe czuł wyrzuty, że potraktował Calmina i jego przyjaciół tak nieprzychylnie, starał się więc zatrzeć złe wrażenie. Kiedy rankiem żołnierze wyszli z namiotów, otoczyła ich barwnie odziana gromada Jeźdźców. Kompania ubrana w pasiaste opończe nie wyróżniała się pomiędzy nimi, ruszyli więc razem w pobliże przeznaczonych na sprzedaż wierzchowców. Tam czekali na nich Benektus i Valdal, dumny ze swego konceptu. Wymyślił bowiem, że żołnierze i rudowłosa uzdrowicielka pojedą do Kresami w towarzystwie Jeźdźców prowadzących tabun na jarmark w Noctural. Jego współplemieńcy mieli też w jukach szafran, żeby zbadać, czy znajdują się chętni na kupno przyprawy, a interes będzie tak zyskowny, jak sugerowała to czerwonołosa uzdrowicielka.

Pożegnali się serdecznie. Benektus każdemu uściskał dłoń, a Albanę przytulił i ucałował, łaskocząc jej policzki sumiastymi wąsami.

– Niech wam bóg i fortuna sprzyjają. Oby wasze poszukiwanie okazały się nadaremne – powiedział poważnie. – Do rychłego zobaczenia, przyjaciele.

Ruszyli w sporej gromadzie, mając za towarzyszy mężczyzn z klanu Kevat pod wodzą Tamalacha. Valdal roztropnie wybrał eskortę, wyznaczając tych, z którymi podróżowali wcześniej. Rozumiał, że pobyt na Równinach Jastrzębia i jego żony powinien być jak najdłużej zachowany w tajemnicy zarówno dla ich bezpieczeństwa, jak i dla bezpieczeństwa samych Jeźdźców. Ostatnie, czego Valdal sobie życzył, to ściągnięcie gniewu Najwyższego Kapłana.

Podróż przez Równiny dłużyła się nieznośnie. Widoki, którymi zachwycali się na początku podróży, spowszedniały, a zasnute chmurami niebo i mżący deszcz nie poprawiały nastrojów.

Pomiędzy Calem i Albaną zapanowało ciche porozumienie. Nie umieli wyrazić słowami targających nimi uczuć, zawiedzionych nadziei ani pretensji, więc rozmawiali niewiele, ale nocami kochali się żarliwie, jakby ranek miał nigdy nie nadejść. Albana ciasno związywała sznurówki haftowanej bluzy, a Cal nie zdejmował koszuli, ukrywając sińce i zadrapania. Ta szczególna atmosfera pomiędzy małżonkami wpływała na resztę towarzystwa. Żołnierze nie przekomarzali się między sobą, nie żartowali jak zwykle. Jechali ponurzy i skłonni do zwady.

Czternastego dnia przekroczyli bród na Villeji i wjechali na gościniec. Stary Trakt na niewielkim odcinku stanowił granicę oddzielającą Równiny Marth od prowincji Tarkass. Tu jeszcze można było napotkać osady i nacieszyć oczy łanami dojrzewającego zboża. Jednak im bardziej zbliżali się do ciemniejącej na horyzoncie ściany lasu Keranów, tym mniej widywali ludzi, a miejsce pól zajęły łąki i ugory. Choć do wieczora miało upłynąć sporo czasu, Cal postanowił zatrzymać się na postój.

Tym razem nie rozbito namiotów. Rozpalone z wilgotnego drewna ognisko tliło się leniwie, gdzieś z oddali dochodziło wycie wilków. Spłoszone konie rżały, zbite w ciasną gromadę. Podwójne warty nie pozwoliły nikomu wyspać się porządnie. Albana, którą zwolniono z tego obowiązku, zapadała w krótki niespokojny sen, budziła się złana potem i znów zasypiała. Każde zamknięcie oczu przynosiło ze sobą koszmary. Śnił jej się Kagan, Mei, smok o przesyconych nienawiścią oczach Worama, wreszcie Cal przebijający mieczem jej złote znamię i śmiejąca się nienawistnie Dalala.

Następnego poranka wyruszyli, skoro tylko pierwsze promienie słońca przebiły się przez chmury. Otaczał ich ponury i groźny las. Pędzili traktem bez wytchnienia, przeskakując zwalone pnie, nie zatrzymując się na popasy. Kiedy wierzchowce były już zbyt zmęczone, żeby ich nieść na swoich grzbietach, przesiadali się na luźne konie pędzone na sprzedaż. Poganiał

ich strach wyolbrzymiony przez atmosferę puszczy. Potężne drzewa szumiały złowieszczo, widoczne pomiędzy liśćmi skrawki nieba znów pociemniały, chaszcze po obu stronach zdawały się ukrywać dzikie bestie.

Albana nie potrafiła opanować przerażenia. Za każdym drzewem, każdym krzakiem widziała czających się Keranów, zdawało jej się, że pośród szumu liści słyszy przeraźliwy krzyk matki i rechot Worama. Jadący obok niej Jarik trząsał się od strachu, którym emanowała, a kiedy ktoś przypadkiem go potrącił, krzyknął przeraźliwie, płosząc ptaki. Zaniepokojony Calmin podjechał do niej dopiero wtedy dostrzegł rozbiegany wzrok obydwójga, przyspieszony oddech, drżące dłonie, krople potu na twarzy. On sam starał się nie poddawać przygnębieniu, lecz i jego opuściło na chwilę uczucie pewności i dał się porwać fali paniki. Miał wrażenie, jakby nagle przekroczył bramę do innego świata, mrocznego, pełnego czających się cieni. Patrzył oczyma swej żony, czuł to co ona, niemal pochłonęły go te obrazy. Nigdy w życiu nie był tak przerażony i zagubiony. Przed całkowitym pogrążeniem się w szaleństwie uratował go wierzchowiec, który szarpnął gwałtownie, by uniknąć zderzenia z koniem Jarika. Instykt Jeźdźca nie pozwolił Calowi spaść. Odruchowo ściągnął wodze i poprawił się w siodle. Ta chwila wystarczyła, by wrócił do realnego świata.

Złapał konia Jarika i przyhamował go w pędzie. Chwycił chłopca za ramię i potrząsnął nim mocno.

– Jarik – krzyknął mu wprost do ucha. – To nie twoje wspomnienia! Opamiętaj się, bo stracisz rozum.

Wyrostek spojrzął na niego nieprzytomnie, więc wymierzył mu siarczysty policzek i podtrzymał, żeby nie spadł.

– Poznajesz mnie, chłopcze?

– Taak – wymamrotał niepewnie chłopak.

– Jedź do przodu i trzymaj się blisko Stevara.

Wypuścił wodze i klepnął zwierzę po zadzie. Jarik, przyzwyczajony do posłuszeństwa, ruszył w stronę jadącego na czele Niedźwiedzia.

Calmin odwrócił się do ciągle zanurzonej w koszmarze wspomnień Albany. Jej koń zwolnił, a ona trzymała kurczowo cugle, jakby były jedyną rzeczą, która wciąż wiązała ją z prawdziwym światem. Czuł, że jeśli jej dotknie, cały ten paniczny strach zwróci się przeciwko niemu. Zawołał, ale nie zareagowała, zwolnił więc jeszcze bardziej i złapał wodze jej równańczyka. Spłoszone zwierzę zaryło kopytami w ziemi, a Albana przeokożkowała przez grzbiet. Legła nieruchomo z rozrzuconymi szeroko rękami.

Calmin zeskoczył i podbiegł do niej. Przez jedną straszłą chwilę zdawało mu się, że kobieta nie żyje. Obrócił ją na plecy, poszukał pulsu. Tętno było nieregularne, przyspieszone, ale było. Z juków wyciągnął bukłak z wodą i spryskał jej twarz, potem przytknął do ust.

– Ocknij się, kochanie – szepnął. – Albano, wróć do mnie.

Rozchyliła powieki i zamrugała. Oczy miała zamglone i trochę nieprzytomne, ale wyraz bezrozumnego przerażenia ustąpił.

– Cal? – spytała niepewnie.

– Poznajesz mnie? – Odetchnął z ulgą. – Możesz wstać? Pomogę ci.

Podniósł ją i podparł, kiedy się zachwiała, a potem uściskał z całej siły.

– Co się stało? Gdzie reszta? – dopytywała się niespokojnie.

– Nie myśl teraz o nich, posłuchaj mnie. Wpadłaś w jakiś trans. Bałaś się tak bardzo, że ten strach przekazałaś Jarikowi i przez chwilę mnie. Musisz się opanować, bo inaczej oszalejesz,

a my razem z tobą. Jesteś dorosłą kobietą, władasz mocą, otoczona jesteś najlepszymi wojownikami w Imeskarii. Keranowie nic ci nie robią. Musisz w to uwierzyć.

– Ale ja...

– Albano, spójrz na mnie. Prędzej spalę ten cholerny las, niż pozwolę, żeby te zwierzęta pojmały cię raz jeszcze. Powiedz, że mi ufasz, że mi wierzysz.

Spojrzała mu w twarz. Była śmiertelnie poważna, bez cienia uśmiechu. Szare oczy męża patrzyły twardo, a silne ramiona dawały oparcie i budziły zaufanie.

– Wierzę – powiedziała, patrząc Calowi w oczy. – Wierzę ci.

– Więc ruszajmy.

Podsadził ją na siodło, sam wsiadł na swojego wierzchowca i ruszyli w ślad za pozostałymi.

W miarę jak zagłębiali się w las, trakt stawał się coraz dzikszy, coraz gęściej porośnięty wysoką trawą i krzakami. Jednak gdzieniegdzie gałązki młodych siewek były połamane, a zieleń zdeptana, jakby ktoś przed nimi przemierzał już ten niebezpieczny szlak. Zrobiło się całkiem ciemno, kiedy wypatrzyli małą polanę z bijącym obok źródłem.

– Może tu się zatrzymamy? – spytał Tamalach, podjeżdżając do Cala i jadącej obok czarownicy.

– Nie – niemal krzyknęła Albana. – Nie tutaj.

– Zdrożeniśmy wszyscy, a to dobre miejsce na nocleg – przekonywał Jeździec.

– Na tej polanie napadnięto Emausa – wyjaśniła. Bliskość Calmina pozwalała jej utrzymać emocje na wodzy, ale ciągle nie mogła pozbyć się uczucia osaczenia. Propozycja Tamalacha na nowo otworzyła przed nią bramy koszmaru. – Keranowie przygotowali tu zasadzkę, wymordowali eskortę... Nie możemy zatrzymać się w takim miejscu.

– Nie damy rady jechać w ciemnościach – niespodziewanie poparł Tamalacha Cal. – Tutaj jest woda, trzeba napić konie, sami też musimy odpocząć, posilić się.

Wystawiono warty, rozluźniono popręgi, nie rozkulbaczając zmęczonych zwierząt. Naprędce zjedzono zimny posiłek. Albana nie protestowała więcej, ale nie położyła się spać. Całą noc krążyła wokół obozu wraz ze zmieniającymi się wartownikami. Widziała w ciemnościach lepiej niż inni, więc natężyła wzrok, nasłuchiwała czujnie.

Mimo obaw nie spotkała ich żadna zła przygoda ani tej nocy, ani podczas całej podróży. Bór zdawał się schronieniem tylko dla przemykających między drzewami jeleni, zajęcy czy dzików. Wreszcie na horyzoncie ujrzano wieże Noctural.

Nie zważając na ryzyko, jakie dla Albany niosła wizyta w mieście, Cal postanowił, że cała gromada przenocuje za murami. Wszyscy podróżni opatulili się opończami, zasznurowali kaptury i w zwartej grupie przekroczyli bramy. Strażnicy popatrywali ciekawie na pasiaste stroje, klepali po zadach konie i nie żywiąc podejrzeń, wpuścili do miasta. Tamalach wynajął pokoje w zajeździe, dopilnował stada i wreszcie wszyscy mogli odpocząć.

Po tylu dniach i nocach nieustannej czujności wędrowcy zasnęli kamiennym snem. Tylko Albana, przez cały czas balansująca pomiędzy jawą a koszmarami, długo kręciła się na wąskim wyrku obok śpiącego męża. Ledwo zapadała w sen, natychmiast budziła się coraz bardziej drżąca, zmęczona i swoiście podniecona. Niepokój, który poganiał ją, od kiedy opuściła Ostatnią Twierdzę, nasilał się z każdą chwilą, tak samo jak dręczące pragnienie. Chciała wstać, ale ramiona śpiącego Cala opasały ją ciasno, przygniotło muskularne udo. Ułożyła mu głowę na piersi i zasnęła wreszcie, ukołyszana spokojnym biciem serca.

Spała tak długo, że Jeźdźcy zdążyli się pożegnać i ruszyli zając się własnymi sprawami, a

Cal wrócił z targu, taszcząc kaftany, długie wełniane płaszcze i sporo zapasów. Pieniędzy mieli teraz dość, bo Brian nim wypuścił Bazyla, przeszukał jego juki i znalazł zagarnięty majątek oddziału Jastrzębia.

Odjechali z Noctural w lepszych nastrojach, gotowi na nowe wyzwania, ciekawi okolic, które oglądali po raz pierwszy. Opuścili Stary Trakt wiodący do Mentui i skręcili na mniej uczęszczane szlaki. Trzeciego dnia podróży ujrzeli morze. Tylko Calmin, przebywając w Crystone, widział już majaczący aż po horyzont bezmiar wód. Pozostali stali jak porażeni na skalistym brzegu, zapatrzeni w bluzgające pianą i rozbijające się na urwisku fale. Niebo było szare, wiatr przenikał do szpiku kości, a krzyk unoszących się nad wodą ptaków brzmiał w ich uszach jak żałosna skarga. Stevar – po paru chwilach intensywnego wpatrywania się w horyzont w poszukiwaniu jakiegoś punktu, na którym mógłby zawiesić wzrok – odwrócił się tyłem. Również Brian, Dough i Jarik odeszli znad kipieli, z trudem pokonując zawroty głowy.

Albana zatrzymała się na skraju olbrzymiego występu, niebezpiecznie blisko przepaści. Zrzuciła kaptur i pozwoliła, by wiatr rozwiały jej długie włosy. Zatraciła się w widoku rozpościerającym się przed jej oczami.

Przypomniała sobie historie o ludziach, którzy wypływali w malutkich łódeczkach, szukając swej drogi za horyzontem. Ogarnęła ją niewypowiedziana tęsknota, aby wyruszyć w taką podróż bez początku i bez końca... Poddać się pędowi, poczuć szum wiatru i dotyk słońca ogrzewający grzbiet, posmakować ryb, których łuski połyskują srebrzyście w przezroczystej wodzie...

Rozłożyła ręce i krzyknęła radośnie, gotując się do lotu. Cal w ostatniej chwili powstrzymał ją przed skokiem w przepaść.

– Oszalałaś! – wrzasnął jej wprost do ucha, przekrzykując wiatr.

Zobaczył, że policzki ma mokre od łez. Wyrwała się z jego uścisku i schroniła pomiędzy kołniami, na których wielka woda nie zrobiła jakoś wrażenia.

Ruszyli dalej, po jednej stronie mając rzadki świerkowy las, a po drugiej skaliste wybrzeże. Zanim rozpadało się na dobre, udało im się znaleźć schronienie w na poły zrujnowanej, opuszczonej chacie. Przenikliwy ziąb wdzierał się przez dziurawe ściany i zapadnięty dach. Pokładli się na wilgotnej podłodze blisko siebie, starając się ogrzać ciepłem własnych ciał.

Znużona Albana tym razem zasnęła szybko, lecz obudziła się w środku nocy. Pragnienie spalało jej wnętrzności, dręczyło niewypowiedzianym bólem. Usiadła na posłaniu. Cicho niczym złodziej sięgnęła do juków, które miała pod głową, drżącymi z niecierpliwości rękoma wydobyła szkatułę. Delikatna poświata wypełniła obskurne wnętrze izby.

Wyjęła flaszeczkę i zaczęła mocować się z korkiem.

– Nie rób tego – usłyszała tuż przy uchu błagalny szept. – Nie pij, nie wolno ci.

Szczupłe palce zacisnęły się na szkle.

– Ja muszę spróbować. Muszę. Ty nie rozumiesz. Nikt nie rozumie... – wymamrotała.

– Rozumiem, czuję – zaszlochał Jarik. – Ale nie wolno ci. To śmierć, nie życie. Jak staniiesz przed ojcem?

Konwulsyjnie zaciśnięte palce rozluźniły chwyt.

– Ojcem? – powtórzyła niepewnie.

– On czeka na ciebie, tęskni.

W zmatowiałych zielonych oczach pojawił się błysk.

– Myślisz, że on jeszcze żyje? – spytała cichutko.

– Na pewno, pani.

Powoli, niechętnie, Albana odłożyła butelkę na miejsce, zamknęła wieko, zawiesiła medalion na szyi. Owinęła kasety na powrót w skóry i podała Jarikowi.

– Schowaj ją u siebie – powiedziała niemal gniewnie.

Odwróciła się tyłem, gdy chłopak ładował szkatułę do swojejsakwy. Zaciśnęła mocno powieki, dłonie zwinęła w pięści.

Co się ze mną dzieje, pomyślała z rozpaczą, czy jestem jeszcze człowiekiem?

Następnego dnia ciągle było zimno i wietrznie. Choć przestało padać, unosząca się w powietrzu wilgoć moczyła ubrania, a nieustanny szum morza przyprawiał o ból głowy. Zapasy kończyły się, a okolica była nieurodzajna w zwierzynę i owoce. Ubita ścieżka, którą podążali, zniknęła. Strome klify obniżyły się i podróżni niespodziewanie ujrzeli piaszczystą zatoczkę. Na jej skraju rozłożyła się mała osada. Składały się na nią zaledwie trzy chaty. Przed domostwami suszyły się sieci, na piasku poniewierały się rybie szkielety, połamane muszle i brunatne wodorosty. Wyciągnięte poza falę przyboju stały dwa kutry. Powietrze przesycone było ostrym, aromatycznym dymem.

– Zabrnęliśmy w ślepy zaułek – mruknął Stevar. – A przecie musimy znaleźć coś do jedzenia dla siebie i koni.

– Tylko gdzie oni się wszyscy podziali? – zastanowił się Brian.

– Siedzą w domach – wtrącił się Jarik. – Przestraszyli się nas.

Zanim ktoś zdołał go powstrzymać, Niedźwiedź zsiadł z konia i walnął pięścią w drzwi najbliższej chaty. Dłoń, nie napotkawszy spodziewanego oporu, przebiła na wylot splecione sitowie i trafiła prosto w nos przyczajonego po drugiej stronie człowieka.

Jarik skrzywił się, kiedy zza drzwi dotarła do niego fala przerażenia, bracia parsknęli śmiechem. Cal westchnął.

– Ludzie – zawołał – nie bójcie się, chcieliśmy kupić coś do jedzenia dla nas i zwierząt. Zapłacimy za żywność i za szkody, które wyrządził ten osiłek.

Z chałupy ostrożnie wysunął się niski, chudy mężczyzna. W rękę trzymał harpun.

– Czego wy tu? – spytał, potrząsając buńczucznie drągiem, choć dygotał na całym ciele. – My biedni rybacy, z morza żyjemy.

– Chcemy tylko kupić trochę jedzenia – powtórzył Calmin łagodnie. – Kończą się nam zapasy, a w lasach ze zwierzyną kiepsko.

Rybak uspokoił się nieco.

– My biedni – powtórzył – ale mamy, co mamy. Nie ukrzywdzicie, panie?

W tej chwili Stevarowi zaburczało w brzuchu tak potężnie, że chłop aż podskoczył. Spojrzał na olbrzyma.

– Głodniście, panie?

– Wszyscyśmy głodni.

– Chodźta do wędzarni, coś się najdzie.

Parę tłustych ryb zostało pożartych w mgnieniu oka, lecz kiedy Cal wyciągnął miedziaki i jakąś mniejszą ozdobę, rybak powstrzymał go stanowczo.

– Nie trza, panie. Baby głupie, jeszcze się która połaszczy na te świecidełko. Piniądze weźmiesz z podziękowaniem, ale to za dużo.

– Daleko wypływacie? – spytała Albana, oblizując palce.

– Ostatnio niedaleko, tyle aby co złapać. A dawniej to i po parę dni do domu ja nie wracał.

– A czemu teraz nie?
– Różnie gadają – nachmurzył się rybak. – Morze gniewne albo i stwora się jaka przyplątała. Nie wim, ale lepi się dali nie wypuszczać.
– Stwora? – zdziwił się Stevar, któremu po posiłku poprawił się humor. – Jaka stwora?
– Jo nie widzioł. Może wieloryba, może zębiec.
– A słyszeliście kiedy o Wyspie Mgieł? – indagowała kobieta.
– Ano, mgły u nas bywają, a kiedy zalegną, to choć oko wykol, nic nie najdziesz. A o wyspie jo nie słyszoł.
– Dziękujemy za gościnę – wtrącił się Calmin. – Pieniądze weźcie i naprawcie sobie drzwi. Jest tu jakie miasto w pobliżu?
– Ano jest, Jasył się nazywa. Duże miasto, my tam ryby sprzedajem. Ku wschodowi trza iść, ino z rana, bo potem słońce skwarzy.
– Słońce – burknął pod nosem Niedźwiedź. – Kiedy tu u nich świeci słońce?
– Obrok dla koni tam kupimy? – indagował Calmin.
– A pewnie, tam wszystko, co potrza, najdziecie. Miasto duże, koni tyż mają.
Pożegnali się i ruszyli na wschód, żegnani ciekawymi spojrzeniami rzucanymi z progu chaty.

Jasył, owo duże miasto, składało się z kilku drewnianych chałup, brudnego szynku i murowanej świątyni Boga o Wielu Obliczach. Cal, Albana i Jarik ukryli się na skraju miejsciny, a pozostali pojechali rozejrzeć się, zasięgnąć języka i dokonać niezbędnych zakupów. Potem ruszyli dalej, kierując się do Moint.

Albana stawała się coraz bardziej niespokojna. Dopóki przebywali na Równinach, znajdowała ukojenie w ramionach Cala. Jego ciepły uścisk, miłość, która ich łączyła, dawały jej siłę, by zapomnieć o nocnych majakach. Teraz sama odsuwała się na bok. Ciągłe prześladował ją głos Dalali szepczącej nienawistnie: odmieniec, i bała się, że ślad tej niechęci wyczyta w oczach męża. Lecz najgorszy był głód, który nieustannie ją dręczył. Zasypiała z myślą o skrzepłej substancji we flasce i budziła się, prawie czując na języku jej smak. To pragnienie, wcześniej ledwo odczuwalne, teraz z wolna stawało się obsesją. Może powodowało je zbliżenie się do celu podróży – owej Wyspy Mgieł, kropki postawionej przez skrybę na mapie sprzed dwustu lat, a może chęć zatracenia się w doznaniach, których doświadczyła, torturując Bazyla. Przez lata mądre nauki Sajrona kierowały jej krokami, wyznaczały granice, których nie chciała przekraczać. A kiedy to zrobiła, stało się tak, jak prorokował Dolid: runęła wymuszona równowaga pomiędzy nieokiełznanymi uczuciami a moralnymi normami. Oddalała się od Cala, który jako jedyny mógł przywrócić harmonię pośród chaosu poplątanych emocji i pragnień. Zbywała jego pytania, odwracała oczy, gdy czuła zatroskane spojrzenia. To nagliła do pośpiechu, to opóźniła pochód, wlokąc się noga za nogą. Trzymała się z dala od Jarika, jakby nie mogła znieść jego cichej obecności. Choć się wypogodziło, ciągle dygotała z zimna, a jednocześnie pociła obficie. Mało co jadła i wychudła tak, że ubranie wisiało na niej niczym na kołku. Jej ruchy stały się nerwowe, zdawało się, że stale umyka spojrzeniem, a zielone oczy lśniły jakimś chorobliwym blaskiem.

– Babskie humory – mruzczał Stevar, któremu nie umknęło jej dziwne zachowanie. – Przejdzie jej.

Ale nie przechodziło, było coraz gorzej.

Kiedy wreszcie dotarli do Moint, które według mapy leżało prawie na wprost Wyspy Mgieł, z Albany został cień. Nawet płomienne włosy zmatowiały i zwisały w smętnych

strąkach, podkreślając zapadnięte policzki. Spojrzenia, które rzucała Jarikowi, były coraz bardziej nienawistne. Calmin przyłapał ją, jak w pośpiechu obmacywała juki chłopaka. Gdy spostrzegła, że mąż jej się przygląda, odeszła szybko, nie kryjąc złości. Zagadnięty Jarik milczał, ale od tej pory pilnował, żeby nie pozostawać z nią sam na sam, a torby wszędzie taszczył ze sobą.

Moint było najznaczniejszym miastem tej części wybrzeża. Tu znajdował się największy port rybacki, tu odbywały się jarmarki, na które ściągali licznie sprzedający i kupujący z południowo-zachodniej Bresanii.

Znaleźli kwatery w gospodzie Pod Wielorybem, brudnej, ponurej, przesiąkniętej odorem mocnej wódki i rybiego tłuszczu. Odpoczęli trochę i zaczęli rozglądać się za przewoźnikiem. Niespodziewanie ich rachuby zawiodły. Nikt nie chciał wypłynąć w morze, póki po okolicznych wodach grasowała owa stwora, o której wspominał rybak spod Jasyła. Łodzie stały wyciągnięte na brzeg, kramy oferowały psujące się makrele i płotki, a w gospodzie karmiono ich cuchnącą zupą i mułami, odmianą małży, podawanymi na surowo.

Wreszcie Albana, zdesperowana bardziej niż pozostali, zdecydowała się użyć swojego Daru.

Cal i Stevar, który miał już serdecznie dosyć przymusowego postu, starannie wytypowali ofiarę. Był to rybak imieniem Antar, zuchwalec i ryzykant, samotnik z wyboru, mający na własność sporą łódź z żaglem. Zaprzyjaźnili się z nim obaj, stawiając mu kolejki mocnego rumu, a potem zaprowadzili w ustronne miejsce, gdzie czekała czarownica w eskorcie Dougha, Briana i niespokojnego Jarika.

Albana szybko złamała osłabioną alkoholem wolę Antara. Nim słońce wzeszło, cała kompania płynęła, wiosłując nierówno, wprost na zachód.

Bazyl wyruszył z Równin w takim pośpiechu, jakby ścigało go stado wilków. Po głowie tłukła mu się tylko jedna myśl: musi jak najszybciej dotrzeć do Loenu. Drogę do stolicy pokonał, prawie nie śpiąc i zajeżdżając zdobycznego równańczyka na śmierć. Ponieważ stało się to niedaleko bram miasta, resztę drogi odbył pieszo. Przepchnął się pomiędzy tłumem wypełniającym wąskie uliczki i ruszył na zamek.

Przez resztę dnia zabiegał o posłuchanie u Najwyższego Kapłana, ale ciągle odprawiano go z kwitkiem. Jego Dostojność protektor był zbyt zajęty, żeby znaleźć dla niego czas, błąkał się więc po zamkowych korytarzach i dziedzińcu prawie nieprzytomny z niecierpliwości. Kiedy dzwon na wieży zaczął zwoływać wiernych na wieczorną modlitwę, pojął, że tego dnia nie ma szans na audiencję. Stojąc w cieniu zamkowej bramy, patrzył, jak podwórzec przecina procesja mnichów, których wiódł Zebon. Poniewczasie uświadomił sobie, że teraz mógłby się dostać w jego pobliże, ale ludzka ciżba i strzegący porządku akolici uniemożliwili mu zbliżenie się do dostojnego pochodu. Gryząc z wściekłości palce, znalazł nocleg w pobliskiej gospodzie i całą noc wiercił się nerwowo na łóżku.

Rankiem, wybierając się znów na zamek, wziął ze sobą kuszę i zawiesił ją plecach. Uzbrojony jak na wojenną wyprawę, ubrany w potargane, znoszone odzienie, brudny i nieogolony w niczym nie przypominał miejskiego eleganta, za którego się jeszcze nie tak dawno uważał. Ludzie schodzili mu z drogi, a zamkowa straż nawet nie pofatygowała się zawiadomić Zebona o jego przybyciu. Odetchnęli, kiedy po południu ów dziwny człek znikł im z oczu.

Bazyl tymczasem zaszył się w ciemnym kącie i przesiedział tam do chwili, kiedy na placu

zaczynają zbierać się wierni, przemknął obok strażników i wszedł na zamek. Wiedział, że nikt nie ośmiela się opuścić wieczornego nabożeństwa. Dotrwał niezauważony, aż komnaty opustoszały i wśliznął się do jednej z nich. Zamknął drzwi, klamkę podparł ciężkim karłem, załadował kuszę i czekał.

Zamkowy plac i świątynia Boga o Wielu Obliczach zapełniały się powoli dostojnikami i gośćmi loeńskiego zamku, służbą, czeladzią i żołnierzami. Szara gwardia, mnisi o oczach płonących fanatycznym blaskiem, zajęła już swoje miejsca, tworząc kordon wokół przejść. Za nimi tłoczyli się wierni.

O tej wieczornej godzinie, gdy słońce słało swe ostatnie promienie, życie na zamku i w mieście zamierało. We wszystkich świątyniach mieszkańcy Loenu gorliwie zapewniali Oblicza Bożego swej wierze. Po opustoszałych ulicach przemykali żebracy, złodzieje i nieliczne patrole straży. Uliczne dziewczki wykorzystywały ten czas na odpoczynek przed pracowitą nocą. Gospody i oberże były zamknięte.

W zamkowej świątyni chór zaintonował:

Bóg jest jeden, a jego Oblicza nieskończone.

A oto my, niegodni służebnicy Twój

Błagamy, byś zwrócił na nas swe Oblicza.

Okaz nam swą łaskę, byśmy mogli ci służyć,

Obdarz nas siłą, byśmy godnie znieśli Twe wyroki.

Jego Dostojność Zebon sztywnym krokiem podążał przez dziedziniec w otoczeniu swej świątyni. Czarna szata powiewała przy każdym kroku niby skrzydła kruka, łysa czaszka lśniła kropelkami potu, kościste ręce mocno zaciskały się na Księżde Objawień.

Towarzyszący mu kapłani szli w dwóch rzędach, po prawej i lewej stronie, w pełnej szacunku odległości od najwyższego spośród nich. Z każdym dniem, niezauważalnie, ta odległość zwiększała się. Nie było ku temu specjalnych powodów, może tylko takie, że Jego Dostojność był nienaturalnie blady, zbyt się pocił i bardzo wychudł, a w zapadniętej twarzy oczy lśniły niezdrowym blaskiem. Unosił się też wokół niego dziwny, mdlący zapach, który przywodził na myśl rozkładające się zwłoki. Dlatego nawet najbardziej fanatyczni spośród wyznawców Boga o Wielu Obliczach woleli z daleka podziwiać swojego mistrza.

Procesja przecięła dziedziniec i zaczęła wspinać się po wysokich stopniach świątyni. Śpiewy wiernych przybrały na sile. Zagłuszyły świst wystrzelonego z kuszy bełtu.

Postępujący za Zebonem kapłani w niemym zdumieniu ujrzeni, jak Jego Dostojność pada na kolana, a potem wali czerepem w kamienny stopień. Ci, którzy szli przed nim, niczego nie zauważyli i bez pośpiechu wkroczyli do kościoła. Odwrócili się dopiero, słysząc nieludzki wrzask. Stojący wzdłuż nawy mnisi wybiegli na zewnątrz.

Oślupiała świta patrzyła, jak znieruchomiłe ciało zaczyna drgać w konwulsjach, jak z zakrwawionych ust wydobywa się ochryply krzyk. Teraz dopiero dostrzeżono tkwiący w plecach kapłana bełt. Ten widok otrzeźwił mnichów.

– Tam! – wrzasnął ktoś, wskazując uchylone okno i majaczącą w nim postać. – Morderca!

Odziani w szare habity akolici popędzili do zamku, bez litości tratując stojących im na drodze.

– Módlmy się, bracia! – zakrzyknął wielkim głosem Brendan, który był członkiem orszaku. – Módlmy się gorąco. Oby pan nasz wysłuchał tych modłów!

Głośno zaczął odmawiać modlitwę do Bengh – Oblicza Śmierci. Pozostali poszli za jego przykładem. Ktoś głośno zasugerował wezwanie medyka, ale jego głos zniknął wśród

błagalnej prośby wiernych.

W komnacie, do której wdarli się mnisi, leżał Bazyl z mieczem tkwiącym we wnętrznościach. Rozwścieczeni akolici rzucili się na zwłoki i rozszarpali je na strzępy.

CZEŚĆ SZÓSTA:

SMOCZY PAKT

Na pogodnym niebie lśniły gwiazdy ułożone w migoczące mozaiki, morze było ciemne i nieprzeniknione. Fale unosiły się i opadały z szumem w usypiającym, jednostajnym rytmie. Żołnierze drzemali, gniotąc się na pokładzie.

Albana siedziała na wąskiej ławce w kołyszącej się łagodnie łodzi, Ten monotony ruch przyniósł jej niespodziewane ukojenie, dręczące ją pragnienia przycichły. Swój Dar skupiała na Antarze. Nie chciała robić mu krzywdy, łamać brutalnie woli, więc odebrała mu zaledwie świadomość istnienia pasażerów i niebezpieczeństwa, które czyhało w postaci nieznannej stwory z głębin. Zachowanie owej równowagi w umyśle rybaka wyczerpywało jej nadwątlone siły i wymagało bezustannej uwagi. Na początku podróży liczyła, że żołnierze podpatrzą sposób prowadzenia łodzi, ale kiedy tylko wypłynęli z zatoki i postawili żagiel, wszystkich zaczęła męczyć morska choroba. Jedynie ona i Antar czuli się dobrze, pozostali, przechyleni przez burty, pozbywali się zawartości żołądków. Przez cały dzień i noc rybak siedział niezmordowanie przy sterze, a ona czuwała wraz z nim. Co jakiś czas pokazywała mu mapę z oznaczoną Wyspą Mgieł, a żeglarz posłusznie korygował kurs.

Zmęczona po bezsennej dobie, drżąca od chłodu, kołysana monotonym poszumem, co chwilę unosiła ciężkie powieki i szczypała się w policzki, żeby nie zasnąć. Kiedy po raz kolejny otworzyła oczy i próbowała otrząsnąć się ze snu, zamarła. Coś zmieniło się wokół: pociemniało, gwiazdy zniknęły, ucichł łopot żagla. Poczowała, że strach lodowatymi palcami chwyta ją za gardło, krzepnie krew, a serce niemal przestaje bić. Nie mogła się poruszyć, odetchnąć ani krzyknąć. Siedziała jak skamieniała, czekając na śmierć. Trwało to ledwie chwilę i minęło równie szybko, jak przyszło.

Zmoczyła twarz wodą z bukłaka, oblizwała słone wargi.

Czy ja nigdy nie pozbędę się tych koszmarów? – pomyślała z rozpaczą. Popadam w obłęd.

Śpiący kręcili się i mamrotali niespokojnie, siedzący u steru rybak jęknął. Te rzeczywiste odgłosy nakierowały jej myśli na codzienne sprawy, odwróciły uwagę od lęku, który ją nagle ogarnął. Dotrwała do świtu i obudziła Cala.

– Muszę się przespać – oznajmiła, szcękając zębami. – Nie wytrzymam dłużej. Kiedy ten Antar dojdzie do siebie, pilnujcie, żeby płynął na zachód.

– Siedziałaś całą noc? – spytał Cal z troską.

Skinęła głową.

– Uważaj na niego, to niezły osiłek i niejedną bójkę ma na sumieniu – ostrzegła słabo.

Owinęła się derką, a Cal narzucił na nią jeszcze swój płaszcz. Zasnęła momentalnie.

Antar przytomniał powoli. Rozglądał się wokół bystrymi oczyma otoczonymi siecią zmarszczek. Co to za ludzie, głowił się, spoglądając na swych pasażerów, i czemu my na zachód płyniemy?

Calmin, któremu udało się zatrzymać w żołądku kilka kęsów suchego chleba i parę łyków wody, obserwował go czujnie.

– Płyniemy na Wyspę Mgieł – odpowiedział na nieme pytanie.

Rybak podrapał się po rozwichrzonej czuprynie i mocniejchwycił rumpel.

– Nie znam żadny Wyspy Mgieł – wymruczał. – I nie pamiętam, cobym się na rejs godził. Cośta wy za jedni?

– Na imię mi Calmin. Spotkaliśmy się wczoraj w gospodzie.

– Mogło tak być, ale żebym się na rejs godził? No, nie wiem. Jak długo płyniem?

– Od wczorajszego ranka.

– Co? – wrzasnął Antar. – Zawracamy!

– Spokojnie, koleś. – Rozespany, ze zmierzwioną brodą, wymizerowany Stevar wysunął się spod koców. Przeciągnął potężne ramiona, aż mu w kościach chrupnęło, od niechcenia wyciągnął nóż i zaczął czyścić brudne, połamane paznokcie. – Spokojnie – powtórzył.

– Zgłupieliście? – rzucił się rybak. – Co wy, samobójcy? Nie słyszeliście o stworze, co morze nawiedza? Nikt tera nie wypływa. Mus nam wracać.

– Nie ma mowy – oświadczył Cal, mierząc go chłodnym spojrzeniem. – Patrz na mapę i płyn w tamtą stronę. – Podsunął mu pod nos stary szkic i wskazał wyspę. – To jest nasz cel.

– Powariowaliście wszyscy do imentu – jęknął Antar. – Tam żadny wyspy nie ma, ino sama woda. Ta wasza mapa to oszukaństwo jakieś.

– Byłeś tam kiedy, żeś taki pewny swego?

– Ino tu. – Antar wskazał najmniejszą z archipelagu czterech wysepek. – Same tam skały i ptasie gówna.

– Daleko to jeszcze?

– Ze dwa dni, a jak wiatr dobry będzie, to może i mniej, ale potwora...

– Zajmij się łodzią, nie potworem. I nie waż się zawracać, bo znamy się na gwiazdach.

Rybak spojrział spode łba, jakby miał zamiar splunąć Fenowi pod nogi, rozmyślił się jednak i tylko pociągnął nosem.

– Głupie wały – burknął do siebie.

Albana przespała prawie cały dzień. Kiedy wreszcie wygrzebała się spod koca spocona i spragniona, Antar wybałuszył na nią oczy.

– Jeszcze i baba – wyjęczał i złożył palce w znak odczyniający uroki.

– Coś ci się nie podoba? – zjeżył się Niedźwiedź.

– Jak ja się w to wpakowałem – biadolił żeglarz. – Chybaście mnie spili na umór. Żeby w taki czas wypłynąć i jeszcze kobitę ze sobą zabierać... A żadny Wyspy Mgieł nie ma, i basta.

– Jest. Tam się urodziłam – powiedziała Albana, popijając wodę z bukłaka.

Stevar spojrział na nią zdumiony, Cal zacisnął zęby, Jarik skulił ramiona, jakby spodziewał się ciosu.

– Dziwno mi ino, żem nigdy takich czerwonowłosych nie widział – sarknął nieprzekonany Antar. – Wszyscyście tam tacy?

– Nie, tylko ja – nachmurzyła się czarownica. Rozejrzała się, oceniając pogodę. – Morze spokojne, wiatr w dobrym kierunku. Prześpij się, Antarze. Zmęczony pewnie jesteś.

– A pewnie, ledwo ślipię. Ale czy wy na łodziach się znacie? Jakże mi spać? – spytał podejrzliwie.

– Poradzimy sobie, a w razie czego, zbudzimy cię – uspokoił go Cal.

– A nożem nie zadźgacie?

– Nie jestem mordercą, kmiotku, żeby śpiącym gardła podrzynać – warknął rozeźlony Stevar.

– Bez ciebie nie damy sobie rady – powiedziała równocześnie Albana. – Śpij spokojnie.

Antar przekazał ster Calminowi, instruując go dokładnie. Chwilę patrzył, jak sobie radzi, a

potem ułożył się wzdłuż burty, mamrocząc pod nosem modlitwę.

– Naprawdę urodziłaś się na tej wyspie? – spytał Stevar. Od rana gryzł suchary, żeby choć trochę oszukać głód. Ciągłe miał mdłości, w głowie mu się kręciło, a nieustanny szum fal doprowadzał go do pasji. Podjął rozmowę, bo musiał odwrócić myśli od pustego żołądka, kołysania fal, żołądka, bezmiaru otaczającej go wody, żołądka...

– Pewne okoliczności na to wskazują – odparła wymijająco Albana. Patrzyła nie na Stevara, lecz na męża, który zdawał się ich nie słuchać, całą uwagę poświęcając sterowaniu.

– Skąd to wiesz? Mówiłaś, że nie znasz swojego pochodzenia – drażył Niedźwiedź.

– Sajron zbadał moje wspomnienia – burknęła nagle rozłoszczona Albana. Porwała swoją sakwę i wyciągnęła związane rzemieniem kartki. Wetknęła je Stevarowi.

– Masz, przeczytaj i daj mi wreszcie spokój – krzyknęła prawie.

Przechołgała się pod żaglem i siadła na dziobie wpatrzona w zachodzące powoli słońce.

Stevar, zakłopotany, przebierał palcami po pożółkłych stronach.

– Czego ona się tak nadeła? – spytał zdumiony.

Braciszkanie pokręcili głowami i znowu wychylili się za burzę.

– Pani Albana wie tyle, co z tych papierów – szepnął Jarik, spoglądając ze współczuciem na zgarbioną sylwetkę. – Ciężko jej teraz. Liczy, że odnajdzie ojca, ale może być, że pomyliła się w rachunkach i nie na tej wyspie jest jej dom.

– Aaa... No tak. Schowaj to, chłopcze, jutro poczytamy. Dziś już za ciemno – wymruczał Niedźwiedź łagodniejszym tonem.

Jarik wcisnął papiery do torby i położył ją sobie na kolanach. Napięcie opadło.

Następne dni dłużyły się beznadziejnie. Pogoda dopisywała, lekki wiatr wydymał żagiel, w przezroczystej sinoniebieskiej wodzie błyskały ławice ryb. Antar uspokoił się trochę i przestał biadolić. Dough i Brian nie chorowali już, choć ciągle byli bladzi i jedli niewiele. Stevar z nudów dukał na głos pamiętnik Kelosa, a Cal zachęcony przez Jarika czytał zapiski Sajrona.

Już po paru liniijkach zorientował się, dlaczego Albana była tak niepewna. Sajron opisywał obrazy utrwalone w pamięci niemowlaka. Pełno tam było wrywkowych opisów barw i zapachów, ciepła matczynego uścisku i łaskotania ojcowskiej brody. Wyraźniej jawiła się doznana krzywda, kiedy kobieta o spalonej słońcem twarzy położyła na piersi dziecka smoczy talizman. Dopiero późniejsze wspomnienia zawierały więcej szczegółów: wędrówki po dworach w poszukiwaniu służby i byle jakiego kąta do zamieszkania, wybuch nienawiści do panicza depczącego kolorowe szkiełka, las Keranów i złe spojrzenie Worama.

Cal odłożył rękopis i zamknął oczy. Tak, doświadczeń Albany starczyłoby dla kilku osób, a na rozwiązanie wszystkich zagadek z przeszłości i życie byłoby za krótkie. Czy to możliwe, żeby tajemnicza Wyspa Mgieł była jej domem i czekał tam na nią stęskniony ojciec? A może cała ta szalona wyprawa jest tylko pretekstem, by znaleźć swoje korzenie, potwierdzić tożsamość? Ta myśl zmroziła go na chwilę, ale zaraz przyszła następna – o zamurowanej komnacie w ruinach Celebonu, rozpadających się, zniekształconych zwłokach i zielonych oczach z pionowymi gadzimi źrenicami.

– Ziemia, ziemia – wrzasnął przeraźliwie Antar, wrywając Calmina z zamyślenia.

Mijali właśnie pierwszą z wysepek, sterczący z morza kawałek skały upstrzony ptasimi odchodami.

– Jeśli Wyspa Mgieł wygląda tak samo, zdechniemy w tej skorupie – mruknął Stevar.

– W jakiej skorupie? – zaperzył się rybak. – To najlepsza łódź w Moint. Pomodlić się ino trzeba, żeby my tę wyspę naszli, bo nie damy rady wrócić z powrotem.

Wszyscy uświadomili to sobie z przeraźliwą jasnością. Od początku podróży słońce grzało mocno. Spragnieni, wyczerpani morską chorobą żołnierze szybko opróżniali bukłaki. Zabrane z Moint zapasy popsuły się w spiekocie i trzeba było wyrzucić je do morza. Mogli przez jakiś czas żywić się rybami złowionymi przez Antara, ale czy starczyłoby im sił na powrót do brzegu?

Kiedy skalisty kawałek lądu zniknął z horyzontu, nastroje pogorszyły się gwałtownie. Dawała się we znaki nieznośna ciasnota i brak możliwości choćby chwilowego odosobnienia. Obecność kobiety pomiędzy szóstką mężczyzn krępowała, a świadomość, że to za jej sprawą płyną w nieznaną, potęgowała niechęć. Niewypowiedziana myśl, żeby zawrócić, wisiała w powietrzu.

Trzeciego dnia podróży pogoda zmieniła się niespodziewanie. Pogodne niebo zasnuły chmury, łagodne kołysanie zamieniło się w upiorną zjeżdżalnię, a wiatr wydymał żagiel z siłą zapierającą dech w płucach.

Cal i Antar trzymali ster, Stevar walczył z opornym żaglem, pozostali wylewali wodę, której ciągle przybywało. Nawałnica ucichła równie nagle, jak się zaczęła. Wicher przycichł zupełnie, fale zdawały się zamierać, a wokół pojawiły się pasma mgły. Antar zwinął żagiel, założono wiosła i mimo protestów rybaka skierowano się wprost w gęstniejący opar.

Albana siadła na dziobie, zamknęła oczy i uaktywniła wszystkie swoje wyczerpane zmysły. Nie zwracała sobie głowy wykrzykiwaniem komend, przekazywała je wprost do umysłów wiosłujących mężczyzn. Płynęli w niesamowitej ciszy, widząc ledwo plecy siedzących przed nimi. Sylwetka kobiety wydawała się nierzeczywistą ułudą, jedynie ciche poskrzypywanie wiosel o dulki przekonywało ich, że to wszystko nie jest jakimś koszmarnym zwidem.

Czas jakby stanął w miejscu. Mgła nie pozwalała spojrzeć dalej, nie mieli żadnego punktu odniesienia. Nie wiedzieli, czy posuwają się naprzód, czy też błądzą w kółko. Antar zaintonował modlitwę, ale przerwał w pół słowa. Nawet bóg zdawał się nie mieć dostępu do tego miejsca zawieszzonego w gęstym tumanie. Nagle mgła ustąpiła. Świat w jednej sekundzie odzyskał barwy i dźwięki. Przed nimi, otoczona wianuszkami piany, pojawiła się wyspa. Ponad pióropusze drzew wystawały białe szczyty gór.

Albana stanęła na dziobie, nie bacząc na kolebiący się pod stopami pokład. Po twarzy spływały jej łzy.

Antar przetarł oczy.

– Nie do wiary – mruknął do siebie.

Wszyscy zgodnie pochyłili się, zgarniając wodę równymi pociągnięciami. Nikt nie myślał o czającym się niebezpieczeństwie, najważniejsze było postawienie stopy na lądzie.

Ledwo starczyło im sił na dopłynięcie do kawałka piaszczystej plaży. Radość zastąpiło zmęczenie. Zbyt utrudzeni i otępiali, żeby szukać wygodniejszego miejsca na nocleg, pokładli się na piasku i zasnęli.

Mimo wyczerpania Albana znów nie spała dobrze. Majaki dręczyły ją ze zdwojoną siłą. Trwała zawieszona w świecie swoich koszmarów, przeżywając męki. Gdy się wreszcie ocknęła, podniosła ciężkie, szczypiące od soli powieki i rozejrzała wokół. Przez chwilę rozkoszowała się widokiem pogodnego nieba i bezruchem twardego podłoża, na którym spoczywała. Uniosła dłoń i pozwoliła, by piasek przesypał się jej pomiędzy palcami.

Wyspa Mgieł, pomyślała, więc istnieje naprawdę. Wróciłam do domu.

Oblizwała spieczone wargi i uświadomiła sobie, jak bardzo jest spragniona. Przewyciężając zawrót głowy, wstała i rozglądnęła się w poszukiwaniu bukłaka z resztką

słodkiej wody.

Mężczyźni spali jeszcze, sakwy walały się nieporządnie dookoła. Znalazła worek i napiła się, smakując ciepłą wodę niczym najlepsze wino. Jej wzrok znów spoczął na śpiących. Z nagłym poczuciem winy zakorkowała bukłak i odłożyła go. Popatrzyła na Jarika. Leżał, jak pozostali, wprost na piasku, skulony i zziębnięty. Okryła go wilgotną, zapiaszczoną derką i dotknęła potarganych włosów.

Powinam zacząć go uczyć, pomyślała. Jest taki wrażliwy. Gdyby nie on... Juki, gdzie są jego juki?

Rozejrzała się w panice dookoła, a potem brutalnie szarpnęła go za ramię.

– Obudź się! – krzyknęła mu wprost do ucha. – Gdzie twoje juki? Gdzie szkatuła?

Chłopak zerwał się gwałtownie, wystraszony, oszołomiony snem.

– Gdzie sakwy? – szarpała go kobieta.

– Nnie wiem – wyjąkał Jarik niepewnie, wydzierając się z jej rąk.

– Nie pamiętam. Gdzieś je tu rzuciłem.

– Ty głupcze – syknęła z furją, podnosząc dłoń.

– Zostaw go – wtrącił się stanowczo Cal. – Ja mam.

Podniesiona do uderzenia ręka opadła. Albana odwróciła się do męża.

– Daj mi – zażądała.

– Nie! – wrzasnął Jarik. – Ja je wezmę i będę pilnował, jak przedtem.

– Oddaj, co moje – wysyczała złowieszczo kobieta, nie zwracając uwagi na krzyk chłopaka.

Calmin wstał i rzucił jej pod nogi tobołek. Albana opadła na kolana i zaczęła grzebać w jego wnętrzu. Wyciągnęła opatuloną w skóry szkatułę, otworzyła ją trzęsącymi się z niecierpliwości rękoma. Oba pergaminy i flaszka leżały na miejscu. Zacisnęła palce na butelce.

– Co to? Siwucha? – zainteresował się Antar, którego zbudziły krzyki.

Kobieta spojrzała na niego, potem skierowała wzrok na męża i stojącego obok Jarika. Chłopak patrzył na nią zrozpaczony, z oczu spływały mu łzy. Twarz Cala była nieruchoma niczym maska, ale oczy wyrażały... litość, pogardę? Niechętnie, wbrew woli, cofnęła dłoń i zamknęła kasetę. Wstała z kolan i ruszyła przed siebie. Jarik szybko spakował tobołek i pobiegł za nią.

– Co się dzieje? – wyburczał Stevar. Gramolił się niezgrabnie, wytrzepywał piasek z odzienia, rozplątywał włosy.

– Nic – szcęknął Cal. – Ruszcie dupy. Idziemy.

– A śniadanie? – zaprotestował Stevar.

– A łódź? Trza ją zabezpieczyć. Jak wrócimy? – włączył się Antar, ale nikt go nie słuchał.

Ledwo opuścili plażę i posunęli się parę kroków w głąb lądu, napotkali wieś. Stanęli jak zahipnotyzowani, wpatrzeni w zniszczone chaty, w poszarpane, gnijące szczątki ludzi i zwierząt. Cal, Stevari bracia podczas wojaczki naoglądali się sporo splądrowanych osad, ale ten widok był gorszy niż wszystko, co dotąd spotkali.

Albana ocknęła się pierwsza.

– Włóż swoją zbroję, Calminie Fen – powiedziała zduszonym głosem.

Im dłużej posuwali się w głąb wyspy, tym wyraźniej było widać ludzkie starania, aby przystosować ten kawałek ziemi do życia. Wykarczowane lasy, uprawne poletka odgródzone ułożonymi z kamieni murami, łąki pełne zwierzęcych odchodów. Jednak w tym sielskim

krajobrazie raziły rozległe oparzeliny, martwe bydło i ludzkie zwłoki.

– To nie Wyspa Mgieł, ino jakaś trupiarnia – mamrotał przerażony Antar. – Tu przecie nie ma nikogo żywego. Pomrzemy jak nie z głodu i pragnienia, to od tej bestii, co ludzi pożarła. Boże, zwróć na nas swoje Oblicza.

Kiedy minęli zakręt, ujrzeli połyskujący w słońcu strumień. Po przeciwnej stronie, z opuszczonym łbem, stała owca. Miała przypaloną skórę na grzbiecie, jedno oko zakrwawione, tylną nogę nienaturalnie zgiętą.

Cal był najszybszy. Zdjął łuk i wypuścił strzałę, nim ktokolwiek zdążył odetchnąć. Zwierzę padło martwe, a krew zabarwiła wodę w potoku. Rozpalili ogień i nadziali na rożen obdarte ze skóry mięso. Po posiłku legli w cieniu, rozkoszując się pełnym żołądkiem i odsuwając od siebie inne myśli.

Albana oddaliła się, obmyła szorstkie od soli ciało, wyprała odzienie. Kiedy wróciła, mężczyźni poszli za jej przykładem. Jedyne Antar patrzył na nich jak na szaleńców. Choć codziennie wypływał w morze, nigdy dobrowolnie nie zanurzyłby się w żadnej wodzie.

– Co dalej? – spytał Cal, gdy wszyscy na powrót usiedli razem.

– To duża wyspa, może ktoś ocalał – powiedziała szeptem czarownica.

– Nie szukamy ludzi – przypomniał sucho Calmin.

– Smocze leża zwykle były w górach. – Spojrzała w stronę bielejących wierzchołków. – Ale, Cal, ja chciałabym najpierw odszukać... Mój ojciec, jego dwór... Czy nie moglibyśmy... Proszę.

Calmin spojrzał na nią. Siedziała obok cicha i spokojna. Jej sylwetka, twarz, oczy wyrażały niemą prośbę. Wydawała się taka zagubiona i bezbronna, że wyciągnął rękę i dotknął jej policzka, a potem ją uścisnął.

– Poszukamy twojego ojca – powiedział miękko. – Jeśli żyje, znajdziemy go na pewno.

Najedzeni i odświeżeni kąpielą ruszyli dalej. Nie zaglądali do zniszczonych chałup, nie sprawdzali, czy ktoś ocalał. Powstrzymywali ich Albana i Jarik – oni wiedzieli, że mijane wioski są martwe.

Na nocleg rozłożyli się w szczerym polu. Teren był ciągle płaski, bez żadnego skalnego załomu, drzewa czy krzaka, który mógłby im zapewnić osłonę. Wyznaczono podwójne warty, posilono się zimnym mięsem pozostałym z poprzedniego posiłku.

Albana znowu śniła. Przedzierała się przez gęsty las. Była maleńka, tak maleńka, że każde źdźbło trawy przewyższało ją o głowę, obwieszone dojrzałymi jagodami krzaki zasłaniały niebo. Za sobą ciągle słyszała kroki. Jagody spadały, rozpryskując się niczym krople krwi. Jej suknia była uwalana lepkiem sokiem, gęsta maź spływała po twarzy i włosach jak krzepnąca posoka. Kroki były coraz bliżej i bliżej... Strach dławił ją w gardle, dłonie drżały, krew pulsowała w oszalałym rytmie. Wiedziała, że już za chwilę, w następnym momencie zostanie odkryta. Potknęła się i przewróciła. Nie miała siły, żeby się podnieść, więc przywarła do murawy, mając nadzieję, że nagle zniknie, stopi się z podłożem w jedność. Kroki były tuż, na plecach czuła cuchnący oddech... Wysilała cały swój Dar, raz za razem posyłała fale skoncentrowanej energii, które powinny unicestwić wroga, lecz zamiast śmiertelnego rżenia słyszała tylko śmiech. Otaczał ją cień, krzyk narastał w gardle...

Obudziła się mokra od potu, przerażona i drżąca. Gardło miała wyschnięte na wiór, głowa pulsowała boleśnie. Ciągłe nie w pełni świadoma rzuciła się w stronę Jarika, on niósł smoczą krew, jedyny ratunek przed zagrażającym jej śmiertelnym niebezpieczeństwem. Poczowała nagły ból i dopiero teraz rozejrzała się dookoła. Stała w wypalonym kręgu ognia, nogi miała szare

od popiołu, resztki żaru parzyły ją w stopy. Cofnęła się i opadła z powrotem na posłanie. Rozdygotana skuliła się, obejmując ramionami i zaczęła kołysać w przód i w tył, pojękując cichutko.

Trzymający wartość Cal obserwował ją od chwili, gdy zerwała się ze swojej derki. Widział, jak depcze resztki ogniska, słyszał jęk. Porzucił posterunek i podszedł do niej.

– Albano, co się z tobą dzieje? – spytał cicho, dotykając jej ramienia.

Podniosła na niego oczy pełne bólu i pragnienia.

– Ona mnie wzywa – wyszeptała ni to do siebie, ni do niego. – Czuję, jak mnie woła. Nie wytrzymam tego dłużej, nie wytrzymam.

– Kto cię woła?

– Krew. Smocza krew. Poznałam jej działanie, kiedy złamałam pieczęć na pakcie. Ona dała mi odporność i moc, jakiej nigdy wcześniej nie doświadczyłam. Od czasu, gdy obudziłam się z letargu, bez przerwy czuję, jak do mnie mówi. Przedtem było łatwiej... ale odkąd opuściliśmy Równiny, słyszę ją co noc, myślę o niej całymi dniami. Jeśli jej nie spróbuję, popadnę w obłąd, zrobię krzywdę sobie albo wam. Och, Cal, pomóż mi, proszę, pomóż.

– Smocza krew? Trucizna z flaszki, której pilnuje Jarik?

– Tak, tak. Gdybyś mi dał choć kropelkę, jedną kropelkę... może ta udręka wreszcie by się skończyła.

– Nie.

– Nie? Po prostu, nie? Cal, ty nie rozumiesz... Proszę cię, błagam. Ja nie chcę nikogo skrzywdzić, ale już nie mogę... nie wytrzymam.

Pokorny szepc rozlegał się wyraźnie w ciszy nocy, zielone oczy patrzyły żałośnie. Calmin poczuł, że jego wola zaczyna słabnąć. Dotknął jej włosów mokrych od potu i rosy.

– Proszę.

Nieoczekiwanie brutalnie zacisnął dłoń na rudym kosmyku i przyciągnął do siebie. Spojrzał wprost w jasne, pełne łez oczy.

– Chcesz wyglądać jak ci nieszczęśnicy w Celebonie? – spytał groźnie. – Jedna kropla tego świństwa wystarczyła, żeby niemal pozbawić cię ludzkich cech, a ty chcesz więcej? Prędeż cię zabiję, niż na to pozwolę. Nie licz na moje współczucie, Albano. Zrobiłbym dla ciebie wszystko, ale nie to, nie to.

Puścił ją i patrzył, jak rozciera sobie skórę na głowie w miejscu, gdzie ją złapał.

– Wyjedźmy z tej zapowietrzonej wyspy, wróćmy na Równiny – powiedział nagle. – Zniszczymy butelkę i nie poczujesz więcej tego pragnienia.

– Już nigdy nie będę taka jak dawniej... Obydwoje podążamy ku swemu przeznaczeniu. Jesteś głupcem, jeśli sądzisz inaczej.

Ułożyła się na posłaniu plecami do męża i otuliła derką.

Cal patrzył na skuloną postać i czuł się równie zagubiony jak ona. Nie umiał pomóc. Co stałoby się z jego nieobliczalną małżonką, gdyby uległ prośbom? Westchnął i przysiadł w pobliżu Jarika. Rankiem ruszyli dalej. Teren zrobił się pofałdowany, pojawiły się pagórki i porośnięte mchem samotne skałki. Kiedy podchodzili do kolejnej wsi, Albana nagle zatrzymała się w pół kroku.

– Tam ktoś jest – powiedziała martwo.

Weszli czujnie pomiędzy wypalone kikuty domostw, z mieczami w dłoniach, niepewni, co lub kogo zastaną.

Mężczyzna, który runął na nich z nienacką, był szalony. Trzymał w rękach stylisko od

siekiery, bez ostrza. Dłonie mu drżały, z oczu wyzierał paniczny strach. Wrzeszczał niezrozumiale, strużki śliny płynęły mu z ust. Stevar przebił go mieczem, nim zdążyli się zastanowić, co począć z obłąkanym nieszczęśnikiem. To był jedyny żywy człowiek, którego spotkali podczas swojego marszu.

Trzy dni zajęło im dotarcie na północne wybrzeże. Droga, z której nie zbaczali, zaprowadziła ich wprost do miasta, z daleka do złudzenia przypominającego Moint. Podobieństwo skończyło się, kiedy minęli rogatki. Moint tętniło życiem, ten gród był wymarły. Zamiast odgłosów codzienności, rozmów, dziecięcego śmiechu, poszczekiwania psów słychać było tylko skrzyp niedomkniętej okiennicy, łoskot poruszanej wiatrem furtki, krzyk ptaków. Domy stały opuszczone, niektóre w takim pośpiechu, że na stołach leżały jeszcze resztki posiłków, nad nadbrzeżnymi straganami unosiły się chmury mew żerujących na zepsutych rybach, lecz trupów było ledwo parę.

– Przecież tu mieszkała kupa ludzi. Gdzie się wszyscy podziali?

– burczał Stevar pod nosem.

W tej chwili odwrócił się błyskawicznie, kątem oka dostrzegając jakiś ruch. To był pies, kudłaty, w biało-rude łaty, przeraźliwie chudy. Warknął na ludzi, podkulił ogon i zniknął w zaułku.

Antar, który trzymał się blisko Niedźwiedzia, rozglądał się po wyludnionym mieście coraz bardziej wylękniony. W jakiś nieuchwytny sposób to miejsce przerażało go bardziej niż zmasakrowane wioski. Kiedy upewnili się, że wokół nie ma żywego człowieka, powędrowali ku zamkowi. Zbudowany na przybrzeżnych klifach, ciężki, przysadzisty, wznosił się ponad miastem. Jasny wapień, który posłużył za budulec, pokrywały plamy mchów podobne szpecącym zdrową skórę liszajom. Na sterczącym smętnie z okrągłej wieży maszcie nie powiewał żaden proporzec.

Okutą żelazem bramę w obronnym murze pozostawiono otwartą na oścież. Na obszernym placu leżały zwęglone zwłoki, po strzępkach odzienia można było poznać, że to żołnierze. Obok poniewierały się stopione w bezkształtną masę kawałki żelastwa. Na zewnętrznych ścianach wyraźnie odznaczały się ohydne oparzeliny, w wąskich oknach tkwiły fragmenty popękanych szyb, a ich resztki chrzęściły pod stopami. Z drewnianych bud, które przycupnęły obok, pozostały nadpalone szczątki oprószone popiołem. Wszędzie było pusto i bardzo cicho. Kiedy skądś pojawił się kot i otarł o nogę czarownicy, jej krzyk rozległ się upiornym echem pośród kamiennych ścian.

Przemierzali korytarze i sale, czując się coraz bardziej nieswojo, jakby podglądali czyjeś życie przez dziurkę od klucza. Każda komnata, którą odwiedzili, świadczyła, że do ostatniej chwili toczyło się w niej normalne życie. Znajdowali porzucane odzienie, stopione świece w kandelabrach, talerz zepsutych owoców przy łożu. Rejestrowali szczegóły świadczące o zamożności mieszkańców tej niemalże królewskiej siedziby: grube, barwne dywany pokrywające podłogi, gobeliny wiszące na ścianach, ciężkie meble ozdobione wymyślnymi rzeźbami, przewrócony złoty puchar, z którego wysączyła się resztką wina, rzucony niedbale na oparcie krzesła futrzany płaszcz.

Calmin, przeszukawszy pokoje na dole, wspinał się po drewnianych schodach na piętro i pchnął pierwsze z brzegu drzwi. Na środku komnaty stała Albana wpatrzona w rzeźbioną na kształt łodzi kołyskę.

– I urodziła się księżniczka, a jej dziadek, rybak, wystrugał dla niej kolebkę – ni to mówiła, ni śpiewała słowa, które wyłoniły się z zakamarków pamięci.

Przekłeta zbroja, pomyślał mężczyzna, szarpiąc rzemienie. Nie mogę jej nawet przytulić.

– Chodźmy stąd – szepnął. Delikatnie, uważając, by nie dotknąć jej smoczą łuską, splótł palce z jej palcami.

– Chodźmy – powtórzył.

Albana pogładziła wypolerowane drewno, zakołysała łózczykiem.

– Dlaczego? – szepnęła. Ból w jej głosie był tak wielki, że ścisnęła Calowi serce.

– Nie zmienisz tego, co było, nie cofniesz czasu – powiedział. – Zamiast rozpamiętywać dawne krzywdy, pomyśl, jak odnaleźć ojca.

– Przecież tu nikogo nie ma.

– Nie ma żywych, ale nie ma też umarłych. Myślę, że oni nie zginęli, lecz gdzieś się schowali. Powinniśmy jeszcze raz przeszukać zamek, może są tu ukryte komnaty albo zejście do lochów.

– Podziemia... Racja, w Ostatniej Twierdzy też były tajemne przejścia, i w Celebonie. – Zielone oczy rozbłyły na nowo, policzki poróżwiały. – Szukajmy.

Zeszli na dół i z nową energią podnosili arrasy, przestawiali stojące pod ścianami szafy, obmacywali ściany. Wejście do podziemi znaleźli w urządzonym z surową prostotą głównym holu. Jego jedyną ozdobą był relief przedstawiający walkę ze smokiem. Płaskorzeźba wabiła wzrok kolorami, połyskiwała, jakby do jej zdobienia użyto szlachetnych kamieni i kruszców. Wojowie nosili srebrzyste zbroje, końskie rzędy lśniły rubinowo, a ślepia bestii błyszczały niczym olbrzymie diamenty. Zachwycony Jarik wodził palcami po wypukłościach, podziwiając kunszt, z jakim oddano rysy twarzy, harmonijność sylwetek. Kiedy dotknął zakończonego kolcem smoczego ogona, przylegająca do reliefu ślepa ściana obróciła się majestatycznie i odsłoniła przejście. Zaskoczony, ale i dumny z siebie chłopak zwołał pozostałych i pierwszy wsunął się do tunelu.

Na murach szerokiego, wysoko sklepionego korytarza wisały uchwyty z częściowo wypalonymi pochodniami. Kurz pokrywający kamienną podłogę zdeptany był setkami stóp, upstrzony zwierzęcymi odchodami. Szli po tych śladach, znajdując porzucone drobiazgi: guzy od kaftana, miedziaki, strzępy odzienia, lalkę z gałganów, z oderwanym paciorkowatym okiem. Albana podniosła kukielkę, wygładziła zgniecioną spódniczkę, starła brud ze szmacianej buzi.

– Pewnie ktoś za tobą tęskni – mruknęła, chowając ją do niesionego na plecach tobołka.

Przejście kończyło się rozwidleniem. Tropy rozdzielały się. Wybrali drogę w dół, po stromych, wyslizganych stopniach. Zeszli po nich i trafili na kolejny tunel. Owionął ich przeraźliwy ziąb. Ten korytarz powstał w sposób naturalny, kluczył w lewo i prawo, rozszerzał w wygodną aleję lub zwężał się tak bardzo, że Stevar musiał przeciskać się bokiem. Podłogę było nierówne, z sufitu zwieszały się sople, z góry kapała woda. Światło pochodni wydobywało z nich blade refleksy, ukazywało odłamane końcówki. Tunel kończył się ślepo, wielkim kamieniem, na którym błyskały świeże zadrapania.

Idący przodem Niedźwiedź naparł na niego z całych sił. Nie zauważył wydrążonego w miękkim wapieniu otworu, z którego wysunęła się włócznia. Jej grot starł mu skórę z policzka, pozostawiając krwawą smugę. Rozwścieczony, złapał za wystający kawałek drzewca i szarpnął mocno. W potężnych paluchach drewno pękło z głuchym trzaskiem.

– Zgłupieście?! – ryknął ze złością, wymachując ułomkami. W ciasnym korytarzu jego krzyk zabrzmiał niczym grzmot. – Przybyliśmy na pomoc!

– Ktoście wy? – rozległo się stłumione pytanie.

Calmin wziął pochodnię i oświetlił twarze swojej kompanii.

- Jesteśmy żołnierzami. Chcemy rozmawiać z dowódcą.
- Czekaście i bliżej nie podchodźcie, bo z kuszy ustrzelim – odezwał się ten sam głos po dłuższym namyśle.

Oczekiwanie przeciągało się. Wszyscy skupili się razem, ciężko oddychając w zatęchłym powietrzu, nerwowo wycierając potniałe dłonie o ubrania. Wreszcie kamień zahurkotał i powoli, opornie przesunął się na bok, odsłoniwszy wąską szczelinę.

- Wlazujta, ino wartko, i broń ostawta – pogonił ich wąsaty wartownik, rozglądając się czujnie.

Weszli do niewielkiej pieczary. Popchnięty silnymi ramionami gwałt pococzył się z powrotem na swoje miejsce i zablokował odwrót. Otoczyła ich grupa mężczyzn z obnażonymi mieczami, z tyłu przyciął się kusznik. Wszyscy mieli srogie miny, ale Cal od razu dostrzegł, że brakowało im tej spokojnej pewności siebie, jakiej nabywa się po wielu latach żołnierskiej służby. Bardziej przypominali wieśniaków, którzy przyłączyli się do drużyny Jastrzębia. Mimo to bez protestów odpiął pas z mieczem, zdjął z pleców łuk. Pozostali poszli w jego ślady. Przed strażników wysunął się młody mężczyzna.

- Chodźcie ze mną – polecił i poprowadził ich płataniną korytarzy, pewnie wybierając drogę.

– Tutaj poczekamy – mruknął, kiedy zatrzymali się w dużej skalnej komnacie. Depcząca im po piętach eskorta zablokowała drzwi. Przewodnik zniknął za kotarą, zasłaniającą drugie wejście, i wrócił zaraz, pilnie ich obserwując.

Kompania przystanęła na środku sali urządzonej z dostatkim równym temu w zamkowych komnatach. Na krzywych ścianach wisiały arras, podłogę wyściełał chodnik. Pod ścianą ustawiono długi stół i ławę pokrytą skórą. W rogu stał żelazny trójnóg z płonącymi polanami, od którego rozchodziło się miłe ciepło. Dym ulatywał ku górze i nikał w ciemności. Zapach żywicy wypierał wszechobecną wilgoć i czynił pieczarę przytulniejszą. Potem zwrócili wzrok na pilnującego ich mężczyznę.

Dopiero w jasnym świetle rzucanym przez pochodnie dostrzegli, że ich przewodnik ledwo wkroczył w wiek męski. Mógł liczyć sobie nie więcej niż piętnaście, szesnaście lat. Ubrany był w prosty kaftan, ale na palcu nosił kosztowny pierścień, a miecz u jego boku miał niezwykłą, wymyślną rękojeść i zdobioną pochwę. Z urodziwej twarzy łatwo można było odczytać odrazę na widok brudnych, cuchnących solą i spalenizną ubrań, nieogolonych szczęk i potarganych włosów.

Kotara zasłaniająca wejście uchyliła się i do komnaty prędkim krokiem wszedł mężczyzna otulony podbitym futrem płaszczem. Przystanął na środku i skinął dłonią, żeby podeszli bliżej.

- Stoicie przed królewskim namiestnikiem Faliasem – odezwał się młodzieniec i zajął miejsce u jego boku.

Żołnierze rozdziawili gęby ze zdumienia, nawet Calmin się zdziwił, choć czytał przecież zapiski Sajrona i domyślał się, że jego żona pochodzi ze znaczącego rodu. Jedyne sama Albana nie okazała zaskoczenia. Patrzyła zachłannie na mężczyznę, jakby chciała odnaleźć choćby ślad podobieństwa pomiędzy sobą a nim.

Falias był wysoki, wyższy nawet od Niedźwiedzia. Długie włosy, w których pobłyskiwało sporo siwych pasm, założył za uszy. Twarz miał przystojną, poorly zmarszczkami od wiatrów i słońca, ozdobioną krótko przyciętą brodą. Ciemne oczy patrzyły bystro i przenikliwie. Mimo niezbyt wyszukanego stroju, bo spod długiego płaszcza wystawała grubo tkana tunika i nogawice, jego sylwetkę spowijała dobrze wyczuwalna aura władzy.

Młodzik, widząc zadowolony z osłupienia widocznego na twarzach przybyszów, z ich niezgrabnych ukłonów, pogładził zaczątek wąsów i uśmiechnął się z wyższością.

– Nie wstyďte się, dobrzy ludzie – rzekł z fałszywą jowialnością. – Powiedźcie, z czym przychodzicie.

Stear aż zatrząsł się ze złości, słysząc ton młodego panka, ale posłusznie zamknął usta, kiedy poczuł na rękawie dłoń Cala.

– Jestem Calmin Fen, kapitan Królewskiej Armii Imeskarii – przedstawił się Jeździec. – To moja żona, żołnierze z oddziału i rybak z Moint, który użyczył nam swojej łodzi.

Namiestnik otworzył szerzej oczy, a młodzieniec parsknął śmiechem.

– W głowach wam się pomieszało – wykrztusił.

– Słuchaj no... – zaczął groźnie Stevar, ale Calmin znów nie pozwolił mu na wybuch.

– Zanim uznasz nas za szaleńców, wysłuchaj, panie, mojej małżonki.

Do Albany nie dotarły ani słowa Cala, ani Stevara, który mamrotał pod nosem:

– Nie jestem, do cholery, dobrym człowiekiem...

Wpatrzona w namiestnika, zbliżyła się i spojrzała wprost w czarne oczy.

– Jestem Albana, córka Faliasa i Bereny – powiedziała drżącym głosem. – Przebyłam długą drogę, aby odnaleźć Wyspę Mgieł i mojego ojca. Czy ty nim jesteś?

Młodzik poczerwieniał, chrząknął, ale namiestnik ścisnął go za ramię tak mocno, że wywołał grymas bólu. Sam długo milczał, patrząc na pokrytą piegami twarz, zmierzwiłone włosy, nędzne odzienie.

– Miałem kiedyś córkę o imieniu Albana – odezwał się wreszcie tonem wypranym z wszelkiej emocji. – Zginęła na morzu prawie dwie dziesiątki lat temu. Twierdzisz, że ty nią jesteś?

Kobieta straciła pozory spokoju. Po twarzy spłynęły jej łzy, zadygotała tak mocno, że ledwo poradziła sobie ze sznurowaniem bluzy. Obnażyła pierś.

– To znamię zrobiła strażniczka. Moja matka nie potrafiła pogodzić się z tym, że jestem Obdarowana i uciekła z wyspy, zabierając mnie ze sobą. Jakimś sposobem udało jej się przebyć mgłę i dotrzeć na ląd, do Imeskarii – wyszeptała tak ochryple, że ledwo ją można było zrozumieć.

Falias zatrzymał wzrok na znamieniu, wyraźnie zaskoczony jego niezwykle kształtem. Potem znów podniósł oczy na mokrą od łez, wynędzniałą twarz.

– Nie płacz – powiedział w końcu. – Nie poznaję cię, kobieto, ale nie chcę zadawać ci kłamstwa. Czy możesz potwierdzić swoje słowa?

– Tak, mogę – rzekła, odetchnąwszy głęboko. – Jarik, podaj sakwę.

Chłopiec bez protestu podał jej torbę, pomógł wydobyć opatulony skórą pakunek i na powrót dołączył do swych towarzyszy. Albana zdjęła medalion, ostrożnie rozpakowała szkatułę. Na ten widok Falias ledwo powstrzymał okrzyk.

– Kasetą zawiera Smoczy Pakt, a to klucz, który ją otwiera. – Wskazała na medalion Emausa.

Skinął głową, patrząc jak zahipnotyzowany na szarawy blok.

– Skąd to masz? – spytał.

– Medalion podarował mi król, a szkatułę... – Przerwała, niezdolna w paru słowach wyjaśnić wszystkie okoliczności.

– Pani Berena zabrała ją z wyspy – wtrącił się niespodziewanie Jarik. Uczucia ojca i córki były dla niego przejrzyste. Odbierał je wyraźnie, współuczestniczył w nich i nie umiał

powstrzymać się od wypowiedzenia głośno tego, co było oczywiste.

Namiestnik skinął głową.

– Powiedziałem jej kiedyś, że to najcenniejszy skarb Wyspy Mgieł. Jak to możliwe...? Czy ty... Jeśli szkatuła ocalała, więc ty możesz być... – mówił powoli, jakby czas nagle zwolnił.

– Ojcie, nie widzisz, że to oszustka? Oni wszyscy kłamią! – krzyknął milczący dotąd posłusznie młodzieniec. Trząsł się ze złości, oddychał szybko, a dłonie zacisnął na rękojeści swego miecza. – To wszystko kłamstwa – powtórzył.

Albana zastygła z medalionem w dłoni.

– Ojcie? – powiedziała martwo.

– To mój syn, Garard. O Berenie nie było żadnych wieści, myślałem, że utonęła, a ty... a moja córka razem z nią. Tron namiestnika nie mógł zostać pusty. Musiałem mieć następcę – tłumaczył się zakłopotany Falias. Ale szybko odzyskał pewność siebie i dodał: – Szkatułę mogła wyrzucić na brzeg fala albo to zwykły blok wycięty ze smoczej łuski.

Bez słowa Albana przytknęła wisior do kasety. Twarz załała jej zielonkawa poświata, wyostrowając rysy, dodając blasku oczom. Wyjęła oba zwoje i podała namiestnikowi ten zawierający ostrzeżenie. Mężczyzna rozwinął pergamin i bezgłośnie poruszając ustami, odczytał treść.

– Ta groźba jest prawdziwa – potwierdziła czarownica ze śmiertelną powagą. – Mój nauczyciel i przyjaciel zginął w mękach, próbując odczytać umowę.

– Wiem z innych dokumentów, że Smoczy Pakt jest chroniony przed niepowołanymi oczyma – potwierdził Falias. – Jesteś gotowa poddać się tej próbie?

– Nie! – krzyknął Calmin, ale było już za późno.

Albana złamała pieczęć i pozwoliła, by trucizna wniknęła w ciało. Ogarnęło ją uczucie euforii, kiedy smocza krew mieszała się z jej własną. Głód, który trawił ją od wielu dni, został wreszcie zaspokojony. Zaraz potem skuliła się od narastającej fali bólu. Upadła na ziemię, wijąc się w konwulsjach.

Zaskoczony namiestnik odsunął się od drgającej u jego stóp postaci, Jarik krzyknął porażony cierpieniem kobiety i osunął się w ramiona Briana.

– Oszustka – warknął młody Garard.

Cal rzucił się w stronę żony, ale powstrzymał go Stevar.

– Zabijesz ją tą zbroją – powiedział. Sam nachylił się nad czarownicą i wyciągnął jej z ust język, którym się dławiła.

– Cco się z nią dzieje? – wyjąkał Falias.

– Trucizna, którą skażono pieczęć, silnie działa na Obdarowanych. Powinieneś jej uwierzyć! Wystarczyło przeczytać to... – Cal rzucił na stół rękopis Sajrona, który wyjął z sakwy. Luźne kartki rozsypały się i okryły leżącą niczym całun.

Albana, uwięziona w silnych ramionach Stevara, osłabła. Ból, który bezlitośnie szarpał wnętrznościami przycichał, ulatywał powoli, pozostawiając za sobą ślad niczym wypalone na ciele znamię. Teraz, kiedy było po wszystkim, straciła wreszcie świadomość i osunęła się w przyjazny niebyt.

– Umarła – wyszeptał zbielełymi ustami namiestnik.

– Zemdlała – zaprzeczył Stevar, słuchając bicia serca.

– Trzeba ją położyć wygodnie, okryć. Garardzie, zaprowadź gości do wolnych sal, dopilnuj, żeby im niczego nie brakło. Idź wreszcie! – krzyknął niecierpliwie, widząc, że chłopak się waha.

Niedźwiedź dźwignął nieprzytomną i poszedł za młodzikiem, za nimi ruszyli pozostali.

– Ty zostań. – Namiestnik położył rękę na ramieniu Calmina i zatrzymał go stanowczo. Potem schylił się po rozrzucone kartki.

– Musisz mi wyjaśnić, co się stało.

Cal mówił zwięźle, jak żołnierz, który zdaje raport. Nie rozwodził się nad szczegółami, nie komentował, ale jego sucha opowieść wstrząsnęła Faliasem. Chodził po komnacie, nerwowo skubał brodę, a nareszcie odprawił Jeźdźca i przysiadł ciężko na krześle.

– Co mam teraz zrobić? – zapytał sam siebie. – Co powinienem uczynić?

Walnął pięścią w stół, aż stojąca na nim kasetka podskoczyła, a zwitki pergaminu potoczyły się na skraj blatu. Przytrzymał je, ponownie przeczytał ostrzeżenie, a potem jednym, zdecydowanym ruchem skruszył w palcach pieczęć na pakcie. Przebiegł wzrokiem jego treść i zapatrzył się w ozdobiony zawijasem podpis Forsytha.

– Czy wiedziałeś, jaką przyszłość nam gotujesz? – zapytał gorzko. Zgniół pergamin i ze złością rzucił na rozżarzone polana. Karta skurczyła się, na mgnienie spod kreślonych atramentem liter rozbłysły czerwienią obce znaki, potem szerniała. Kiedy namiestnik jej dotknął, rozpadła mu się w rękach, a resztki zmieszały z popiołem.

Stear czuwał przy Albanie, póki nie nadszedł Calmin. Pomógł mu ściągnąć zbroję i zostawił samego z nieprzytomną, a może tylko uspioną kobietą. Potem odnalazł Antara, braciszków i Jarika, który ocknął się już i siedział na wyrku blady i zawstydzony własną słabością.

Pieczara, którą Garard przydzielił im na kwaterę, była ciasna i niska. Nie oddzielały jej drzwi, a za posłania służyły wypchane słomą sienniki. Nie było ławy, brakowało nawet kołka, na którym można by powiesić płaszcz. Stevar, rozglądając się po tonących w mroku kątach, pomyślał, że namiestnikowski syn wynalazł dla nich najgorszą dziurę, a teraz pewnie śmieje się w kułak zadowolony z ich poniżenia. Pokręcił się chwilę, mamrocząc coś pod nosem, złowił równie niezadowolone spojrzenie Briana i wyszedł. Za nim powlokła się reszta kompanii.

Szybko zgubili się w płataninie korytarzy, ciasnych przejść i tuneli. Mijali jaskinie, gdzie mieszkańcy gnieździli się w straszliwej ciasnocie, spotykali ludzi, których twarze wyrażały smutek i beznadziejne oczekiwanie. Coraz bardziej markotny Stevar nagle ożywił się i zaczął węszyć, a puste kiszki zaburczały nieprzystojnie.

Zapach jadła sprowadził ich do rozległego pomieszczenia zastawionego krzywo zbitymi stołami. Nad ogniem dymiły kotły z jagłami, które kobiety wydzielały wielką kopyścią. Stevar porwał opróżnioną przez kogoś michę i stanął w ogonku. W chwilę potem zajadał okraszoną skwarkami kaszę, mlaskając głośno z ukontentowania. Repetował i beknął głośno, bo choć jagły czuło się stęchlizną, a omasta była licha, to kucharkom i tak należała się pochwała. Popuścił pasa i rozsiadł się wygodnie, popatrując spod oka na współbiedniaków. W migoczącym wesoło świetle pochodni wypatrzył Gararda, który siedział pod ścianą i popijał z cynowego kubka. Ze złośliwą uciechą pomyślał, że młodemu paniczowi pewnie nie dopisuje humor i, jakby na przekór własnemu podłemu nastrojowi, zagadał rażno do najbliższych siedzących:

– Coście tacy wystraszeni jak króliki? Nie gryziemy przecie.

Wyspiarze zachichotali niepewnie, a najśmielszy spytał:

– Wy nietutejsi chyba? Piwa się napijecie?

– Aż z Rubieży się tu przytaskaliśmy – pochwalił się Niedźwiedź. – A po jedzeniu mus gardła przepłukać.

– Dziwy nad dziwami. Nikogo tu nigdy zza morza nie było, ino sami swoi. Jak wy mgłę przepłynęli i wyspę naszli?

– Mieliśmy przewodnika – mruknął Stevar i zdmuchnął piwną pianę. – A wy długo tu siedzicie?

– Ano długo.

– Broni nie macie?

– Jakże to, nie mamy? – zdziwił się któryś. – Pełno jej.

– To czemu się po lochach chowacie, jak szczury. Dużo was, broń macie...

– At i gadać szkoda. – Wyspiarz machnął ręką. – Ludzi my tylko natracili, z bestią się próbując. Nikt nie wrócił. Ale że wam się przemknąć udało, to do uwierzenia trudne. Szczęściem port blisko zamku leży.

– My nie w żadnym porcie, ino na plaży wylądowali – wtrącił się Antar. – Całą wyspę my przeszli, żeby was najść.

– Kłamiesz – odezwał się zapalczywie Garard, przysłuchujący się rozmowie ze swego kąta. – To przecież parę dni drogi. Nie obronilibyście się przed smokiem.

– Żywej duszy po drodze nie spotkaliśmy – wyjaśniał Niedźwiedź, jakby nie usłyszał słów młodzieńca. – Wioski popalone, ludzie pomordowani, bydło pożarte. Ale bestii żadnej nie widzieliśmy.

– Kłamiesz! – powtórzył chłopak. Wsunął się zza stołu i stanął w rozkroku, mierząc ich pogardliwym spojrzeniem. – Nie wiem, co knujecie, wy i ta oszustka, która wygląda jak strach na wróble, ale...

– Pani Albana nie jest żadnym strachem na wróble – odezwał się dyszkantem Jarik, który przysypiał już po posiłku. Wyrwany z drzemki stanął naprzeciwko niewiele starszego chłopaka, jakby szykował się do walki. – Boisz się, że ona mówi prawdę, nie, ty wiesz, że ona mówi prawdę... dlatego obrażasz ją i nas.

Stevar, ciągle nie dostrzegając zaciętrzewionego młodzika, charknął na ziemię. Ślina opryskała skórzane buty młodego panka.

– Wy... wy... prostaki! – krzyknął poczerwieniały ze złości Garard i wybiegł z jadalni.

– Leć, poskarż się ojcu! – krzyknął za nim urągliwie Niedźwiedź. – Pewnie przełoży mnie przez kolano i wlepi parę klapsów albo każe klęczeć na grochu.

Siedzący przy stole roześmiali się zgodnym chórem.

Garard wściekły i upokorzony wpadł jak burza do komnaty ojca. Falias na jego widok podniósł wzrok.

– Dobrze, że cię widzę, synu. Muszę porozmawiać z tymi ludźmi, z każdym z osobna, żeby przekonać się, czy nie kłamią. Przyrowadź mi w pierw chłopca, a potem tego zuchwałego olbrzyma.

– Ojcze! Ty nie wiesz... Oni są bezczelni, zwykłe chamy!

– To żołnierze, nie dworacy. – Namiestnik lekceważąco machnął ręką. – No, idź już – pogonił go.

Garard, rozczarowany, powlókł się z powrotem do jadalni.

Albana leżała na łóżku zawieszona pomiędzy jawą a snem. Pamiętała wszystko, co

zdarzyło się wcześniej: niedowierzającą minę ojca, obraźliwe słowa przyrodniego brata, gniew Calmina, lecz wspomnienia pozbawione były emocji, nie raniły, nie niosły radości. Były równie jałowe jak wypalona ziemia, pozbawione znaczenia niczym ulatujący z wiatrem dym. Jedyne, co się naprawdę liczyło, to siła, która była w jej zasięgu, moc wielokrotnie potężniejsza niż przyrodzony Dar. Czuła, jak budzi się w niej, ożywa, przynagła do pośpiechu. Zniknął gdzieś porażający strach, pozostała tylko porywająca wizja nowych możliwości. Choć miała świadomość własnego ciała, to jednocześnie było jakby obce, nieporadne, słabe... Czuła, jak zatracą się w nierealnym świecie, jak z każdą chwilą przybliżyła się do niego, by wreszcie zaznać spokoju.

– Albano, zbudź się – usłyszała natarczywy szept. – Kochanie, nie odchodź, proszę, otwórz oczy.

Próbowała uciec od tego głosu, odgrodzić się od niego kolejnym złudzeniem, ale obrazy oddaliły się, straciły blask i powab. Zapłakała z żalu i złości. Otworzyła oczy gotowa ukarać tego, który zawrócił ją z drogi.

– Niech dzięki będą wszystkim bogom tego świata – szepnął Cal i pocałował drżące wargi, pogłaskał mokre od potu, splątane kosmyki.

Gniew się ulotnił, wizje uleciały spłoszone miłością wyzierającą z szarych oczu, czułością gestów. Wyciągnęła ramiona, przylgnęła do silnego ciała.

– Pójdę po Jarika, niech przygotuje ci ziół na wzmocnienie.

– Zostań ze mną – powiedziała przez łzy. – I nie pozwól mi śnić.

Namiestnik słuchał uważnie opowieści Jarika. Czasem wtrącił pytanie albo prosił o powtórzenie niektórych faktów, licząc, że przyłapie niedoświadczoną młodzieniaszkę na kłamstwie. Ale chłopiec odpowiadał chętnie i, jak dalece Falias mógł to ocenić, szczerze. Kiedy Jarik skończył swoją historię, kazał go zaprowadzić wprost na kwaterę, tak by nie mógł porozumieć się z kompanami i wezwał Stevara, a po nim braci i wreszcie Antara.

Ich opowieści były zgodne i namiestnik nabrał przekonania, że niespodziewani goście mówią prawdę. W niczym nie przybliżyło go to do odpowiedzi na pytanie, czy Albana jest rzeczywiście jego córką, ale dawało obraz wydarzeń w Imeskarii. Falias zdusił niepokój, który go ogarnął, i postanowił skupić się na bieżących sprawach. Poukładał zebrane z podłogi kartki i zaczął czytać, mrużąc oczy.

Siedział długo, wciąż na nowo odczytywał stawiane w pośpiechu litery. Po wielokroć wracał do niektórych fragmentów, chcąc się upewnić, że wszystko zrozumiał, niczego nie przeoczył.

Pochodnie wypaliły się prawie do końca i pogrążyły salę w półmroku, kawałki drewna zamieniły się w popiół, kiedy wreszcie odłożył papiery na stół. W zamyśleniu zaczął przechadzać się po komnacie, ale wnet na powrót przysiadł na stołku. Potrzeba mu było świeżego powietrza, zapachu morza, wiatru rozwiewającego włosy, lecz nie mógł wyjść z podziemi, nie teraz, kiedy na zewnątrz wciąż czaiło się niebezpieczeństwo. Poczul się jak w pułapce. Wyjście mogło oznaczać zgubę, pozostanie – powolną śmierć w cieniu zagrożenia. Zadrżał i ciaśniej owinął się płaszczem.

Czas płynął. Milcząca służba umieściła w obręczach świeże pochodnie, rozpałała ogień na trójnogu. Falias nie zwracał na nikogo uwagi. Bez końca rozpamiętywał dawne wydarzenia, szukał fałszu w słowach przybyszów, wracał do zapisków. Wreszcie wezwał czuwającego przy drzwiach wartownika i wydał mu parę zwięzłych poleceń.

Pieczarę, którą zajęli Albana i Cal, oddzielała od wąskiego korytarza gruba portiera. Kiedy Cal ją odchylił, z cienia wysunął się czuwający opodal sługa. Przyniósł im ciepłe jeszcze placki i gomółkę sera, na wykutej w skale niszy ustawił dzban z piwem, a potem zaprowadził do naturalnie ukształtowanej groty.

Jaskinia była olbrzymia. Z sufitu i z podłogi wyrastały sople tworzące fantastyczny labirynt i mieniące się w blasku ognia różnymi kolorami. Małżonkowie patrzyli zafascynowani na refleksy światła, które odbijały się w kroplach wody sączących się nieustannie z iglic, nasłuchiwali rytmu, w jakim rozpryskiwały się na kamiennym podłożu.

Służący wskazał im nieckę wypełnioną po brzegi lodowatą wodą. Umyli się pospiesznie, a kiedy zziębnięci wrócili do swojego lokum, czekały już na nich świeże ubrania. Odziali się i zasiedli do posiłku.

Calmin jadł, smakując w ustach każdy kęs. Kiedy sługa przekazał Albanie wezwanie od Faliasa, żołądek skręcił mu się w supeł, a gardło ścisnęło. Mimo że kobieta była ozywiona i pogodna, Jeździec nie mógł pozbyć się niepokoju, który trawił mu wnętrzności niczym rak. Dobrze zapamiętał wyraz nienawiści w zielonych oczach, kiedy udało mu się ją dobudzić.

Albany nie było dość długo, a kiedy wróciła, policzki miała mokre od łez.

– Odnalazłam ojca – powiedziała ze wzruszeniem.

Falias ciągle siedział na swym krześle i spoglądał na krążącego po komnacie syna.

– Jak możesz być pewien! – wykrzykiwał urywanymi zdaniem młodzieniec. – To może jakieś sprytne oszustwo, a ty tak po prostu chcesz... Ojczy, zastanów się jeszcze, proszę.

– Myślałem o tym całą noc – przerwał mu spokojnym, wyważonym tonem namiestnik. – Podjąłem już decyzję.

Garard z desperacją zaczął gwałtownie gestykulować rękami.

– Sam mówiłeś... Nie zdarzyło się, żeby kobieta... A ona na dodatek jest Obdarowana!

– Ma męża. To sławny wojownik. Ludzie go zaakceptują.

– Jest takim samym prostakiem, jak oni wszyscy. A co będzie ze mną? Mam się schylać w ukłon przed tym pastuchem?

– Wystarczy, synu – przerwała niespodziewanie ostro siedząca obok kobieta. Pośród ciemnych męskich ubiorów jej suknia raziła ostrym błękitem. Była dużo młodsza od męża i bardzo urodziwa. Przystojne rysy Gararda były odbiciem jej twarzy. Mimo że mówiła stanowczo, w jej pięknych oczach czaił się lęk. – Będzie, jak postanowił ojciec.

Falias może wyczuł ten strach, bo ujął smukłą dłoń żony i podniósł ją do ust.

– Kocham was oboje, nic tego nie zmieni. Lecz Albana, jako pierworodne dziecko, ma pierwszeństwo, a z nią jej małżonek. Dlatego ogłoszę ją swoją córką, a ty, synu, publicznie uznasz jej starszeństwo. I dość już o tym.

Garard zacisnął zęby, ale nie odważył się na dalszą dyskusję.

W podziemnych grotach czas zdawał się płynąć inaczej, zamiast wschodów i zachodów słońca rytm wyznaczały spadające z sufitu krople wody. Wieczny mrok ledwo rozjaśniały pochodnie i świece. Powietrze było stęchłe, a chłód i wilgoć przenikały przez najcieplejsze okrycia. Skarianie nie wiedzieli, ile czasu minęło od chwili, kiedy zamknęły się za nimi skalne wrota. Namiestnik nie wezwał ich więcej, Garard się nie pokazywał, a wyspiarze w kółko snuli te same opowieści o codziennym życiu, połowach, hodowli, sprzeczce z sąsiadem. Nie

mówili o smoku, nie wydawali się ciekawi nowin z ładu, lecz wciąż wspominali życie, które musieli porzucić. Kompania Jastrzębia, po miesiącach spędzonych na niezmiernych połaciach Rubieży i Równin Marth, czuła się w podziemnych korytarzach niczym w więzieniu. Podróż przez morze w poszukiwaniu Wyspy Mgieł wydawała im się teraz przyjemną przejażdżką, upiorny marsz pośród trupów podniecającą przygodą. Gotowi byli stawić czoła nie jednej, ale dziesięciu bestiom, byle tylko wyrwać się z kamiennego labiryntu, odetchnąć świeżym powietrzem, poczuć na twarzy muśnięcia słońca czy spojrzeć w gwiazdy. Wezwanie na ucztę na chwilę odwróciło ich uwagę od tęsknoty za otwartą przestrzenią, od przygnębienia i poczucia beznadziejności, które ich ogarnęło.

Wielka sala oświetlona była dziesiątkami pochodni, na stołach płonęły ustawione w kandelabrach świece. Żołnierze, Jarik i Antar stali w kącie. Obserwowali gromadzących się gości i ostatnie przygotowania do biesiady. Każdy z nich miał na sobie czyste, choć już przesiąknięte zapachem wilgoci odzienie, a Stevarowi dodatkowo dostała się nowa koszula, bo jego własna miała więcej dziur niż materiału. Niedźwiedź nie był zadowolony z podarunku.

Przyodzievek był za ciasny, pił pod pachami, a zdobiony koronkami kołnierz łaskotał go w szyję. Zły, znudzony i głodny spoglądał wilkiem na docinających mu braci i zrzędził bezustannie.

– Patrzcie tylko na nich – mruczał w kierunku wyspiarzy. – Żyją w tych lochach jak paniska. Podziemne źródła, haftowane obrusy, gobeliny niczym na lońskim zamku. A ze smokiem walczyć nie chcą... Też mi wojsko, jedną ręką bym ich rozłożył. Póki mają dostatek żarcia, nie wyleżą z tej dziury, a chociaż to same jagły, prędzej smoczysko zdechnie z głodu niż oni. Tylko piwo warzyć umieją, ani słowa. Hej, ty tam – zaczepił przechodzącego służącego, który balansował stertą błyszczących talerzy. – Nie masz czego, żeby gardło przepłukać?

– Przed wejściem namiestnika nikomu nie wypada pić ani jeść – wyjaśnił pouczająco sługa i zaczął rozkładać nakrycia.

– Szlag by to – burknął Niedźwiedź. Odsunął z półeczki koronki i obejrzał się ku zasłonie, spoza której dolatywał zapach gotowanego mięsiwa. – A ty czegoś się tak wystroiła? – zaczepił Albanę, która dopiero teraz dołączyła do grupki.

Albana ubrała się w barwny strój kobiet z Równin. Włosy miała starannie splecione i owinięte wokół głowy niczym koronę. Wystające kości policzkowe podkreślały ostre rysy, zielone oczy błyszczały podnieceniem. W porównaniu z tubylczymi kobietami zdawała się dzika i egzotyczna, jak kolorowy motyl, który zaplątał się pomiędzy zwykłe ćmy.

– Wyglądasz prawie jak dostojna Sefona – kpił Stevar.

Na wspomnienie leciwej damy, która ubierała się w wymyślne, jaskrawe stroje nieelicujące z jej wiekiem żołnierze roześmiali się głośno, przyciągając zaciekawione spojrzenia.

– Nie słuchaj go, pani – wtrącił się Jarik. – Jest zły, bo...

– Zamknij się, gówniarzu – warknął Niedźwiedź i zamierzył się do ciosu.

Rozległ się trzask materiału. Koszula Stevara nagle dopasowała się do jego cielska, pękając na plecach.

Drzwi otworzyły się i do komnaty wkroczył namiestnik z Lucją, swą małżonką, a za nimi włókł się Garard, który robił wrażenie, jakby szedł na własną egzekucję.

Falias zasiadł na krześle, mając przy sobie żonę i syna. Dostojnicy stanęli półkolem. Cał, który ze stoickim spokojem wysłuchiwał zrzędzenia Stevara, nagle poczuł niepokój. To uroczyste zgromadzenie bardziej przypominało audiencję lub sąd niż ucztę, choćby i

najbardziej odświętną. Spojrzał na Albanę. Wyglądała na zdenerwowaną, splatała i rozplatała palce, a kiedy pochwyciła jego wzrok, skrzywiła twarz w grymasie udającym uśmiech. Nim zdążył spytać, co się dzieje, odezwał się namiestnik:

– Zapewne już słyszeliście, że na Wyspę Mgieł przybyło paru mieszkańców stałego lądu. Jest to wydarzenie ogromnej wagi, świadczące o tym, że ustanowiona przed wiekami bariera pęka. Witamy ich serdecznie. – Wskazał tłoczącą się pod ścianą kompanię.

Wyspiarze pokiwali przyjaźnie głowami. Niektórzy już gotowali się do zadawania pytań, kiedy Falias dał znak ręką, że jeszcze nie skończył.

– To dla nas wszystkich powód do radości. Dla mnie jest ona tym większa, że jednym z przybyszów jest moja dawno zaginiona córka, Albana. Zbliź się, dziecko.

Wezwana podeszła do niego, schyliła się w ukłonie, ucałowała wyciągniętą rękę.

W sali rozległo się zdumione poszeptywanie.

– Dowody, które przedstawiła Albana, nie pozostawiają żadnej wątpliwości – podkreślił namiestnik. – Wiedźcie też, że moja pierwsza małżonka, Berena, nie żyje, tak więc mój związek z Lucją jest prawomocny. Lecz to nie koniec niespodzianek. Albano, przedstaw, proszę, swoich towarzyszy.

Kobieta uśmiechnęła się, podeszła do grupy i kładąc im rękę na ramieniu, prezentowała kolejno.

– Oto Stevar, zwany Niedźwiedziem. Doprawdy godzien jest tego miana pod każdym względem.

– Dough i Brian, bracia, nieustraszeni w walce, niezastąpieni druhowie.

– Jarik, którego przyjaźń i oddanie więcej warte niż niejeden miecz.

– Antar, rybak, bez niego nie byłoby nas tutaj.

Wreszcie Albana ujęła dłoń Cala i doprowadziła do namiestnika.

Jeździec na czystą koszulę włożył swój spłowiały mundur, świeżo wyczyszczony, ale mocno już zużyty. Na piersi widocznie odznaczała się haftowana sylwetka jastrzębia, a na rękawach ślady po kapitańskich skrzydłach. Mimo że był bez broni, cała jego sylwetka wyraźnie świadczyła o żołnierskiej przeszłości. Nie okazywał skępowania, szare oczy patrzyły ze zwykłym wyrazem dumy, a kosmyk, który wysunął się ze związanych włosów, nadawał mu zawadiacki wygląd.

– To Jeździec Równin, kapitan Królewskiej Armii Imeskarii, postrach bandytów z Rubieży, Calmin z klanu Fen, zwany Jastrzębiem. Mój małżonek.

Szepty, które ucichły w czasie prezentacji, rozbrzmiały z nową siłą, głośniejsze niż przedtem. Ludzie patrzyli z niedowierzaniem na rudowłosą kobietę, na smagłego męża i na ponurego Gararda, który przestępował z nogi na nogę. Równie niewyraźne miny mieli notable otaczający namiestnikowe karło.

Falias zdawał się nie słyszeć szeptów, nie dostrzegać spojrzeń. Wyciągnął rękę do Calmina, a Jeździec ujął ją z szacunkiem i ucałował pierścień, który pysznił się na serdecznym palcu. Na smolście czarnym kamieniu widniał zatarty już nieco, pokryty złotem wizerunek smoka z godzącym weń mieczem. Calowi zamajaczyło w pamięci, że widział już kiedyś podobny, ale czas nie był odpowiedni do łamania sobie nad tym głowy.

– Jesteśmy szczęśliwi, mogąc powitać was wszystkich – ciągnął namiestnik. – Garardzie. – Spojrzał znacząco na młodzieńca i świdrował go wzrokiem tak długo, aż ten wystąpił przed Albanę i przyklęknął.

– Siostrze – wydusił – uznaję twoje starszeństwo i przysięgam respektować wszystkie

należne ci prawa. Eee... i rad jestem z twojego powrotu.

Albana podniosła go z klęczek i pocałowała w usta, jakby pieczętując obietnicę. Calmin, słysząc wymuszony ton młodzika, ledwo zdusił nagłą wesołość. Garard, który napotkał jego kpiące spojrzenie, poczerwieniał jak burak. Chwilę mierzyli się wzrokiem.

– Synu – ponaglił surowo namiestnik.

– I ciebie witam – wykrztusił po chwili młodzieniec. – P... przysięgam respektować wszystkie należne ci prawa, Calminie z klanu Fen.

Kiedy Cal wzorem Albany musnął go wargami, Garard skrzywił się, a potem umknął na swoje miejsce, ostentacyjnie wycierając usta.

Falias skinął głową.

– Niech tak będzie. Czy Rada to poświadcza?

– Poświadczamy – przytaknęli panowie z rady, choć bez entuzjazmu w głosach i radości na twarzach. Ale namiestnikowi to wystarczyło.

– Rozpocznijmy zatem biesiadę, aby uczcić to szczęśliwe wydarzenie – powiedział i zaprosił wszystkich szerokim gestem. Służba zaczęła wносить misy z potrawami i omszałe gąsiorki wina, które, jak głosiła plotka, miało więcej jak dwieście lat.

Jadło było mało wyszukane – zupa gotowana na skrawkach suszonego mięsa, kasza ze skwarkami, solone i mocne przyprawione mięsiwo, gorące placki polane miodem. Jednak biesiadnicy nie narzekali, a może nawet nie zauważyli, że uczta w podziemnym dworze przypomina chłopską wieczerzę. Albana pograżyła się w cichej rozmowie z ojcem, Cal wymieniał zdawkowe uwagi z Lucją. Stevar zapomniał o niewygodnej koszuli. Znalazł wdzięcznego słuchacza w osobie Barrata, komendanta garnizonu, i z zapałem opowiadał o szczegółach kampanii na Rubieżach. Sekundowali mu bracia, dorzucając barwne szczegóły. Jarik, który duszkiem wychylił puchar wina, siedział z bezmyślnym uśmiechem na twarzy. Antar, najadłszy się, uciekł chyłkiem, unosząc opleciony wikliną gąsior. Tylko Garard, napuszony i ponury, nie odzywał się do nikogo.

Po trzykroć zmieniano świece w kandelabrach, nim namiestnik wreszcie wstał, by wznieść ostatni toast. Cal, któremu wiekowy trunek zmącił nieco myśli, patrzył, jak Falias unosi dłoń. Złocenie na pierścieniu załśniło w blasku świecy, a on nagle zakrztusił się winem. Przypomniawszy sobie, gdzie widział taki sam klejnot.

Kiedy razem z Albaną dotarł wreszcie do swojej kwatery, usiadł ciężko na łóżku i objął dłońmi skołatana głowę. Podniecona alkoholem kobieta zrzuciła kamizelę, ściągnęła wąskie spodnie i spódnicę. Przysiadła u jego stóp, ujęła za dłonie i zaczęła całować palce.

– Kochaj mnie, Cal – szeptała. – Tak bardzo cię pragnę.

Jeździec spojrział w jej rozplamioną twarz, dotknął policzków, pogładził rude włosy.

– Trudno być twoim mężem – powiedział cicho. – Doprowadzasz mnie do szaleństwa, przerażasz, ale nie potrafię ci się oprzeć.

Kobieta przytuliła się do niego. Ułożył ją na sienniku, a sam rozbierał się powoli, podniecony jej spojrzeniem. Legł obok i powiodł opuszką palca po złotym znamieniu.

– Albano – zagadnął schrypniętym głosem. – O co chodziło z tym uznaniem starszeństwa przez Gararda?

– Takie tam ceremonie – wymamrotała, głaszcząc opalone, muskularne ramiona.

– Twój braciszek był wściekły.

– Zdawało ci się.

Przesunął palce, objął nabrzmiałą pierś, drażnił sterczące sutki. Kobieta jęknęła. Przyłgnęła do niego, poddała usta do pocałunku, ale Cal odsunął twarz. Zsunął rękę na zaokrąglone biodra, oplótł nogami.

– Powiedz, co naprawdę oznaczał gest Gararda – szepnął. – I dlaczego twój ojciec nosi na palcu królewski pierścień? Widziałem taki u Emausa.

– To nieważne... – mruknęła. Teraz ona całowała spaloną słońcem skórę, wędrowała dłońmi po barkach, piersiach, udach.

– Powiedz mi. – Przytrzymał ją, unieruchomił. Skórę miał śliską od potu, gorącą, oddychał szybko, szare oczy płonęły. – Powiedz...

– Jego ród... mój ród wywodzi się od Kylana, brata króla Forsytha...

– Więc to Falias jest prawowitym następcą Emausa?

– Tak...

Przysunął się jeszcze bliżej, tak że oddechem łaskotał jej szyję. Przeciągnął wargami po płatku ucha.

– Och, proszę, Cal, proszę...

– Garard potwierdził twoje prawo do dziedziczenia?

– Moje i twoje. W Imeskarii nigdy nie rządziła kobieta, więc gdybym to ja... ja zostałabym... to ciebie koronowano by na króla, jako mojego małżonka – dyszała. Próbowwała oswobodzić ręce, ale Cal ścisnął ją mocno, zaczęła więc poruszać biodrami, aż nie wytrzymał i przyłączył się do tego rytmu coraz szybciej i szybciej, póki oboje nie znaleźli spełnienia.

Kamienna sala straciła swój uroczysty wygląd. Stoły wyniesiono na powrót do ogólnej jadalni, zniknęły świeczniki i haftowane obrusy. Pozostało tylko biurko namiestnika, jego ozdobne krzesło i wyściełana skórą ława. Oblicza siedzących gości były skupione i ponure.

– ...i tak bracia zawarli układ – opowiadał Falias. – Co powodowało Kylanem, że zgodził się na to, trudno dziś dociec. Może nie dorównywał Forsythowi ambicją, a może nie przewidział, że przywiąże swoją gałąź rodu do tego miejsca na całe stulecia. Ich przymierze było jasne: królewski namiestnik, w osobie Kylana a potem jego potomków, mieszkać będzie na Wyspie Mgieł, póki żyje pozostawiona tu bestia. Kiedy smok zdechnie, namiestnik powróci, by na równych prawach z Forsythem lub jego następcami upomnieć się o koronę. Na dowód miał przedstawić szkatułę z paktem i pierścieniem, taki sam, jaki nosił Forsyth.

– Sajron musiał kiedyś widzieć ten klejnot, dlatego opisał go tak dokładnie. To miała być wskazówka, znak dla mnie – wtrąciła Albana. – Teraz, kiedy o tym myślę, przypominam sobie jakieś aluzje, niedomówienia... Kiedy przeczytałam jego rękopis, szukałam, przeglądałam księgi, aż znalazłam rysunek. W każdym szczególe zgadzał się z tym, co zachowałam w pamięci. Ale to wszystko było takie niejasne, nieprawdopodobne... Dlatego nic nie mówiłam – zwróciła się do Cala.

Namiestnik pokiwał głową i mówił dalej:

– Kiedy Kylan zdał sobie sprawę, że wyspę otoczyła bariera i nikt nie może się z niej wydostać, spisał całą historię i zabezpieczył dokumenty. Chciał, żeby pamięć o tamtych wydarzeniach przetrwała. Jak widać, słusznie uczynił.

– Dziś w Imeskarii mało kto wie, że Forsyth miał brata – znów wtrąciła się Albana. – W kronikach napisano, że zaginął.

– No cóż, nasz prastryj był bardzo przebiegły – stwierdził sucho Falias. – Nie tylko ukrył pakt, ale usunął też konkurenta do tronu.

– A smok? – wtrącił Stevar, znudzony omawianiem przeszłych intryg.
– Na siedlisko wybrał sobie góry i tylko czasem widać było, jak przelatuje nad wyspą, ku morzu. Ale zawsze wracał. Pewnie i on nie mógł przekroczyć mgły. A ci, którzy obcują z bestią na co dzień, nie są skłonni do rozmowy.

Namiestnik opuścił głowę i zachmurzył się jeszcze bardziej.

– Strażnicy pilnie strzegą swoich tajemnic, nawet przede mną. Siedzą w górach i rzadko pokazują się między ludźmi, przeważnie, kiedy szukają Obdarowanych. Chodzą wtedy po domach i nowo narodzonym dzieciom kładą na piersiach smoczy talizman. Jeśli pozostawi ślad, zabierają je do siebie, na smoczą służbę. – Urwał, walcząc ze wspomnieniami.

– Dlaczego?

– Dar u takich dzieci rozwija się samoistnie. Może to skaza tej wyspy, może obecność smoka powoduje, że popadają w szaleństwo, zabijają, niszczą. Lepiej już oddać dziecko pod opiekę strażników, niż patrzeć na jego mękę – odrzekł drewnianym głosem Falias. Oczy miał pełne smutku.

– Pozwól, panie, że ja dokończę opowieść – przerwał ciężkie milczenie Osbern, najbliższy doradca i przyjaciel namiestnika. Wstał i zaczął przechadzać się po sali. Poły jego długiego płaszcza zamiatały kamienną podłogę. – Przez lata życie toczyło się utartym rytmem. Część stad szła na wyżywienie smoka, a tego, co zostawało, starczało dla wszystkich. Niewielka ta nasza wyspa, lecz urodzajna. Pastwiska obfite, ryb zatrzęsienie... Nie cierpieliśmy głodu czy niedostatku.

– Z początku nikt nie zauważał zmian – znów podjął Falias. – Za życia każdego kolejnego namiestnika strażnicy na nowo ustalali wielkość danin. Nie dziwiłem się temu, póki nie sprawdziłem w rejestrach: od czasów Kylana wzrosły dwukrotnie... Potem zaczęło ginąć bydło, wpiery pojedyncze sztuki, potem całe stada. Wezwałem strażników, żeby to wyjaśnić. Nie stawili się. Posłałem w góry gwardzistów, żaden nie wrócił. Nie chciałem straszyć ludzi, ale kazałem uzupełnić zapasy i przygotować podziemia... Aż któregoś dnia zobaczyliśmy łunę nad górską osadą. Ci, co podeszli bliżej, widzieli smoka, jak z powietrza ział ogniem. Schroniliśmy się tutaj, w pieczarach, które jeszcze Kylan kazał opatrzyć. Jedzenia na razie jest dość, ale jak długo mamy tu siedzieć? Sam nie wiem... nie wiem. – Potrząsnął głową z bezsilnością i smutkiem.

Ponurą ciszę przerwał zamyślony dotąd Cal.

– Skoro dostaliśmy się tutaj, to znaczy, że bariera pęka.

– Berenie też udało się przedostać przez mgłę.

– Tak, ale my przeszliśmy całą wyspę nieatakowani...

– Bestia mogła się nażreć i spała – wtrącił Barrat, dowódca gwardzistów.

– Ale mogła też odlecieć. Ta stwora, której tak boją się rybacy z Moint... Pomyślcie. Jeśli zabrakło jedzenia na wyspie, smok mógł ruszyć dalej na łowy – sformułował wreszcie myśl, która już od dawna kiełkowała na dnie jego umysłu.

– To całkiem możliwe – poparła go Albana.

– Więc chodźmy w te góry – odezwał się Stevar i zacisnął swe wielkie pięści w kułak. – Ruszmy się, bo, za przeproszeniem waszej miłości, tylko patrzeć, jak nam szczurze ogony wyrosną albo i skrzydła niczym gackom.

– Taki jesteś odważny? – odezwał się kpiąco Garard. – Ciekawe, co powiesz, jak ci smok ogniem w oczy zaświeci....

Stevar już zaczął dźwigać się z miejsca, ale Cal kopnął go w kostkę tak mocno, że olbrzym

aż się skrzywił. Jednocześnie Falias uciszył syna jednym machnięciem ręki.

– Panie, pozwól nam na wyprawę – poprosił Jeździec. – Jeśli nie wrócimy, wiadomo będzie, że się omyliliśmy w rachunkach.

Namiestnik szarpnął posiwiałą brodę, założył za uszy opadające na czoło włosy.

– Mało was na taką kampanię – powiedział wreszcie z wahaniem.

– Moglibyśmy wziąć paru gwardzistów. Znają teren, poprowadzą nas.

– Właściwie... Już dawno ktoś powinien wyjść na zwiady. Kiedy chcecie wyruszyć?

– Choćby zaraz – mruknął Calmin.

Falias skinął głową i dał znak, że narada skończona.

Stear podniósł się z ławy i ruszył do wyjścia. Nie mógł się doczekać chwili, gdy wreszcie opuści podziemny labirynt.

– A ty nie idziesz, paniczu? Boisz się, że bestia przypali ci zadek?

– syknął złośliwie, mijając Gararda, i zniknął za kotarą. Przez chwilę jeszcze słyhać było jego ciężkie kroki i dudniący głos, kiedy wołał na Briana i Dougha.

Goście wyszli i w sali prócz namiestnika pozostała Albana i Garard. Młodzieniec przygryzał wargi, na przemian czerwieniał i bladł, aż wreszcie zebrał się na odwagę i podszedł do ojca.

– Chcę iść z nimi – poprosił. – Muszę im pokazać, udowodnić... Nie jestem tchórzem! – Obrócił się przez ramię, zerknął na Albanę i kontynuował już ciszej: – Zrobiłem, jak mi nakazałeś, byłem posłuszny, ale nie pozwolę, żeby mnie obrażali, mieli za niedołęgę.

Falias zawahał się. Był świadom przywar syna: arogancji, zbytnej pewności siebie. Ale wiedział też, że jeśli Garard sam nie dowiedzie, ile jest wart, nigdy nie zyska ludzkiego szacunku. Po tym, jak zmusił go do rezygnacji z zaszczytów, do których chłopak sposobił się od małości, był mu coś winien. Z ciężkim sercem skinął głową na zgodę. Młodzieniec rozpromienił się i wyszedł.

– Ja też idę – oznajmiła Albana. – Sprowadziłam tutaj Calmina i pozostałych, dlatego nie zostanę w ukryciu, kiedy oni będą narażać życie. Zresztą jeśli smok jest na wyspie, tylko ja mogę się z nim zmierzyć. I Jarik też pójdzie. Poniesie szkatułę, jak przedtem. – Mówiła prędko, jakby odpowiadała na niewypowiedziane wyrzuty.

– Nie, nie zgadzam się – szepnął namiestnik.

– Tak trzeba, ojcze. Nie zatrzymasz mnie... Daj mi tylko szkatułę.

– Po co ci ona? To zwykły kawałek smoczej łuski.

– Jest potężnym talizmanem, który będzie mnie chronił – skłamała gładko.

Namiestnik pokiwał głową, zrezygnowany, i przyniósł kasetę. Albana przypadła mu do nóg, pocałowała w rękę, a potem zniknęła w płataninie korytarzy. Ukryta w skalnej niszy otworzyła skrzynkę i wyjęła flaszkę. Przez chwilę korciło ją, żeby otworzyć flakon, spróbować choć kroplę, ale w końcu drżącymi rękoma wepchnęła ją za pazuchę. Szkatułę zostawiła, nie była jej do niczego potrzebna. Kiedy podniecona, z oczami błyszczącymi w ciemnościach niby kocie ślepa wracała na kwaterę, w załomie korytarza spotkała Jarika. Chłopak bez słowa zastąpił jej drogę i wyciągnął dłoń.

– Zrobię, co będę musiała – ostrzegła go ochryple, ale młodzik nie ustąpił. W końcu z ciężkim westchnieniem oddała mu butelkę i odeszła.

W zamkowych salach panowała cisza, dziedziniec był pusty. Dwudziestoosobowy oddział przemknął pod murami i zniknął w kolejnym podziemnym tunelu. Ciasny chodnik był dziełem

ludzkich rąk. Sklepienie podtrzymywały drewniane stemple, pomiędzy kamieniami tworzącymi ściany przeświecały jasne nitki korzeni. Jedna z odnóg korytarza prowadziła na wieżę. Albana i Jarik wspięli się na górę i chowając za postrzępionym murem, ostrożnie wyjrżeli na zewnątrz. Krajobraz był sielski, spokojny. Znad morza niosły się krzyki mew, łagodny wiatr przyginał do ziemi źdźbła trawy i karłowate krzaczki rosnące na równinie. Kobieta wyostrzyła zmysły.

Zobaczyła ruch pomiędzy niskimi krzewami jałowca i ulatujące w powietrze stadko wróbli, usłyszała furkot małych skrzydeł i skrzyp gałęzi. Na brzegu strumyka, w słonecznej plamie grzał się zdziczały kot, spływająca po skałach woda szumiała monotonie, tak przejrzysta, że dało się policzyć kamienie na dnie. I nagle gdzieś daleko, prawie na granicy postrzegania poczuła jego obecność. Było tak, jak w dręczących ją koszmarach – wiedziała, że za chwilę zostanie dostrzeżona, ale prócz strachu pojawiło się pragnienie...

– Wszędzie pusto.

Głos Jarika zabrzmiał niczym grzmot. Zamrugała oczami, jakby gwałtownie wyrwana ze snu. Przytrzymała się wygładzonych przez deszcz i wiatr kamieni, bo zakręciło się jej w głowie. Kiedy spojrzała ponownie, zarośla były tylko majaczącą w oddali, niewyraźną plamą, a wokół żywego ducha.

– Nikogo nie ma – powiedziała do Cala, kiedy już zeszła na dół. Zaabsorbowany wymarszem Jeździec nie zwrócił uwagi na nienaturalny ton jej głosu.

Z Brianem, Doughiem i Harbem, gwardzistą, który miał być ich przewodnikiem, oddział wyszedł z podziemi. Calmin zatrzymał Stevara.

– Niedźwiedziu – powiedział cicho. – Twoja głowa w tym, żeby Garard wrócił żywy. Ty sprowokowałeś go do udziału w wyprawie, więc teraz jesteś jego mieczem i tarczą.

– Tyłek też mu mam podcierać? – obruszył się Stevar. – No dobra, dobra. Nie nadymaj się, będę miał oko na gówniarza.

Calmin oddalił się, a Stevar, osłaniając tyły, mruzczał do siebie:

– Jeden młokos mi rozkazuje, drugiego mam pilnować. A co ja, niańka?

Szli pospiesznie, by opuścić odkryty teren, skryć się w cieniu drzew. Nikt się nie ociągał, nie zostawał w tyle, choć wkrótce wszyscy zaczęli ociekać potem pod żelaznymi napierśnikami. Marne, kolczaste krzaczki były słabą osłoną i nie dawały ochłody. Po południu odpoczęli chwilę i wreszcie wieczorem osiągnęli porośniętą trawą wapienie.

Zatrzymali się na nocleg w niewielkiej kotlinie. Małe źródło tryskało rażno spod odłamka skały. Zmęczeni, przemywali w nim twarze, ściągali napierśniki i kolczugi, wgryzali się w twarde suchary. Dla kompanii Cala taka wędrówka nie była niczym niezwykłym, ale gwardziści sapali jak kowalskie miechy. Po tygodniach przymusowej bezczynności stracili kondycję i wigor. Bolały ich otarte od twardych rzemieni ciała, z trudem prostowali przygięte ciężarem dodatkowego rynsztunku grzbiety, mieli pokrwawione stopy. Skąpe jedzenie nie napełniło żołądków. Wstyd im było narzekać, więc zbili się w gromadę, milczący i przygnębieni.

– Ale wojsko, niech mnie Zebon błogosławi – mruknął Brian do Niedźwiedzia. – Tu i smok niepotrzebny. Byle chłop z solidnym kijem dałby im radę. Nie obrażaj się, paniczu, nie dla przykrości to mówię – zwrócił się do Gararda, który przystanął obok i słyszał tę krytykę. – My zęby zjedli na takich podchodach.

– Garard, Stevar i Jarik na pierwszą wartę – polecił Cal. – Potem ja, Dough i ty. – Wskazał na któregoś z gwardzistów. – Albana, Brian i Harb jako ostatni. Reszta spać. W nocy nigdzie

nie łązić, ognia nie krzesać.

Pełniący wartę Garard patrzył w ciemność. Ciszę nocy przerywały tylko ciężkie oddechy i pochrapywania, a on, otoczony śpiącymi towarzyszami, poczuł się bardzo samotny. Gdzieś niedaleko, w ciemnościach, czuwał ten olbrzym zwany Stevarem i chłopiec, młodszy od niego, jednak tu i teraz był sam – głodny, zmęczony i urażony. Od całodziennego marszu bolały go wszystkie mięśnie, drżały łydki. Przysiadł na kamieniu, ale kiedy próbował zmienić niewygodną pozycję, uderzył weń obnażonym mieczem. Brzęk zabrzmiał nienaturalnie głośno, zamarł więc w bezruchu. Potem zaczęło mu się robić zimno. Chłodna noc w górach to nie to samo co warta pod drzwiami zamkowych lochów, a zbroja, która w dzień grzała niczym rozpalony piec, teraz ziębiła ciało. Garard sam wybrał sobie długą do kolan kolczugę, lśniący półpancerz i naramienniki, znacznie bardziej reprezentacyjne niż niepozorna zbroja ze smoczej łuski. Teraz płacił za nierozwagę. Jakby tego było mało, poczuł nagłące parcie na pęcherz. Nie dałby rady ściągnąć rynsztunku bez pomocy, siedział więc, dzwoniąc zębami, nie wiedząc, co zrobić.

Po drugiej stronie obozu Jarik odszukał w ciemnościach Stevara.

– Na razie spokój – powiedział cichutko. – Pójdę do Gararda, chyba potrzebne mu towarzystwo.

Niedźwiedź skinął głową, uśmiechając się złośliwie do siebie. Młody panek jednak potrzebuje niańki, pomyślał. Dobrze mu tak.

Garard był bliski płaczu, kiedy usłyszał lekkie kroki. Wstał i podniósł miecz.

– Kto tam? – spytał falsetem.

– Jarik – odparła ledwo majacząca w ciemności postać. – Nudno tak samemu, nie?

Garard omal nie rzucił mu się na szyję.

– Przejdźmy się – zaproponował chłopiec. – Tylko wpierw zdejmij to żelastwo, paniczu, okropnie brzęczy.

– Sam nie dam rady.

– Pomogę, stój spokojnie.

Zręczne palce chłopca szybko uporały się z opornymi rzemieniami.

– Masz wprawę – mamrotał Garard z ulgą. – Czekał, ja muszę na stronę.

Kiedy wrócił, obydwaj stanęli tak, aby mając za plecami skałę, widzieć cały obóz.

– Długo jesteś z... z nimi? – zagadnął Garard.

– Długo. Opowiem, jak było, czas szybciej zleci.

Kiedy skończył pozbawioną emocji relację, z głosu namiestnikowego syna zniknął ton wyższości.

– Nie masz dość tej włóczędzy? – spytał.

– Do czego mam wracać? Matka nie żyje, wieś spalona, a jakby kto odkrył, że Obdarowany, to i ja bym zginął na stosie – odpowiedział Jarik. – Z kapitanem i panią Albaną jest mi dobrze. Stevar też nie jest zły, tylko lubi zrzędzić.

Z trzaskiem pękających pod wielkimi stopami gałęzi podszedł do nich Niedźwiedź.

– Na warcie stoicie, synkowie? – spytał groźnie. – Marsz na obchód.

– Się robi – wyszczerzył zęby Jarik. – Zagadaliśmy się. Chodź, paniczu.

Zrobili koło wokół obozu i znów przystanęli. Garard szturchnął Jarika w bok.

– Mów mi po imieniu – zaproponował. – I wiesz, kiedy pójdziemy spać, to może, no... blisko siebie. Będzie nam razem... cieplej.

– Jasne. I nie martw się, pomogę ci jutro włożyć te blachy z powrotem.

Ranek wstał mglisty i ponury. Ludzie rozprostowywali zziębnięte ciała, niechętnie brali w ręce mokrą od rosy broń. Niejeden myślał w skrytości ducha, że zamkowe lochy to nie takie złe miejsce.

Ruszyli wąską ścieżką, którą wskazał im Harb. Pięli się w górę przy akompaniamencie stłumionych przekleństw i brzęku oręża, a kiedy znaleźli płaską polanę, wszyscy zwalili się, zdyszani, na mokrą trawę. Po odpoczynku Calmin nakazał zwolnić tempo marszu, dlatego dopiero wieczorem stanęli na wprost strażnicy.

- Jest za tymi skałkami – sapał Harb. – Dalej nikomu nie wolno było wejść.
- Musimy odpocząć – mruknął Brian. – Wszyscy ledwo trzymamy się na nogach.
- Albana, Jarik?
- Cisza, nikogo nie ma – padła zgodna odpowiedź.
- Więc odpoczniemy – zdecydował Cal.

Noc nastąpiła równie nieprzyjemna, jak poranek. Pasma mgły spływały z gór i zasłaniały widok, tłumiły głosy. Wszyscy zbili się w ciasną gromadę i siedzieli drżący od wilgoci i chłodu. Bali się ruszyć choćby na krok, by nie zbłądzić w szarym тумanie. Calmin objął ramieniem Albanę i przytulił mocno. Patrząc na jasną plamę jej twarzy majaczącą w ciemności, na dygocące ciało, pomyślał, że ta wyprawa to jedno wielkie szaleństwo. Kobieta, dzieciak, nie, dwoje dzieciaków i paru gwardzistów, którzy lepiej trzymają pług niż miecz. I taka żalosna grupa wyprawiła się przeciwko smokowi... Gdyby usłyszał podobną opowieść w gospodzie przy kuflu piwa, ryczałby ze śmiechu.

Świt następnego dnia niewiele różnił się od poprzedniego. Do zalegającej mgły dołączył się ledwo mżący deszczyk, nie było widać dalej niż na parę kroków. Czujni i skupieni okrążyli wapienne skałki i wyszli na drogę wiodącą do strażnicy. Jednak ostrożność okazała się zbędna.

Przed wejściem do budynku leżały ciała. Musiały już długo spoczywać na kamiennej ulicy, bo spod strzępów skóry bieleły kości.

Albana rozglądała się wokół, ale po tym, co zdarzyło się na wieży, bała się używać całej siły swego Daru, wołała polegać na Jariku. Kiedy chłopak pokręcił głową, dała znak i grupa ruszyła dalej.

Im wyżej się wspinali, tym więcej ludzkich szczątków leżało na drodze. Wyłaniały się znienacka pośród mlecznego tumanu i tak samo znikwały. Smród rozkładu był tak nieznośny, że musieli pozasłaniać twarze kawałkami szmat odartymi z odzienia. Roje wielkich, zielonkawych much brzęczały natrętnie, wchodziły do uszu i oczu. Przerażeni gwardziści ściskali miecze w spotniałych dłoniach, wytrzeszczali gały na sponiewierane zwłoki. Kiedy droga skręciła gwałtownie i zniknęła za skalnym załomem, zatrzymali się. Cal objął spojrzeniem zestrachaną drużynę. Podjął decyzję.

– Rozdzielimy się – powiedział, stając pomiędzy nimi. – Dough, wybierz trzech, oni pójdą z nami na zwiad. Reszta zostaje tutaj pod komendą Gararda.

Chłopak wyprostował się dumnie i nonszalancko wsparł na mieczu. Był taki zadowolony z siebie, że Niedźwiedź miał ochotę kopnąć podporę i patrzeć, jak młodzik ryje nosem po ziemi. Nie zdążył wprowadzić swego zamysłu w czyn, bo Calmin odwołał go na bok i szeptem przekazał parę zwięzłych poleceń. Po chwili cała grupa zniknęła we mgle. Stevar patrzył za nimi ponuro. Rzadko zdarzało się, aby pozostawał z boku. Wszystko przez tego szczeniaka, gryzł się. Żeby to szlag trafił.

Przejście było wąskie, więc posuwali się pojedynczo, czujni na każdy szelest. Minęli

przesmyk i znaleźli się w kotlinie. Wydeptana ścieżka wiodła przez środek i urywała się nagle na skraju przepaści. Na jej brzegu, na platformie z ociosanych kamieni, stały cztery kolumny ustawione na planie kwadratu.

Albana zatrzymała się, wpatrzona w nieprzeliczone roje owadów unoszące się nad skalnym ustępem. Zdawało się, jakby mgła błyszczała czernią. Szum tysięcy skrzydeł wdzierał się nieznośnie w zmysły i budził nieopanowany wstręt. Ten koszmar jest gorszy niż moje sny, pomyślała przerażona. Nie chcę tam zaglądać, nie mogę.

– Nnnie musisz, pani – wyjąkał Jarik, który przystanął obok. – Ja zajrzę.

W akcie desperacji czy może bezmyślnej odwagi postąpił parę kroków i wkroczył pomiędzy chropowate bloki.

Kolumny rozbłysły nagle jasnym światłem, które skąpały drobną sylwetkę w żółtobrazowych płomieniach. Jarik z szeroko otwartymi oczyma zamarł bez ruchu uwięziony w nierzeczywistym ogniu. Oślepieni błyskiem ludzie zakrzyczeli z przerażenia.

Albana i Calmin zareagowali niemal równocześnie, ale to on był bliżej. W paru krokach przebył odległość dzielącą go od Jarika i wypchnął spomiędzy słupów. Kobiecie zdawało się, że upiorny blask pochwycił teraz Cala, ale nim zdążyła zrobić jakikolwiek ruch, ziemia zatrzęsała się, a huk grzmotu przetoczył pomiędzy wierzchołkami gór.

Calmin Fen stał pośrodku ołtarza, a jego smocza zbroja odbijała promienie niczym lustro. Kolumny zachwiały się pod naporem niszczącego je światła. Wokół rozszedł się swąd topionej żywicy. Mężczyzna tkwił nieporuszony, choć kamienna podłoga zaczęła uciekać mu spod stóp.

Albana przez chwilę miała wrażenie, że słyszy ryk wściekłości, a może bólu, który docierał wprost do jej umysłu, ranił. Nie zdążyła zastanowić się nad tym, co czuje, bo kolejny wstrząs pozbawił ją równowagi. Upadła i poczuła ciepły strumyczek krwi płynący po łydce. Zacisnęła zęby i podniosła wzrok. Otoczone dymem foremne bloki jakby unosiły się w powietrzu. Podłoże drgało.

– Uciekajmy! – krzyknęła.

Uczyła desperacki wysiłek. Skupiona na swoim Darze nie widziała, że słupy miast runąć, topią się, zapadają, a wyrwany potężną siłą fragment kamiennej płyty leci wprost na nią. Straciła przytomność.

Cal na chwilę ośleplł i ogłuchł. Pierwszym dźwiękiem, jaki usłyszał, było brzęczenie. Roje much, które rozpierzchły się na chwilę, wróciły, wciskając się pomiędzy szczeliny pancerza. Odegnął je niecierpliwie i wyciągając nogi z kleistej mazi, ruszył pomiędzy gruzami.

– Albana, Jarik! – zawołał, krztusząc się. – Albana!

Nie usłyszał cichego jęku wydobywającego się spod kupy kamieni, ale pośród szarości dostrzegł jaskrawą plamę, ruszył więc w tamtą stronę.

Rude włosy rozsypały się wokół głowy nieprzytomnej czarownicy. Leżała pod dwiema płytami, które wsparły się o siebie, stworzyły rodzaj stropu tuż nad głową. Jedno drgnięcie, nieopatrzny ruch, mogło spowodować, że zmiażdżyłyby uwięzioną pod nimi kobietę. Calmin ze wstrzymanym oddechem obejrzał niebezpieczną piramidę, usunął kilka luźnych odłamków i powolutku, zamierając po każdym ruchu, każdym najśłabszym jęku Albany, zaczął ją wyciągać. Kamienie zazgrzytały złowieszczo. Desperacko, jednym silnym szarpnięciem uwolnił głowę żony. Zwał runął. Na ostrych krawędziach pozostało pasmo czerwonych włosów.

Jeździec przytknął dłoń do szyi leżącej, poszukał tętna, a potem zaczął szarpać rzemienie swojej zbroi. Zanim zdołał wyplątać się ze smoczej łuski, lawirując pomiędzy gruzami i

krztusząc się od pyłu, nadszedł Brian.

– Cali jesteście?

– Pomóż mi – wycharczał Fen. – Trzeba ją stąd wynieść i ocucić. Ta zbroja...

Brian przerzucił Albanę przez ramię i uważnie stawiając kroki, ruszył z powrotem. Cal, przeklinając głośno, szedł za nim.

Oddalili się od rumowiska. Brian ostrożnie ułożył kobietę na ziemi. Calmin potrząsnął bukłakiem, który miał u pasa, i wylał parę kropli na spieczone wargi. Albana jęknęła i chciwie zlizwała wodę ze spierzchniętych ust.

– Jeszcze – powiedziała ochryple.

Pozwolił jej się napić, pozostałą na dnie resztką zmoczył policzki, pomógł usiąść. Oddał kawałek koszuli i przewiązał pokrwawioną głowę, a potem rozejrzał się wokół.

– Gdzie reszta? A Jarik? – spytał. – Nie mogłem go znaleźć w tym gruzowisku.

Brian bezradnie wzruszył ramionami.

– Nie mam pojęcia. Szedłem tuż za wami i nagle rąbnąłem o te skałki. – Wskazał wapienie tworzące przejście. – Jak tylko oprzytomniałem, poleciałem was szukać.

– Ja chyba... – zaczęła z wysiłkiem Albana, poprawiając szmatę na głowie.

Nie dokończyła, bo z oparów mgły wynurzył się Dough, a zaraz za nim Harb, utykający Jarik i reszta.

– Żyjecie?! – wrzeszczał Dough, machając rękami. – Aleś nami rzuciła, kobieto. Świecezki zobaczyłem przed oczami.

– Przepraszam – mruknęła. – Jarik, co z tobą?

– Nic – zaczerwienił się chłopak. – Wszystko dobrze, tylko głowa mnie boli.

Uścisnęła go za rękę i uśmiechnęła się blado.

Cal na powrót ściągnął rzemienie pancerza i trafił palcami na krople ciepłej, lepkiej substancji. Zapachniało spalenizną i żywicą. Wytarł się byle jak i spojrzał na przepaść.

– Co to było?

Kobieta pokręciła głową.

– Coś plugawego, niebezpiecznego. Ale teraz nie mam sił, żeby się nad zastanawiać.

– Trzeba zajrzeć do tej dziury.

Pomógł wstać Albanie i cała grupka wolno, z ociąganiem ruszyła nad rozpadlinę.

Kurz opadał powoli. Jego drobinki ciągle wirowały w powietrzu. Krajobraz wydawał się jeszcze bardziej niesamowity niż przed chwilą. Mgła, pył i brzęczące nieustannie owady sprawiały, że był w nieustannym ruchu. Oblepione robactwem, spoczywające w dole szczątki również zdawały się poruszać. Smród był nie do zniesienia.

Albana cofnęła się i zwymiotowała raz, a potem drugi. Cal poczuł, jak żółć podchodzi mu do ust.

– Przecież to... chyba... – jękał Brian, usiłując zignorować wielką gulę dławiącą go w gardle.

– Chodźmy stąd.

Wracali tak szybko, jak tylko pozwalały im na to kupy gruzu pod nogami, byle prędzej uwolnić się od koszmarne obrazu. Zatrzymali się dopiero pod znajomą skałką. Bracia sięgnęli do bukłaków, pociągnęli zdrowo i poczęstowali pozostałych. Powoli drżenie rąk ustępowało, na twarze wracały kolory.

– Kto, do ciężkiej cholery, utrupił tę bestię? – spytał Brian.

– Może strażnicy – podsunął nieśmiało Jarik.

– Jakich sił musieliby użyć, żeby ją aż tak zmasakrować – zamyślił się Cal. – Szkielet był pęknięty w kilku miejscach.

– To Obdarowani. Nikt nie wie, jaką siłą rozporządzają. – Albana zaszczękała zębami.

– Martwicie się, że sława pogromcy smoka przypadnie komu innemu? – odezwał się za ich plecami drwiący głos.

Wszyscy odwrócili się jak na komendę i zobaczyli wyłaniających się ze skalnego tunelu Gararda i Stevara.

– Co tu robicie? – warknął Cal. – Mieliście czekać na znak. Gdzie reszta?

– Uciekli – wyjaśnił Niedźwiedź.

– Uciekli? A ty im na to pozwoliłeś?

– A cóżem miał zrobić – zjeżył się Stevar. – Krzyknąć: po moim trupie i stanąć im na drodze?

– Kiedy grzmotnęło i ziemia się zatrzęsła, rzucili broń i zwiali – wyjaśnił młodzieniec. – Naprawdę znaleźliście smocze ścierwo? Muszę zobaczyć... – Nie oglądając się na nikogo, potruchtał w stronę rozpadliny.

Albana i Cal popatrzyli na niego z niesmakiem.

– Co teraz? – spytał Calmin, pociągając następny łyk wódki.

Albana napiła się również i otarła usta wierzchem dłoni.

– Trzeba poszukać siedziby strażników. To przecież nie mogła być buda, którą minęliśmy po drodze.

– Stevar, słyszałeś? Weź Briana i tego Harba, pokręćcie się po okolicy, tylko ostrożnie.

Niedźwiedź kiwnął głową, zadowolony, że ma co robić. Garard wrócił znad urwiska i przysiadł obok siostry.

– Paskudny widok – powiedział z mieszaniną obrzydzenia i satysfakcji. – Poczęstujesz mnie?

Napił się zachłannie, zakrztusił i pociągnął ponownie.

– To nie do uwierzenia. Ludzie siedzą w lochach jak szczury, a smoczysko zdechło. – Zachichotał głupkowato i znów przytknął worek do ust.

– Upijesz się – ostrzegł go Cal.

– Nie jesteś moim ojcem – nastroszył się chłopak.

Fen wzruszył ramionami i odszedł pomiędzy żołnierzy.

Albana, ignorując popijającego brata, głowiła się nad zagadką smoczego ścierwa. Z mgły wynurzył się sapiący Niedźwiedź. Chwycił ją za rękę i zaczął ciągnąć.

– Chodź, musisz to zobaczyć. No rusz się, tyłek ci do kamienia przyrósł?

W skale, prawie na wprost zburzonego ołtarza, widniało wejście do kamiennego domostwa. Gdyby nie gładkie wapienne kolumny, na których wspierał się trójkatny fronton, niewątpliwie dzieło ludzkich rąk, można byłoby je przeoczyć, tak bardzo stapiało się z otoczeniem. Widać budowniczy wykorzystał naturalną jaskinię, poprawiając nieco symetrię ścian, wykuwając okna. Dopiero kiedy podeszli bliżej, Albana zauważyła roztrzaskane drzwi, kołyszące się smętnie na oberwanych zawiasach i poskrzypujące cicho. Stevar podniósł pochodnię, którą wcześniej porzucił tuż za progiem, i skrzesał ognia. Światło odbiło się w oczach strażnika w poszarpanej szacie. Na martwej twarzy zastygł wyraz przerażenia, a może szaleństwa.

– Sprawdźmy, co jest dalej – mruknęła kobieta, przełykając ślinę. – To tylko przedsiónek.

Poszli wzdłuż sali. Wszędzie leżały trupy. Ciała zdawały się nieuszkodzone, ale

nienaturalne pozycje i obłądny strach utrwalony na obliczach świadczył, że śmierć mieli gwałtowną i bolesną. Szerokie schody prowadziły na piętro. Wykute wzdłuż korytarza nisze przypominały więzienne cele. Na podłodze leżały maty uplecione z morskiej trawy, w kątach stały topornie sklecone komody.

Albana przeszukała półki. Znalazła porządnie ułożone bure stroje, wysłużone sandały, ale żadnych osobistych drobiazgów.

– Bezimienni – mruknęła cicho. – Żyli, by służyć.

Wyszła na korytarz, zdjęła zawieszoną wysoko pochodnię, zapaliła ją od drzazgi Stevara i wróciła na dół. Usiadła na podniesionym z podłogi krześle i objęła pomieszczenie zamyślonym wzrokiem. Teraz dopiero zauważyła ławki ustawione pod ścianami. Umieszczono je tak, by nie burzyły harmonii wnętrza. Zwykłe drewniane ławy i to piękne krzesło z ozdobnymi poręczami, pomyślała, gładząc bezwiednie rzeźbę na podłokietniku. Więc musiała istnieć wśród nich jakaś hierarchia. Na tym karle siedział przywódca, a reszta pozostawała ukryta w cieniu, tłoczyła się na tych niewygodnych ławkach. Czy mieli dostęp do wiedzy? Czy jest tu biblioteka? Porzuciła krzesło i zaczęła przeszukiwać ukryte w ciemności kąty.

Znalazła drzwi na przeciwległej do wejścia ścianie. Ktoś pozostawił je uchylone, niezbyt szeroko, ledwie tyle, że zmieściła się w nich jej szczupła dłoń. Popchnęła je i przekroczyła próg. W tej samej chwili potknęła się i upadła. Żagiew wyleciała jej z ręki oświetliła przeszkodę tarasującą wejście. Trup zdawał się patrzeć wprost na nią. Wyszczерzone zęby zastygły w upiornym uśmiechu, jakby naigrawając się z jej lęku. Podniosła się z podłogi, otarła ręce o bluzę, schyliła się po pochodnię. W jej blasku błysnął klucz zaciśnięty w rękę martwego strażnika.

Małe pomieszczenie okazało się tylko przedsionkiem prowadzącym do prywatnych apartamentów. Przepych tych pomieszczeń mocno kontrastował z surowością pokoiów na piętrze: rzeźbione sprzęty, grube gobeliny ogrzewające ściany, połyskująca zastawa. Kiedy Albana dotknęła gładkiej powierzchni ozdobnej misy, poczuła w palcach niezwykle mrowienie. Podniosła ją do oczu, zbliżyła drzazgę. Szlifowana powierzchnia rozblęskła ciepłym blaskiem bursztynu. Z ust kobiety wyrwało się westchnienie. Oto trzymała w ręku Łzy Boga, magiczny kamień, cenniejszy od złota czy diamentów. Według starożytnego podania bóg Krash po śmierci swej małżonki opłakiwał ją żałością, a jego łzy spłynęły do morza i zastygły w postaci bursztynu. Czasem jego kawałki wyrzucała na brzeg silniejsza fala, a rybacy zbierali je chciwiej sprzedawali za ogromne sumy.

Ukryte za zasłoną drzwi były zamknięte. Niechętnie wróciła do sieni i pokonując wstęt, spróbowała wyjąć klucz z zaciśniętej pięści trupa, ale dopiero po wyłamaniu palców udało jej się go dostać. Kiedy weszła do tajemnego pomieszczenia, w powietrzu unosił się zapach spalenizny, a niewielki przeciąg wzbił w górę kurz, który opadał teraz majestatycznie niczym płatki śniegu.

– O nie... – szepnęła, rozglądając się po pustych półkach. – Co oni zrobili, jak mogli.

Podeszła do kominka i wsadziła dłoń do paleniska. Pod palcami wyczuła resztki drewnianych okładek, strzępy materii, popalone karty. W powietrzu unosił się nie kurz, lecz popiół.

Usłyszała nawoływanie Stevara i odezwała się niemrawo. Po chwili Niedźwiedź przepchnął się obok zwłok i zajrzał do biblioteki.

– Znalazłaś coś?

– Wszystko zniszczone. Cała wiedza, cała historia tego miejsca spłonęła. Nigdy się nie

dowiemy, co się tu naprawdę wydarzyło. Nigdy.

Rozczarowani i zmęczeni wyszli w końcu przed budynek. Stevar taszczył w naprędcie związanym tłumoku talerze, puchary i dzbany zdobione jantarem.

– Tyle naszego, co w tobołku – mrucał swoim zwyczajem. – Byle ten szczeniak nie zobaczył, bo każe sobie oddać...

Calmin założył obóz poza kotliną, na ścieżce, tak by w razie niebezpieczeństwa można było szybko schronić się w górach. Pousuwano zwłoki, rozpalono ogień, wystawiono warty. W kociołku bulgotała zupa ugotowana na suszonym mięsie.

Albana usiadła na ziemi zmęczona i obolała. Jarik podsunął jej miskę, zjadła, choć bez apetytu, owinęła się kocem i zasnęła. Stevar, odciągawszy Cala od ogniska, opowiadał o siedzibie strażników i znalezionych tam skarbach.

Było już całkiem ciemno, kiedy zza zakrętu wyłoniła się grupa idących niepewnym krokiem gwardzistów. Skłonili się głęboko przed Calm i chwiejącym się Garardem. Najodważniejszy wystąpił krok naprzód.

– Panie – powiedział, zezując to na jednego, to na drugiego. – Nam strach rozum pomieszał, dlategośmy uciekli. Wstyd to dla nas i sromota... My wojaczki niezwyczajni... Ale przecie to nasza wyspa, nasze domy i naszych ludzi bestia pomordowała. Godzi się, żeby my, choć ze strachem, stanęli jej przeciw. Dlatego my wrócili – dokończył, szarpiąc wąsy.

Młody panicz zerknął na Calmina, ten jednak najwyraźniej nie zamierzał się wtrącać, odchrząknął więc, założył dłonie za pas i spojrzał w poczciwe oczy gwardzisty.

– Wierną... – czknął głośno i poczerwieniał – wierną służbą odkupicie swe winy – wydusił wreszcie.

– Zupy jeszcze trocha zostało – krzyknął Harb, który zaciekawiony zamieszaniem podszedł bliżej. – Chodźta jeść.

Napięcie opadło. Gwardziści przysiedli przy ogniu i zaczęli pałaszować cienką polewkę. Garard zwałił się na posłanie i zasnął głębokim, pijackim snem. Tylko on spędził tę noc spokojnie. Groza czająca się w bliskości smoczego ścierwa nie pozwoliła na odpoczynek.

Najgorzej miał się Jarik. Wytrzeszczając w ciemności oczy, odstał swoją wartę, a potem z ulgą się położył. Ciągle bolała go głowa, w mięśniach czuł każdy krok postawiony na skalnych ścieżkach, ale zamiast zasnąć, wiercił się tylko i okręcał nerwowo. Wreszcie zdrzemnął się na chwilę i zaraz zerwał wystraszony, bo zdawało mu się, że ktoś woła do niego z ciemności, namawia do działania, prowokuje. Posłuszny wezwaniu ruszył w mrok.

– Idziesz się odlać, mały? – spytał wartownik, zastawiając drogę. – Nie łaż daleko, bo w dziurę jaką wpadniesz.

Ten głos, przyjazny i zrozumiały, zatrzymał go w miejscu. Przysiadł się do gwardzisty i tak dotrwał do rana.

Świttem ludzie posilali się ochoczo, pewni, że wkrótce opuszczą przygnębiające cmentarzysko. Tylko Albana stanowczo sprzeciwiła się powrotowi do miasta.

– Trzeba się dowiedzieć, jak zginęła bestia, zbadać jej leże – przekonywała. – To, co zabiło smoka, może być gorszym zagrożeniem niż on sam.

Cal, choć wzdragał się przed ponownym oglądaniem koszmarne widoku, musiał przyznać jej rację. Wezwał braci i we czwórkę ruszyli nad przepaść. Starając się zignorować ściskanie w dołku, patrzyli uważnie na smocze szczątki. Olbrzymi szkielet białiał pomiędzy gnijącymi kawałkami mięsa. Widać było, że kości w paru miejscach są strzaskane, łuska poszarpana. Zwrócony w stronę gór łeb leżał oddzielnie, jakby ktoś odrąbał go od tułowia.

Trudno było sobie wyobrazić siłę istoty, która mogłaby uczynić coś podobnego.

– Tam jest jaskinia – zauważył rozglądający się wokół Dough. – Trzeba będzie obejść tę dziurę dookoła.

– Tamtędy – mruknęła Albana, wspominając swoje wędrówki po Górach Przejścia, i wskazała wąską grań. – Patrzcie, musimy tylko wspiąć się na tę skałkę.

Szli, uważnie wybierając drogę. Gdyby spadli, wylądowaliby wprost na smoczej padlinie. Zmęczeni, zadyszani, zanurzyli się w ciemnym otworze grotu. W nozdrzach poczuli intensywny zwierzęcy odór. Zapalili pochodnie i ostrożnie zaczęli badać szerokie korytarze. Odgałęzienia były trzy. Dwa z nich okazały się ślepyimi odnogami, trzeci wiódł do olbrzymiej pieczary. Nikłe światełka pochodni oświetliły jedynie niewielką jej część, wyłowiły z mroku nierzeczywiste skalne formy. Ruszyli środkiem zbici w gromadę, bojąc się zagubić w tej czeluści. Smród stał się niemal namacalny, kiedy natrafili na ułożone z gałęzi legowisko. Wspięli się na górę, trzymając pochodnie z dala od patyków, żeby przypadkiem nie podpalić stosu. Wierzch wyroszczony był wyschniętą, zrudziałą trawą i liśćmi. Pomiedzy nimi walały się jasne skorupy jaja. Na niektórych kawałkach zachowały się jeszcze zeschnięte błony płodowe.

– Och nie... – szepnęła kobieta, przygryzając wargi do krwi.

– Niech to szlag trafi! – warknął Cal i kopnął ze złością odłamek.

Głośny okrzyk odbił się od ścian i wrócił do nich zwielokrotnionym echem.

– No i zagadka się wyjaśniła. Smoczy bękart zagryzł mamusię, a teraz czatuje na inną zdobycz – podsumował ponuro Dough. – Wracajmy, niczego więcej tu nie zwojujemy.

Ześliznęli się po gałęziach i przystanęli zdezorientowani. Albana dostrzegła kawałek skorupy, który spadł z legowiska. Dotknęła go niepewnie i zastygła, niezdolna się poruszyć, schwytana w pułapkę nieznannej magii. Mimo że od wyklucia się smoka minęło wiele, wiele lat, może i wiek cały, jajo nasycone było mocą, nieznaną, trudną do pojęcia, lecz niezwykle silną. Znieruchomiałej kobiecie nagle przypomniały się krwistoczerwone znaki, którymi spisano Smoczy Pakt. Niespodziewanie zrozumiała ich wymowę, pojęła znaczenie paktu, przejrzała smoczy podstęp.

Potrącona przez nieświadomego jej przeżyć Briana – drgnęła. Okruch wyleciał jej z palców, wrażenia ją opuściły, pozostawiając po sobie tylko niejasne uczucie niepokoju. Rozejrzała się dookoła. W migotliwej plamie światła każdy naciek i każda nieforemna kolumna wyglądały tak samo. Ruszyli w końcu wzdłuż najbliższej ściany, co jakiś czas ryjąc znaki w miękkim wapieniu. Trudno było ocenić, czy podążają ku wyjściu, czy błądzą w podziemnym labiryncie. Wreszcie trafili na tunel.

Korytarz okazał się krótki i kończył się kolejną jaskinią. Na środku leżały zwały nieforemnych brył, wielkich jak ludzka głowa i całkiem małych. Zaciekawiony Brian podniósł jedną i zbliżył do światła. Wnętrze niepozornego kamienia rozbłysło miodowym blaskiem.

– Łzy Boga – szepnęła Albana. – To z nich zrobiono słupy nad przepaścią, świeciły takim samym ogniem. Ciekawe, do czego mogły służyć.

– Co z tym zrobimy? – spytał niepewnie Dough.

– Zabierzemy, ile się da – zdecydował Cal, ku cichej radości braci. – Czymś trzeba będzie opłacić wojsko, wyżywić, odziać. Ale póki nie porozmawiamy z namiestnikiem, ani pary z gęby. Nie mówcie też o jaju, przyjdzie jeszcze na to czas.

Pokiwali głowami, upychając pod koszulami matowe bryłki, wrócili do głównej jaskini i wreszcie znaleźli wyjście.

Na zewnątrz odetchnęli głęboko, zadowoleni, że znowu widzą słońce. Powrót był trudny. Zmęczenie dawało o sobie znać, a świadomość majątku, który dźwigają, powodowała, że szli jeszcze ostrożniej i wolniej niż poprzednio. Gdy zwalili się na trawę przy obozowym ognisku, byli mokrzy od potu, a łydki drżały im z wysiłku.

– Jutro ruszamy z powrotem – zarządził słabym głosem Calmin.

Głośny krzyk, gdzieś u podnóża skał, postawił ich z powrotem na nogi.

– Stevar, zabierz paru ludzi i idźcie sprawdzić, co się tam dzieje – rozkazał Jeździec. – Reszta do mnie. Ogień zagasić i nigdzie nie łązić. Albana?

– Nnnie wiem – wymamrotała kobieta wsłuchana w zapadłą ciszę. – Pójdę z nimi – zdecydowała nagle.

Stevar, Dough i paru wyspiarzy ruszyli ostrożnie w stronę mającej w mroku drewnianej strażnicy. Albana wysunęła się do przodu, bo najlepiej ze wszystkich widziała w ciemnościach, i poprowadziła ten mały pochód.

– Ktoś jest w środku – powiedziała cichutko, kiedy podeszli bliżej. – Chyba tylko jedna osoba.

Żołnierze otoczyli budynek. Stevar i Albana weszli do środka.

– Jest tu kto? – spytał Niedźwiedź głośno. W pomieszczeniu pełnym trupów zabrzmiało to jak żart.

Z cienia wynurzyła się jakaś postać i rzuciła się na Stevara. Olbrzym miotał się bezładnie, chcąc zrzucić z siebie przeciwnika, wczepionego w niego jak pijawka. Równie zaskoczona Albana w pierwszej chwili cofnęła się, a w następnej opadła na kolana. Jęczała i zawodziła, orała paznokciami po klepisku. Niedźwiedź krzyknął głośno, kiedy przeciwnik ugryzł go w ucho. Rozjuszony przyparł go wreszcie do ściany, unieruchomił i wymierzył cios na oślep. Gdy poczuł, że tamten wiotczeje, strząsnął go z siebie i na wszelki wypadek wymierzył kopniaka. Sięgnął, by zbadać ranę, i natrafił na lepłą wilgoć. Zaklął.

Kobieta, zupełnie oszołomiona, podniosła się z podłogi i rozejrzała po ciemnych pomieszczeniach.

– Nie żyje? – spytała.

– Eee, chyba nie.

– To pilnuj go, przyniosę pochodnię.

– Trzeba jeszcze sprawdzić drugą salę. Może jest ich więcej.

– Nie. On był sam – powiedziała pewnie i zniknęła w drzwiach.

Po chwili wróciła, niosąc zapaloną drzazgę, którą Dough wyciągnął z ogniska. Oświetliła Stevara i skrzywiła się. Jego ubranie było w strzępach, na twarzy i ramionach widniały krwawe ślady od zadrapań. Najgorzej prezentowało się ucho. Odgryziony kawałek trzymał się na cienkim płątku skóry niczym upiorny kolczyk, strużka krwi ściekała za koszulę. Potem spojrzała w twarz napastnika.

To był strażnik. Wychudzony, w podartym i poplamionym habicie, z bosymi stopami. Starcza twarz – zwieńczona łysym czerepem ozdobionym nieregularną kępką siwych włosów pozostała po ściętym warkoczku – wyglądała jak trupia czaszka.

– Nie zabiłem chyba tego ścierwa? – zaniepokoił się Niedźwiedź.

– Jest tylko nieprzytomny. W każdej chwili może się ocknąć.

– Poślę kogoś po Cala – zdecydował. – Pewnie chciałby go zobaczyć.

Jastrząb, zaciekawiony, nadszedł pospiesznie. Stevar odsunął martwe ciała w kąt izby i wylał trochę wody na pokrwawioną twarz starca. Jeniec zakrztusił się i otworzył oczy. Były

rozbiegane, nieprzytomne. Szarpnął się, lecz sznury nie pozwoliły mu wstać, wił się więc, charcząc i dygocząc niczym epileptyk.

Albana wzdygnęła się, kiedy dotarło do niej echo jego myśli. Panowały w nich chaos, przerażenie i nienawiść. Teraz była już przygotowana na ten niekontrolowany przekaz, nie tak jak za pierwszym razem. Odetchnęła głęboko i skupiła się.

– Jak cię zwa? – spytała głośno i jednocześnie posłała tę myśl w głąb jaźni mężczyzny.

Strażnik nie zareagował. Jego ciało zwijało się po podłodze w konwulsjach. Z rozciętych nadgarstków i kostek u nóg płynęła krew, z ust ciekła ślina, oczy nie potrafiły skupić się na jednym punkcie.

– Jesteśmy przyjaciółmi – powtórzyła kobieta. – Chcemy ci pomóc. Jak cię zwa, człowieku?

Mężczyzna uspokoił się na moment. Widać było, że czyni wysiłek, aby przyjrzeć się napastnikom. Prześliznął się spojrzeniem po Calu i Stevarze i na krótką chwilę zatrzymał wzrok na Albanie.

– Jeestem strażniikiem – wybełkotał z trudem. – Mooje iimie... niic nie znaaczyy... Uroodziłem siię... żeby służyyc... ii sstrzeec.

– Nie ma już tych, którym służyłeś.

– Niece maa? – zawył strażnik. – Kłaamiesz, suuko!

Rzucił się gwałtownie, aż świeże strużki krwi popłynęły z okaleczonych rąk i nóg, głowa uderzyła w ścianę. Widok był tak przerażający, że Cal obnażył swój miecz, a Stevar sięgnął po nóż.

– Gdzie jest ten, który dokonał dzieła zniszczenia? Ten, który zgładził swoją matkę i zaatakował strażników?

Mężczyzna nagle zamarł.

– Nieenaawiiidzę ciiie – syknął. – Kiim ty jeestees?

Kobieta, patrząc w szalone oczy więźnia, rozchyliła koszulę.

Znamię zabłysło w świetle pochodni.

Przeciągłe, udręczone wycie szaleńca zjeżyło włosy czuwających w obozie. Jarik, wyrwany z pierwszego snu, przetarł oczy. Ten głos jak ułnął pasował do jego koszmarów.

Albana podeszła do strażnika i z całej siły uderzyła go w twarz. Krzyk zamienił się w pełen nienawiści bełkot.

– Ty... ty jeestees z nim w zmoowie... Smooczaa dziiwka! Mysłiisz, żee niee wieem... żee niee wiidzę? Too czaai się w toobie... czeeka... Aa kieedy oon ciie weezwie, niee będziee juuz raatuunku... niee będziee ucieeczki! Zgiinieecie wszyiscy jak myy tutaj...

Nóż Stevara zakreślił łuk i utkwiał w sercu obłąkanego starca. Krew spłynęła ustami trupa, splamiła rękajeść. Oszołomiona Albana patrzyła tępo, jak chuderlawe ciało wiotczeje w więzach. Cal wziął ją za ramię i wyprowadził z ponurej izby.

– Miałaś rację, był szalony. Chodź, musimy odpocząć – powiedział.

Jarik czekał na ich powrót. Nieśmiało podszedł do czarownicy.

– Pani – szepnął – ja...

– Jutro, chłopcze. Wszyscy jesteśmy bardzo zmęczeni – przerwał mu Cal. – Porozmawiacie jutro.

Chłopak wycofał się ze spuszczoną głową.

Noc była pogodna i ciepła, a ludzie ogromnie utrudzeni. Tylko Jarik nie potrafił na powrót zasnąć. Przekręcał się z boku na bok i szarpał okrycie. Czas mijał, a on nie miał już sił

przeciwstawiać się głosowi, który rozbrzmiewał coraz natrętniej i głośniejsze. Wreszcie wstał i cichutko przemknął pomiędzy śpiącymi. Tym razem nie było nikogo, kto mógłby go zatrzymać. Znużeni wartownicy drzemali z dłońmi zaciśniętymi na rękojeściach mieczy.

Z każdym krokiem czuł się lepiej. Schodził w dół kamienną ulicą z taką pewnością, jakby przemierzał ją codziennie. Naprzód, naprzód, powtarzał sobie. Rytm tych słów uwalniał go od innych myśli.

– Gdzie Jarik? – spytał Garard rano, podnosząc z mokrej od rosy trawy sakwy chłopaka.

Zapytany gwardzista wzruszył ramionami i pozbierał swoje rzeczy. Garard rozejrzył się po otaczających go twarzach.

– Nie ma Jarika – oznajmił Albanie, kiedy przepętał pozostałych.

Kobieta drgnęła wyrwana z ponurych rozmyślań.

– Jak to nie ma? – spytała złym głosem. – A juki?

Kiedy brat podał jej torby, pospiesznie sprawdziła ich zawartość. Flaszka ze smoczą krwią była na miejscu. Schowała ją w szerokim pasie otaczającym jej biodra. Od czasu, kiedy ponownie poczuła w swoim ciele działanie trucizny, natrętna potrzeba ponownego jej użycia trochę przycichła. Teraz, mając butelkę, nie potrafiła myśleć o niczym innym. Zlekceważyła zniknięcie chłopca, nie zastanawiała się nad jego przyczynami, zamiast tego co chwila mimowolnie dotykała obłego kształtu, pieszcząc go palcami poprzez miękką skórę.

– Pewnie spotkamy go po drodze – wymamrotała nieprzytomnie. – Chodźmy, czas nagli.

Cal, Stevar i bracia nawet nie dostrzegli nieobecności chłopca, każdy zajęty ukrywaniem grzechoczącego skarbu. Wspólnie planowali już powrót na stały ląd i zebranie armii gotowej powstrzymać smoczy atak. Jedyne Garard, który polubił nieśmiałego wyrostka, mruczał pod nosem, ale i on był przekonany, że wrażliwy chłopak nie wytrzymał bliskości smoczego ścierwa i poszedł przodem.

Świtał już następny dzień, kiedy Jarik zbliżył się do murów miasta. Wędrował niestrudzenie, prawie nie odpoczywając. Nie czuł zmęczenia, głodu ani pragnienia. Nie zważał na poodcierane stopy, na krew spływającą z rozciętego gałęzią policzka. Zmierzał przed siebie z wyrazem pustki w oczach, posłuszny głosowi, który wciąż przynaglał go do pośpiechu. Wyglądał jak upiór, kiedy potykając się i zataczając, w blasku porannego słońca przebył wymarłe ulice miasta i zaszedł do portu.

– Pali się! – krzyknął głośno Harb i wskazał widoczne w oddali mury. – Ludzie, miasto gore!

Droga powrotna zdawała się znacznie krótsza niż ta wiodąca w góry. Gwardziści szli ochotczo i radośnie, pewni, że wyspa uwolniła się od nieproszonego lokatora. Kompania Calmina, choć znała prawdę, też rada była odpocząć i na chwilę zapomnieć o koszmarze, którego była świadkiem. Krwawa łuna na wieczornym niebie i ciężki, szary dym zasnuwający horyzont sprawiły, że strach powrócił. Albana skupiała swój Dar, gotując się do walki z bestią, żołnierze obnażyli miecze. Gwardziści, głusi na rozkazy Calmina, biegli na oślep, poganiani strachem o najbliższych.

– Port się pali! – powtarzali do siebie zbielełymi ustami.

Przeszli bramy, przemknęli ulicami, ale prócz trzasku palącego się drewna, wszędzie panowała cisza. Albana wyteżyła zmysły. To, co wyczuła, niemal zważyło ją z nóg. Poblądła.

– To nie smok – wykrztusiła.

– Więc mamy szansę... Biegnij do ojca! – krzyknął Cal do Gararda. – Niech wyprowadzi ludzi z podziemi, bo się poduszają od dymu! Harb, gdzie jest studnia? A wy zbierajcie wiadra, konewki, cokolwiek, w czym można przenieść wodę!

Młodzieniec wyminął gwardzistów i wpadł na zapatrzoną w płomienie Albanę.

– Czego się gapisz? – wrzasnął rozeźlony jej beczynnością. – Zrób coś, przecież jesteś czarownicą!

– Nic już nie można zrobić. Nic... – powiedziała martwo kobieta.

Garard odepchnął ją brutalnie i pobiegł w stronę zamku. Albana patrzyła za nim, póki nie znikł za zakrętem, dłonie miała zaciśnięte na butelce ze smoczą krwią.

Ciasne uliczki pełne były dymu i sadzy. Ogień przenosił się po dachach kamienic ustawionych ciasno jedna przy drugiej. Cal ustawił ludzi w szereg pomiędzy pożarem a najbliższą studnią i z rąk do rąk zaczęto podawać sobie naczynia z wodą. Starano się zdusić płomienie, ale nawet kiedy z zamkowych lochów wybiegli strwożeni mieszkańcy i przyłączyli się do gaszenia, niewiele mogli zdziałać. Ogień rozprzestrzenił się zbyt szybko, pojawiał się ciągle w nowych miejscach, podsycany przez wiatr, który zerwał się niespodzianie, gnając jednocześnie ciemne, burzowe chmury.

Było już dobrze po północy, gdy wreszcie spadł deszcz. Strugi wody zalewały żar, chłodziły rozpalone do białości kamienie, splukiwały odór spalenizny.

Wschodzące słońce bezlitośnie oświetliło rozmiar strat. Ponure pogorzelsko parowało od nadmiaru ciepła. Z burego tumanu wyłaniały się osmalone kikuty ścian z pustymi oczodołami okien i nadpalone belki. Pożar musiał wybuchnąć w porcie, bo po drewnianym nabrzeżu, zacumowanych łodziach, magazynach pozostał tylko popiół. Z przylegającego doń wschodniego kwartału miasta nie ocalał żaden dom, żaden warsztat.

Namiestnik całą noc i dzień pracował wraz z poddanymi. Później przeszedł się po ulicach, oceniając szkody, podtrzymując na duchu zgnębionych ludzi. Niektórzy pokładli się wreszcie spać, jedni w lochach, inni w ocalałych domach, a on stanął na wieży i spojrzął na swoje zniszczone miasto. Nie mógł powstrzymać łez, które spłynęły po usmolonych policzkach i wyłobiły w nich głębokie bruzdy.

Skromniejsza niż zwykle wieczerza spożywana w zamkowych komnatach ledwo zaspokoila głód. Jakby na przekór zmęczonym twarzom biesiadników i widokowi rozpościerającemu się na zewnątrz wieczorne słońce wydobywało łagodne błyski z haftowanych złotą nicią gobelinów, odbijało się w kielichach, tworząc obraz pełen niespotykanego wdzięku, spokoju i cichego piękna.

– Jeśli uważacie, że smoczy bękart opuścił wyspę, kto podpalił miasto? – spytał namiestnik, wysłuchawszy sprawozdania z wyprawy.

Albana zakręciła się na krześle.

– Jarik – szepnęła prawie niesłyszalnie.

Stear ostentacyjnie popukał się w czoło, Cal spojrzął osłupiały.

– Rzeczywiście gdzieś zniknął – powiedział – ale myślałem, że idzie przodem.

– To na pewno on – ciągnęła kobieta, czując, jak coś ściska ją za gardło. – Te słupy nad urwiskiem, ogień... Zdawało mi się wtedy, słyszałam... i w mieście też. Bursztyn to magiczny kamień, musiał wzmocnić jego Dar, ułatwił... To smok pokierował krokami Jarika.

– Co ty bredzisz? – zdenerwował się Garard.

Brian krótko opowiedział zajście nad skalnym ustępem. Calmin sposepniał, na nowo przeżywając zniszczenie jantarowych kolumn, Niedźwiedź z niedowierzaniem kręcił głową.

– Trzeba coś zrobić – gorączkował się Garard.
– Jemu nie można już pomóc! – krzyknęła z rozpaczą Albana. – Wzywałam go, próbowałam do niego dotrzeć... To już nie był Jarik, nie jego myśli, uczucia. A teraz jest tylko pustka.

– On cię kochał, służył jak pies, był na każde zawołanie, a ty zamiast go szukać... To wszystko przez ciebie! – rzucił jej w twarz młodzieniec.

Kobieta opuściła głowę. Długie, brudne włosy opadły jej na twarz, palce pieściły owal butelki ukrytej w pasie.

– To prawda – przytaknęła martwo. – Powinnam była go uczyć, może wtedy byłby silniejszy, potrafiłby się obronić.

– Nie zadręczaj się, dziecko. – Namiestnik położył dłoń na ramieniu córki i uściśnął mocno. – Nikt, nawet ty, nie mógł tego przewidzieć.

Garard poczerwieniał.

– Zawsze jej bronisz. Nikt inny już cię nie obchodzi!

– Zamilcz! – huknął urażony do żywego Falias. – Są ważniejsze sprawy niż jeden opętany przez smoka wyrostek.

– Racja – przyznał Osbern. – Co będziemy jedli, kiedy skończą się zapasy? Stada wyrżnięte, łodzie spalone.

– Na pewno jakieś ocalały. Przecież nie wszystkie stały w porcie – odezwał się Cal. Twarz miał ściągniętą, w szarych oczach widać było głęboki ból po stracie chłopca, którego kochał jak syna.

Namiestnik przeczesał palcami brodę.

– Osbernie, wyznacz paru ludzi, niech jutro z rana przeszukają wybrzeże i przyprowadzą każdą, choćby najmniejszą łupinę – polecił.

Doradca pokiwał głową i szarpnął za rękaw Gararda.

– Chodź, paniczu, pomożesz mi. Na frasunki najlepsza praca.

Młodzik wstał i podążył za Osbernem. Patrzący za nimi Stevarpierwszy raz poczuł sympatię do wyniosłego chłopaka. Jego zgnębiona mina i przygarbione plecy świadczyły, że naprawdę przejął się losem Jarika.

– Zapasów jest sporo, wystarczą do czasu zbudowania nowych łodzi – rozważał tymczasem Falias. – Jeśli bestia odleciała, jesteśmy bezpieczni.

– Bezpiecznie uwięzieni – mruknął Niedźwiedź, który wyrwany z zamyślenia usłyszał ostatnie słowa. – A jeśli smok wróci? Przecież ma tu leże.

– Nie wróci – zaprzeczyła Albana. – Poleciał na ląd szukać nowych ofiar.

Stevar potakiwał głową do rytmu wypowiedzianych przez nią słów.

– Może nas nękać przez wieki – podsumował ponuro. – Trzeba ostrzec ludzi, przygotować się do obrony.

– Musimy jak najszybciej dostać się na kontynent, to pewne. Czy udasz się z nami, panie? – spytał Cal. Namiestnik nie odpowiedział. Patrzył w okno na ostatnie promienie słońca, które zabarwiły niebo krwawą łuną. – Jesteś następcą Emausa, od ciebie zależy, czy sięgniesz po władzę – dokończył Jeździec.

– Mówisz mi o koronie, Calminie Fen... A co z wyspą, z ludźmi, którzy potrzebują mnie właśnie teraz? Mam ich zostawić na zgliszczach i walczyć o władzę z obłąkanym kapłanem? Bronić mieszkańców kraju, którego nigdy nie widziałem?

– Zebon pewnie już nie żyje. – Albana machnęła ręką. – A jeśli smoki na powrót opanują

Imeskarię, wyspa przestanie być bezpiecznym schronieniem. Musisz wyruszyć z nami, odzyskać tron, zebrać armię.

– Wojsko trzeba uzbroić, odziać i wyżywić. Choćbym sprzedał cały majątek, wszystkie kosztowności, pieniędzy nie starczy.

– To akurat niewielki problem – mruknął Calmin. – W smoczej jaskini znaleźliśmy bursztyn...

– Całą górę bursztynu – uzupełniła Albana. – A w siedzibie strażników widziałam zastawę z oszlifowanego jantaru. Jeden półmisek starczy na kupno broni dla całego garnizonu.

Stear odchrząknął niepewnie. Nie zamierzał się przyznawać, że cały ten ogromny skarb spoczywa w jego sakwach upchniętych pod siennikiem. Na szczęście czarownica nie zauważyła jego niewyraźnej miny i gorączkowo ciągnęła dalej:

– O dowódcę też nie musisz się martwić. Już wcześniej proponowano Calowi objęcie komendy nad wojskiem. Uwierz mi, ojcze, to nie będzie daremna wyprawa. Z jego pomocą obronisz Imeskarię i przywrócisz porządek. – W jej głosie zabrzmiał jakiś nowy ton, nuta, która nie pasowała do pełnych entuzjazmu słów. – Musisz to zrobić, musisz – nalegała.

– Zastanowię się – uciał namiestnik i podniósł się z krzesła. – Prześpijmy się, poczekajmy na wieści od Osberna.

Żołnierze wyszli. Albana ociągała się jeszcze. Obserwowała, jak Falias przeciera dłonią zaczerwienione oczy i wolno, niczym starzec przytłoczony brzemieniem lat, podąża do drzwi. Otworzyła je przed nim, ucałowała dłoń. Namiestnik wyciągnął rękę i dotknął jej spalonego słońcem policzka.

– Śpij dobrze, córeczko. I nie miej żalu do Gararda. Mocno się przywiązał do tego chłopca – uśmiechnął się ciepło.

– Tak, wiem. Powiedz mu, że rozumiem, że czuję to samo...

Uściskał ją jeszcze raz i wyszedł. Kobieta patrzyła, jak odchodzi, nasłuchiwała powolnych, ciężkich kroków. Dotknęła wilgotnego śladu na policzku, jakby chciała utrwalić go w pamięci, zachować na długo, a potem rozsłochała się gwałtownie, samotna w swej rozpacz.

Komnata, którą przeznaczono dla Cala i Albany, była ogromna. Wielkie łóżce z kolumnkami podtrzymującymi baldachim wyglądało niczym statek na błękitnym, przykurzonym kobiercu. Służba zadbała, żeby małżonkom niczego nie zabrakło. Przygotowała gorącą kąpiel, czyste, choć pachnące wilgocią koszule, postawiła na stole wino.

Mimo tych dawno niezaznanych luksusów Cal nie mógł zasnąć. Przed oczami miał ciągle bladą twarz Jarika, jego błagalny wzrok. Wyrzucał sobie, że nie pozwolił chłopcu na rozmowę z Albaną, zlekceważył zniknięcie. Skołatany umysł wciąż podsuwał mu nowe obrazy – zmierzwionej czupryny ze źdźbłami siana po noclegu w stogu, nieśmiałego uśmiechu, czupurności, z jaką spierał się ze Stevarem.

Rzucił się na łóżku, jęczał, chwilami zdawało mu się, że oszaleje z bólu i poczucia winy. Wtedy poczuł obejmujące go ramiona Albany. Teraz on potrzebował ukojenia i spokoju, ucieczki od dręczącego go koszmaru, więc przytulił ją z całych sił. Pieściła go, całowała, mruzczała słowa, które przynosiły ulgę i zapomnienie, poiła winem.

Leżeli tak spleceni w uścisku, wsłuchani w bicie swoich serc. Przez otwarte okno do wnętrza komnaty wdzierało się zimne morskie powietrze, wypierając zapach spalenizny. Cal poczuł, jak zmęczenie ulatuje, a ból przycicha. Obok niego leżała Albana. Jej skóra płonęła, jakby kobieta miała gorączkę. Pomyślał, że się przeziębi i wyciągnął rękę po piernat, żeby ją osłonić przed nocnym chłodem. Chciał wyciągnąć... Naprężył mięśnie, raz i jeszcze raz, ale

ciało nie słuchało nakazu umysłu. Był jak sparaliżowany. Zamiast słów skargi z jego ust wydobył się tylko zduszony jęk.

– Wybacz mi – usłyszał chrapliwy głos.

Poczuł muśnięcie włosów na policzku i tuż przed sobą ujrzał jarzące się w mroku niesamowite, zielone oczy.

– To tylko zioła zmieszane z winem, ich działanie minie rankiem. Musiałam to zrobić, inaczej mógłbyś mi przeszkodzić.

Szczupła dłoń powędrowała w stronę twarzy i pogłaskała nieogolone policzki.

– Och, Cal, tak bardzo cię kocham, ale nie mam już siły walczyć dłużej, nie mogę czekać... On mnie wzywa, wabi, kusi... Zawiodłam ciebie, ojca, Jarika. Jego najbardziej... Kochał mnie i ufał mi, a ja nic nie mogłam dla niego zrobić, nic. Może ten szalony strażnik miał rację i nie jestem nikim więcej, jak tylko smoczą dziwką, a znamię to nie talizman, ale przekleństwo, znak mojego losu.

Pocałowała go delikatnie. Wargi miała słone od łez. Potem zdjęła medalion i założyła mu na szyję.

– Tobie przypadnie dziedzictwo Emausa, będziesz jego godnym następcą. – Nagle roześmiała się histerycznie. – Te królewskie mrzonki mojego ojca... Wyobrażał sobie, że ja, wyklęta przez Kościół czarownica, zostanę władczynią Imeskarii. To dopiero byłoby widowisko... – Otarła twarz, wyprostowała się. – Zegnaj, Cal.

Na nagie ciało narzuciła płaszcz i ściskając w ręku butelkę ze smoczą krwią, wyszła. Przemknęła przez zamkowe korytarze, ominęła strażników i tuż przed wschodem słońca dotarła na osłoniętą skałami niewielką plażę.

Zrzuciła płaszcz, pozwalając, by wiatr ochłodził rozpalone ciało, odkorkowała flaszkę. Przez chwilę trzymała ją w dłoni, pokonując ostatnie bariery lęku i niepewności. Nie zjawił się nikt, kto mógłby ją powstrzymać. Wreszcie, rozdygotana, podniosła butelkę do ust i wypila gęstą zawartość.

– Stało się – szepnęła.

Czekała, czując już tylko strach. Napięcie było prawie namacalne. Świadomość nieodwracalności swego czynu niemal odebrała jej zmysły. Skupiła się na doznaniach, by nie pogrążyć się w szaleństwie.

Obca krew zmieszała się z jej własną, docierała powoli do serca. Krzyknęła, a ciałem targnął ból tak silny, że prawie umarła. Teraz zdawało się jej, że to, co przeżywała po ukłuciu zatrutą pieczęcią, było tylko namiastką cierpienia. Ciało rozpadało się na drobniutkie cząstki, a każdą z tych cząstek na wskroś przesycono bólem. Oślepla i ogłuchła, ale nie straciła świadomości, ciągle czuła.

Jej pełen niewysłowionego cierpienia krzyk słyszał każdy mieszkaniec wyspy. Dorośli budzili się ze snu przerażeni, instynktownie szukając broni. Dzieci płakały, bo nie znajdowały ukojenia w ramionach matek. Ocalałe po masakrze zwierzęta, owładnięte paniką, uciekały na oślep. Wydawało się, że świat oszalał.

Potem, nagle, ból przeistoczył się w siłę. Otwarte szeroko oczy widziały z nową ostrością, uszy łyły niesłyszalne dotąd dźwięki, rozdęte nozdrza wchłaniały zapachy, umysł rejestrował nieznane wrażenia: piach pod pazurzystą stopą, nocny chłód i wilgoć osiadłą na łuskach. Przyjemność z możliwości rozłożenia skrzydeł i powiew wiatru.

Wszystko się zmieniło.

Olbrzymia smoczyca postąpiła parę niezgrabnych kroków ku wodzie, zanurzyła w niej

łapy, wypróbowała skrzydła i wzbiła się w powietrze. Długie skórne wyrostki na jej głowie rozwiały się niczym złota grzywa. Tryumfalny ryk rozdarł nocną ciszę. Bestia zatoczyła kilka kręgów nad malutką z tej perspektywy wysepką, a potem skierowała się na wschód, wprost w kierunku wynurzającego się zza widnokregu słońca.

CZEŚĆ SIÓDMA:

WOJNA

Stear wpadł do sypialni Cala i Albany.

– Słyszeliście?! – wrzasnął. – Co to mogło być, u licha?

Nie doczekawszy się odpowiedzi, podszedł do łoża, potknął się o rozrzucone piernaty i wylądował na czworakach z rękami wspartymi o drewnianą ramę.

– Śpicie, czy co? – wycharczał wściekły.

W szarówce świtu dostrzegł wreszcie plamę nagiego ciała.

– A niech mnie. To ja tego... no, przyjdę później.

Gramolił się niezgrabnie, odwracając wzrok. Wtedy usłyszał jęk. Tak cichy, że ledwie słyszalny, ale przepelniony rozpaczą.

– Cal, Albana, wszystko w porządku? – spytał niepewnie.

Znow usłyszał ten głos, tym razem wyraźniej.

– Gdzie ta cholerna świeca? Co się tu dzieje?!

Macając rękoma jak ślepiec, trafił na lichtarz. Skrzesał ognia i oświetlił łoże.

Nagi Calmin wyglądał dziwnie bezbronne, niczym nowo narodzone dziecko. Albany nie było widać, więc zakłopotany Niedźwiedź podszedł bliżej.

– Cal?

Otwarte oczy Jeźdźca patrzyły przytomnie, ale z gardła wydobył się tylko kolejny jęk. Stevar poczuł, jak coś dławi go w gardle, a wzdłuż kręgosłupa spływają lodowate kropelki potu.

Calmin najpierw poczuł nieznaczne mrowienie. Spróbował poruszyć ręką, a ta powoli, niechętnie drgnęła. Zanim Niedźwiedź zdążył wybiec, szukając pomocy, zatrzymał go niewyraźnym mamrotaniem. Potem z każdą chwilą było lepiej. Działanie paraliżującego narkotyku ustępowało.

Stear pomagał, jak umiał: masował sztywne mięśnie, ogrzewał zziębnięte ciało, sięgnął po wino...

– Niece – wybełkotał Calmin i niezgrabnym ruchem wytrącił mu kubek. Czerwony płyn splamił pościel, wsiąknął w poduszkę. W powietrzu rozszedł się mocny, ziołowy zapach.

Niedźwiedź zrozumiał. Jednym ruchem zmiotł gąsiorek ze stołu.

– Gdzie jest Albana? – spytał ciężko.

Ale nie doczekał się odpowiedzi. Cal siedział na łóżku ciągle wstrząsany dreszczami, z twarzą wykrzywioną w dziwnym, nienaturalnym grymasie.

– Ona to zrobiła... – Ze złością zaczął miażdżyć rozrzucone po podłodze skorupy. – To suka, zdradziła nas.

– Milcz. Nic nie wiesz, nie rozumiesz. – Choć Jeździec ciągle miał trudności z mówieniem, jego słowa zabrzmiały twardo i rozkazująco.

– Czyś ty rozum postradał? Jeszcze jej bronisz?

– Nie rozumiesz... – powtórzył uparcie Calmin.

– Więc wytłumacz mi, do cholery! – wrzasnął Stevar, nie panując nad wściekłością.

Fen opuścił głowę i wstał, czepiając się kolumn łoża.

– Pomóż mi się ubrać, a potem idź do namiestnika i czekaj tam na mnie. Niech Garard też przyjdzie.

Cał krążył wokół zamku, aż w końcu trafił do małej zatoczki. Na piasku, częściowo zatarte przez falę przyboju, widniały potężne ślady zakończonych pazurami łap. Niedaleko leżała pusta flaszka, z resztkami zakrzepłej cieczy na dnie. Nadzieja, którą wbrew rozsądkowi żywił Jeździec, zgasła. Opadł na kolana, ale łzy nie chciały płynąć, a przepelniająca go rozpacz musiała znaleźć ujście. Rękoma zaczął grzmocić piach, żeby zatrzeć nienawistne tropy, wrzeszczał niczym szalenię, przeklinał, a później już tylko leżał obmywany przez fale. Wreszcie podniósł się i chwiejnie ruszył z powrotem.

Kiedy stanął na progu komnaty namiestnika, wyglądał jak upiór. Twarz miał siną, bezkrwiste wargi, włosy i ubranie mokre, powalane piaskiem. Rzucił na stół butelkę po smoczej krwi. Potem zaczął mówić. Opowiadał o rozpadających się ciałach w podziemnej krypcie Celebonu, oczach z gadzimi źrenicami, skórze złotej niczym miedź, snach, nieustającym pragnieniu. O walce, jaką staczała codziennie jego żona, by zachować człowieczeństwo.

Falias słuchał z twarzą ukrytą w dłoniach, Stevar siedział nieporuszony, ale gniew w jego oczach topniał powoli.

– To moja wina – odezwał się niespodziewanie Garard. Twarz miał purpurową ze wstydu.
– Ja ją do tego popchnąłem.

– Nie – zaprzeczył Jeździec, któremu ta spowiedź pozwoliła uporządkować nieco myśli, opanować emocje. – Powiedziałeś to, co myśleli wszyscy, co ja sam czułem. Miałem do niej żal, że tak łatwo pogodziła się z odejściem Jarika, że nie zamierza nic zrobić.

– To prawda, synu – odezwał się namiestnik. – Albana prosiła, bym ci powiedział, że rozumie... – głos mu się załamał i znów zapadła cisza.

– Ale przecież – zaczął po chwili Stevar – ona wierzyła, że po przemianie będzie zdolna pokonać bestię. Może tak właśnie się stanie.

– Smocza krew była jednako zwycięstwem i klęską Obdarowanych – powiedział głucho Falias. – Dzięki niej zawarto pokój, prawda. Ale ci, którzy zmienili postać, okazali się równie straszni, jak prawdziwe smoki. Nie panowali nad sobą, mordowali tak samo bezwzględnie, a najgorsze, że zachowywali część swoich dawnych wspomnień. Ich ataki były przemyślane i w pewien sposób tak ludzkie, że trudniej było z nimi walczyć. Dlatego Forsyth nakazał zniszczyć ten specyfik i samych Obdarowanych. Pomiędzy nimi byli szaleńcy podobni do tego kapłana, Zebona. Marzyła im się władza nad światem... Ta straszna rzeź uchroniła Imeskarię przed zarazą może stokroć gorszą niż smoki.

– Więc nie ma nadziei?

– Kiedy Albana i ten smoczy pomiot złączą siły, zaatakują Imeskarię. A ja będę musiał wystąpić przeciwko własnej córce. – Wstał i podszedł do okna. – Idźcie stąd. Zostawcie mnie.

Wstawali przytłoczeni tragedią. Garard przystanął, ale Falias odgonił go jak natrętą muchę. Stevar cofnął się w ukłonie. Cał wyszedł jako ostatni.

– Wyruszymy, jak tylko Osbern przyprowadzi łodzie – szepnął za nim chrapliwie namiestnik. – A ty dopilnuj, żeby nikt się nie dowiedział o Albanie. Gdyby pytali, powiedz, że szuka tego chłopca...

Kiedy kilka dni później flotylla rybackich łodzi wypłynęła z Wyspy Mgieł w kierunku Moint, niedaleko skalistej wysepki natknęła się na dryfującą z prądem łódkę. Tłoczący się na pokładach żołnierze dostrzegli drobną sylwetkę żeglarza. Był to martwy Jarik.

...leżał na stopniach wiodących do świątyni. Czuł w trzewiach potworny ból, jakby skrytobójczy pocisk przeszył go na wylot. Wszystkie wspomagane Darem siły skupił na kolejnym oddechu, na zmuszeniu serca do następnego uderzania. Ale wzrok przesłaniała mu purpurowa mgła, palce traciły czucie, krew płynęła ustami. Umierał...

Zebon wrzasnął i usiadł na posłaniu. Drżał. Czuwający dzień i noc akolici otoczyli łożę. Płomyki palących się całą dobę świec zachybotwały poruszone wieloma oddechami.

– Nie! Odejdźcie, zostawcie mnie – krzyknął falsetem protektor i skulił się ze strachu, przekonany, że pochylają się nad nim mordercy.

Mężczyźni odsunęli się posłusznie. Kapłan wodził za nimi przerażonym, rozbieganym spojrzeniem. Kiedy medyk podsunął mu kubek, chciwie zanurzył w nim wargi i niespodziewanie wypluł wodę, bryzgając śliną.

– Precz! Chcecie mnie otruć, zabić! Ale ja się nie poddam, bóg jest ze mną! Strzegą mnie jego Oblicza – wrzeszczał histerycznie. A potem nagle zmienił ton. – Tylko wy mi zostaliście, tylko na was mogę liczyć. Błogosławię wam w imieniu boga. Zabijcie ich, zniszczcie... – mamrotał coraz bardziej niewyraźnie, aż wreszcie opadł na poduszki i zasnął.

Medyk z powrotem przycupnął w kącie i przymknął oczy, znużony i coraz bardziej przerażony. Wiedział, że Najwyższy Kapłan pogrąża się w szaleństwie.

Przez kilka dni po zamachu, kiedy jego dostojnego pacjenta dzielił od śmierci zaledwie malutki krok, walczył z całych sił, żeby utrzymać go przy życiu. Nie było to łatwe. Organizm Zebona był wyniszczony, słaby, co Claren przypisywał ascezie i przemęczeniu. Dlatego gdy niebezpieczeństwo minęło, rekonwalescencja przebiegała bardzo powoli. Z czasem ciało z wolna odzyskiwało siły, a mimo to Zebon nie podnosił się z łóżka. Chwilami leżał spokojnie, cierpliwie znosząc opatrywanie gojącej się rany, ale bywało, że rzucał się na Clarena, szarpał bandażę, skowytał jak zwierzę. Szlochając, mówił o porzuceniu urzędu, zamknięciu się w pustelni i spędzeniu reszty życia w samotności albo znów wrzeszczał o zemście i kłął najgorszymi słowami. Na niespokojne pytania odwiedzających medyk odpowiadał niezmiennie, że to zwykła reakcja po szoku, jakiego doświadczył Jego Dostojność, ale powoli sam przestawał w to wierzyć. Każdy dzień, każda niespokojna noc coraz bardziej utwierdzały go w przekonaniu, że protektor stracił rozum.

Zebon nie mógł już dłużej znieść udręki, która szarpała jego wnętrzościami. Była tak wielka, że zagłuszyła nawet strach. Dlatego odprawił strażników, pozbył się Clarena i korzystając z tajemnego przejścia, zszedł do podziemi. W miarę jak pokonywał nierówne stopnie i zakurzone korytarze, narastało w nim przerażenie. Był pewien, że za każdym załomem, w każdej niszy czai się morderca. Gdy dobrnął wreszcie do ukrytej komnaty, opadł bezsilny na stojące w rogu łożę i nakrył się skórą po czubek głowy. Leżał tak bardzo długo, wstrząsany dreszczami, niezdolny uczynić choćby jednego gestu. Wreszcie wstał i opierając się rękami o ścianę, dobrnął do biurka. Porwał wypchaną ziołami sakiewkę, część skruszonych łądyg wsypał do kadzielnicy, a resztę wepchnął za pazuchę. Kiedy podpalał mieszanekę, dłonie drżały mu niczym w gorączce. Niecierpliwie rozdmuchał żar, a potem nagle stłumił. Otoczyły go kłęby dymu i po chwili świat zawirował kolorami. Jednak zamiast wizji wielkości i chwały na nowo zaczął przeżywać koszmar zamachu.

Uciekł z podziemi, ledwie powstrzymując krzyk. Rzucił się na łożo i histerycznie zaczął wzywać akolitów, a szara gwardia posłusznie zajęła miejsca przy drzwiach i oknie, gotowa oddać życie za pogrążonego w narkotycznym otępieniu szaleńca.

Benektus, Kattes i Brendan, wraz z innymi członkami Rady, debatowali nad bieżącymi sprawami. Zwykle milczący Benektus płomiennie przekonywał zebranych, by jak najszybciej zwiększyć liczebność armii, czym wprowadził w zdumienie samego marszałka. Nigdy wcześniej nie zdarzyło się, by Wielki Koniuszy z takim uporem forsował swoje stanowisko. Jednak ani na tym, ani na poprzednim spotkaniu nie zapadła żadna wiążąca decyzja. Nie mogła zapaść, bo brakowało Jego Dostojności Zebona, który musiał ją zatwierdzić.

Każdy z siedzących w skrytości ducha zastanawiał się, czy protektor będzie w stanie podjąć obowiązki, ale milczał, żeby nie zostać posądzonym o niełojalność.

Widząc daremność swych wysiłków, Benektus wstał i zgarnął ze stołu plik dokumentów wymagających podpisu Najwyższego Kapłana, w tym rozkaz nowego zaciągu.

– Myślę, że czas odwiedzić dostojnego chorego – powiedział, gryząc wąsy. – Wasza wielebność pójdzie ze mną?

Brendan zawahał się chwilę.

– Najwyższy Zebon z pewnością doceni troskę – zdecydował wreszcie, odymając wargi. – Kiedy chcesz iść?

– Zaraz. Są sprawy, które nie mogą czekać – odrzekł koniuszy i skłoniwszy się, ruszył do wyjścia. Za nim podążył sapiący Brendan.

Marszałek Kattes przejechał dłonią po krótko ściętych włosach. Niezwyczajne zachowanie Benektusa budziło jego niepokój. Nie miał dotąd okazji, żeby spokojnie porozmawiać z koniuszym, bo rozwścieczeni akolici pilnie obserwowali wszystkich mieszkańców zamku, węsząc zdradę. Niepomyślne wieści o śmierci Jastrzębia, które półgębkiem przekazał Benektus, błądły w obliczu zamachu na życie protektora. Kattes co dzień modlił się żarliwie, żeby Zebon zakończył wreszcie swój nędzny żywot i każda pomyślna nowina o poprawie jego zdrowia sprawiała, że tracił wiarę w boską sprawiedliwość. Obserwując wychodzącego ze stosem kart Benektusa, marszałek obiecał sobie, że znajdzie sposób, by mogli się wreszcie porozumieć.

Brendan długo i kwiecicie przemawiał do strażników, nim ci zdecydowali się naruszyć spokój Jego Dostojności.

W pokoju panował półmrok, bo okna zostały zasłonięte, a świece pogaszone. Jedynym źródłem światła było żarzące się kadzidło wydzielające ciężki, ziołowy zapach. Od tego aromatu gościom zakręciło się w głowach, dlatego na uginających się nogach podszli do łoża, na którym spoczywał Najwyższy Kapłan Imeskarii.

Zebon siedział wsparty na olbrzymich poduchach. Jego naga czaszka perliła się potem, a oczy błyskały niespokojnie, jakby nie potrafiły skupić się na jednym punkcie. Szponiaste palce szarpały brzeg okrycia.

– Najwyższy – przemówił Brendan pochylony w niskim ukłonie. – Cieszy nas, że widzimy cię w dobrym zdrowiu. Nasze modlitwy do Boga o Wielu Obliczach zostały wysłuchane.

– Czego chcecie? – spytał obcesowo Zebon. Mówił jak zwykle szeptem, a ciężki świszczący oddech sprawił, że słowa przypominały syk.

– Wybacz, że zakłócamy twój odpoczynek, Wasza Dostojność, ale są pilne sprawy

państwowe – włączył się Benektus.

Protektor skinął dłonią i koniuszy podał mu papiery. Kapłan ledwo rzucił na nie okiem.

– To brednie niewarte mojej uwagi – powiedział, mnąc karty. – Po co tu naprawdę przyszliście? Sprawdzić, czy ciągle żyję?

– Wszyscy troszczymy się o twoje zdrowie, Wasza Dostojność – zapewnił pospiesznie Brendan.

– Tak bardzo, że zaplanowaliście moją śmierć! – wybuchnął protektor.

– To był przypadek. Ludzie cię poważają, wielbią – przypochlebiał się gruby kapłan.

– Kłamiesz! – upiorny syk przeszedł w histeryczny wrzask. – To był spisek! Otaczają mnie mordercy i renegaci! Nikomu nie mogę już ufać, nikomu. – Zmierzył ich podejrzliwym spojrzeniem i skinął na trwających niewzruszenie przy łożu akolitów. – Obszukajcie ich!

– Ależ Wasza Dostojność – zaprotestował Benektus, z przerażeniem patrząc na rozbiegane oczy kapłana.

– Obszukać ich, powiedziałem! – ryknął ponownie Zebon.

Sprawne ręce mnichów przesunęły się po habicie Brendana, a potem zaczęły gmerać w szatach koniuszego. Natrafiły na mały sztylet z ozdobną rękojeścią, który Benektus zawsze nosił przypięty do pasa.

– Wiedziałem! – ryknął Zebon. – To spisek. Za pierwszym razem wam się nie udało i dziś postanowiliście spróbować znowu. Zabrać ich, wtrącić do lochu, zakuć w łańcuchy! Osobiście ich przesłucham, ja...

Nagły atak kaszlu nie pozwolił mu skończyć. Claren podbiegł do łoża i podsunął kapłanowi kubek z leczniczym napojem. Zebon upił łyk i otarł usta.

– Do lochu z nimi – powtórzył chrapliwie.

Złotołuska smoczyca podążała w stronę gór, śladem tak wyraźnym, jakby ktoś pozostawił go właśnie dla niej.

Leciała ponad chmurami, pławiąc się w słońcu. Upajała się poczuciem siły i wolności.

Poznała już smak świeżego mięsa. Niemal seksualną przyjemność sprawiło jej zaciśnięcie potężnych szczęk na bydlęcym karku, posmakowanie ciepłej, parującej krwi, rozszarpywanie drgającego ciała. Jednak nie mogła pozwolić, by jej obecność odkryto za wcześnie, czuła, że powinna się spieszyć. Coś ciągnęło ją na północ, odbierała ten zew każdą cząsteczką ciała.

Wylądowała wreszcie na skalnej platformie wysoko między szczytami. Chropowate kamienie były nagrzane od słońca, ale od ośnieżonych wierzchołków ciągnęło chłodem. Smoczyca ułożyła się wygodnie, zwijając się niczym kotka, przymknęła zielone ślepia i rozpoczęła czuwanie.

Słońce nie zdążyło jeszcze skryć się za górami, kiedy poczuła jego obecność.

Najpierw był tylko cieniem na niebie, ale zbliżał się szybko, nabierał kształtów. Złotołuska uniosła się na pazurzystych łapach i wydała powitalny okrzyk, który odbił się głuchym echem pośród skał. Przybysz odpowiedział jej równie potężnie. Zniżył lot i opadł miękko obok.

Smoczyca obserwowała go pilnie. Był wspaniały, mocny. Czarne łuski skrzyły się w słońcu delikatną zieloną poświatą, w bardzo ciemnych ślepiach prawie nie było widać pionowych źrenic. Samczy zapach podrażnił jej wrażliwe nozdrza, spowodował, że czuła mrowienie w całym ciele, od pazurów aż po koniec ogona.

Wielki smok wyciągnął łeb i rozdał chrapy, a potem zaczął ją okręzać. Złotołuska obracała się dookoła, nie spuszczając go z oczu. Jego ruch był szybszy niż jej reakcja. Przydusił ją do

skąły, nie bacząc, że pazurami orze złote łuski i z rykiem tryumfu wszedł w jej ciało. Potem wzbił się w powietrze, kołując nad skałami.

Rozłożyła skrzydła i bez wahania poleciała za nim.

Dolid kończył porządkowanie ksiąg przed zamknięciem biblioteki. Niespodziewanie do środka weszło dwoje ludzi. Drobną figurką kobiety wydawała się niknąć pomiędzy wysokimi, pełnymi papierzysk półkami. Stojący u jej boku mężczyzna również wydawał się zagubiony.

– Czego sobie życzycie? – spytał bibliotekarz, zdumiony powagą malującą się na ich twarzach.

Lavalla wysunęła się naprzód i splotła dłonie, nie zdołała jednak ukryć ich drżenia.

– Musimy porozmawiać – szepnęła.

– Przejdźmy obok – zaproponował ogarnięty nagle złym przecuciem Dolid.

– Nie, nie ma czasu, posłuchaj mnie. Dzieje się coś złego. Boję się, Dolidzie. Coś nadchodzi, jest już blisko. Musimy uciekać, dziś, teraz.

– I ja tak czuję – włączył się Eric. – Uchodźmy jak najszybciej.

Bibliotekarzowi ze strachu ścierpła skóra. Takich ostrzeżeń niewolno było lekceważyć, nie tu, nie od tych ludzi. Jego namysł nie trwał dłużej niż oddech.

– Księgi? – spytał, rozglądając się po szafach i półkach.

– Nie ma czasu.

– Uderzcie na alarm. Opuszczamy Ostatnią Twierdzę.

Kilkanaście rybackich łodzi wylądowało na plaży w pobliżu Moint. Królewski namiestnik przybył, aby objąć we władanie swoją dziedzinę.

Falias postąpił parę kroków, wziął w dłonie garść piasku i przesypał między palcami. Zamiast radości czuł tylko ogromne znużenie. Przytłaczała go odpowiedzialność, strach przed nieuchronnym smoczym atakiem, ból po stracie córki. Towarzyszący mu gwardziści rozglądali się, ciekawi nowego świata.

Calmin, Stevar i Antar ruszyli do miasta. Dzięki licznym znajomościom rybaka szybko zaopatrzyli się w prowiant, naręcze zużytej chłopskiej odzieży i konie. W mieście znaleźli ich ledwie czternaście, w tym sześć własnych, pozostawionych przed wyruszeniem w morze. Pożegnali potem Antara, który hojnie wynagrodzony za odwagę i stratę łodzi pozostawionej na Wyspie Mgieł, zdecydował się zakończyć swoją przygodę. Dźwigany w sakwach bursztyn mógł wystarczyć na dostatnie życie dla niego i kilku przyszłych pokoleń.

Ukryci pomiędzy sosnami żołnierze Faliasa czuli się rozczarowani nową rzeczywistością. Łąd nie różnił się wiele od ich rodzinnej wyspy, jak okiem sięgnąć rozciągały się takie same piaszczyste plaże i zarośla, brakowało tylko gór na horyzoncie. Nie pozwolono im zajść do miasta, którego byli nadzwyczajnie ciekawi. Tkwili więc w rzadkim iglastym lesie, gryząc suszone mięso z namiestnikowych zapasów, przepijając wodą z bukłaków. Brian i Dough krążyli wokół i pilnowali, by nikt nie oddalił się od obozu, a przy wieczornym ognisku opowiadali o czasie spędzonym na Rubieżach w pogoni za bandytami. Snuli te historie nie bez przyczyny. Uważali, że powinni przygotować niedoświadczonych żołnierzy do służby pod dowództwem kapitana Fena i wzbudzić odpowiedni przed nim respekt.

Wiatr szumiał w koronach drzew, igliwie szeleściło pod stopami, w powietrzu unosił się zapach żywicy i soli. Lato przemijało. Choć dni były jeszcze ciepłe, wieczorami zimny wiatr

przenikał do szpiku kości.

Cal i Stevar siedzieli razem z namiestnikiem na zwałonym, obłazącym z kory pniu, grzejąc zziębnięte dłonie nad ogniem. Pomiędzy nimi leżała kolorowa mapa, prezent od gubernatora Rubieży.

– Powinniśmy jak najszybciej dotrzeć do Loenu – odezwał się Falias, patrząc na pogniecioną kartę. – Jeśli uda się korzystnie sprzedać jantar, będzie dość pieniędzy, żeby natychmiast zaciągnąć wojsko i przygotować się do obrony.

– Protektor jest bardzo przywiązany do urzędu, który zagarnął – skrzywił się Calmin. – Widok królewskiego pierścienia nie wystarczy, żeby ustąpił.

– Mam ze sobą dokumenty z archiwum Kylana. Nikt nie może kwestionować mojego prawa do korony.

– Albana twierdziła, że Zebon nie żyje – przypomniał Stevar.

– Być może. Ale pewności nie mamy. Dobrze byłoby porozumieć się wpierw z Benektusem i marszałkiem Kattesem. Oni mogliby przejąć władzę w twoim imieniu, panie – rozważał Calmin.

– Szkopuł w tym, że nie mamy czasu na takie rozgrywki. Loen jest daleko, a smoki mogą uderzyć w każdej chwili.

– Nie zaatakowały jak dotąd – wtrącił się znów Niedźwiedź.

– Moint to zapadła dziura. Nikt tu nie wie, co się dzieje naprawdę, może prócz mnichów w klasztorach. Ale nie pójdę tam spytać, czy przypadkiem Jego Dostojności nie trafił szlag albo czy Imeskarię atakują smoki. Bestie mogły napaść na Rubieże, mogły się rozdzielić i zaatakować kilka miast jednocześnie. A jeśli ona pamięta... Jeśli pamięta... – Sucha gałązka trzasnęła w rękach Cala.

Maska opanowania na moment opadła z nieruchomej twarzy Jeźdźca. Stevar odwrócił wzrok. Nie mógł patrzeć na udrękę przyjaciela. Falias przygryzł wargi, żal ścisnął mu serce. Och córko, coś ty zrobiła sobie, temu Jeźdźcowi, mnie i tej nieszczęsnej ziemi, którą mogłaś władać, pomyślał z bólem.

– Co na jej miejscu wybrałbyś jako pierwszy cel? – spytał ciężko.

Calmin zastanawiał się ledwo chwilę.

– Górską twierdzę, kryjówkę tych Obdarowanych. Wie, gdzie to jest, mieszkała tam. Ale to za daleko, żeby ich ostrzec. Muszą obronić się sami.

– Więc pozostaje nam Loen – orzekł Falias, znów patrząc na mapę.

– Taak – przytaknął Jeździec – jednak nie od razu. Patrzcie.

Nachylił się nad rysunkiem i zaczął pokazywać złamaną gałązką.

– Jesteśmy tu. Najkrótsza droga do stolicy to ta, którą przybyliśmy, wzdłuż wybrzeża do Noctural, a potem przez las starym traktem. Ale możemy jechać też inaczej, tędy, przez Dardall.

– To o wiele dłuższy szlak.

– Dardall to centrum prowincji Sansed, a jej gubernator słał do mnie listy z prośbą o pomoc. To świadczy, że nie do końca popiera Zebona. Gdyby udało się go przekonać do naszych racji, może nam pomóc dotrzeć do innych. I będzie miał szansę przygotować miasto do obrony. Po drodze jest jeszcze Blase i Norvik. Równocześnie trzeba by wysłać posłańca na Równiny, żeby uprzedził Jeźdźców. Valdal zdaje sobie sprawę z tego, co się święci i też powinien do nas dołączyć. Szkoda, że na Rubieże jest tak daleko... Potem goniec powinien jechać do Loenu i skontaktować się ze spiskowcami, Benektusem albo Kattesem.

– A jeżeli ten kapłan rzeczywiście nie żyje? Stracimy tyle dni na próżno.

Calmin wzruszył ramionami.

– Tak czy inaczej, ryzykujemy. Jeśli ruszymy na Loen, wojsko może nas zmieść jednym atakiem, zanim zdążymy się opowiedzieć. Przecież nie mamy pojęcia, kto mógł przejąć władzę po Zebonie.

– Więc Dardall. Najważniejsze to ostrzec ludzi i przygotować się do wojny. Tron może poczekać – zdecydował namiestnik. – Kto będzie posłańcem?

– Stevar, oczywiście.

– Mowy nie ma – warknął Niedźwiedź.

– Pojedziesz, przyjacielu – powtórzył Cal, kładąc mu rękę na ramieniu. – Valdał cię zna, tak samo Benektus i żołnierze.

– Niech jedzie Brian albo Dough...

– Pojedziesz, Stevar – włączył się namiestnik. – Fen ma rację, jesteś odpowiednim człowiekiem.

Niedźwiedź, któremu przerwano w pół słowa, zdobył się tylko na krótkie i gniewne:

– Tak jest – po czym odszedł obrażony na cały świat. – Królewskie pociotki, psia jego mać – mrucał do siebie. – Jeden gorszy od drugiego. Stevar, zostań, Stevar, jedź. – Skrzywił się, przedrzeźniając ton namiestnika. – Dobrze chociaż, że ten nadęty gówniarz został w domu.

Po noclegu na plaży i uzupełnieniu zapasów wyspiarskie łodzie wypłynęły z powrotem w morze, pozostawiając pięćdziesięciu gwardzistów. Armie, która miała ocalić świat.

Garard podjął decyzję w tej samej chwili, w której namiestnik oznajmił stanowczo, że powinien zostać w domu. Żegnając się z ojcem, miał już gotowy plan.

Falias, rozstając się z synem, odetchnął z ulgą. Spodziewał się protestów i dąsów, a nie roziskrzonych oczu i rumieńców na policzkach. Cieszy się, że będzie rządził sam, pomyślał. Wydorósł wreszcie, spoważniał. Mam nadzieję, że go jeszcze zobaczę.

Jednak młodzieniec wcale nie zamierzał czekać posłusznie na powrót ojcowskiej ekspedycji. Miotany żalem za przygodą, która miała go ominąć, i jednocześnie poczuciem winy wobec siostry, postanowił działać. Przede wszystkim chciał odszukać Jarika. Pamiętał, co mówiła Albana, ale nie potrafił uwierzyć, że chłopak umarł, nie było na to żadnych dowodów. Marzyły mu się przy tym bohaterские czyny i mrozące krew w żyłach awantury. Choć nigdy nie powiedział tego głośno, imponował mu Calmin Fen, jego pełna godności postawa, pewność siebie i charyzma. Choć z urodzenia Jeździec był nikiem więcej jak tylko końskim pastuchem, żołnierze poważali go i bez szemrania słuchali rozkazów. Garard wojennymi przygodami chciał sobie zasłużyć na równy szacunek.

Ledwie flotylla statków zniknęła mu z oczu, poprosił o rozmowę doradcę namiestnika.

– Osbernie – zaczął poważnie, usadowiony na wysokim ojcowskim krześle. – Chciałbym wyruszyć na obchód wyspy. Zapasów mamy na razie dość, ale nie wystarczą przecież na wieki, a budowa nowych łodzi potrwa. Trzeba sprawdzić, co ocalało, ocenić straty, przydzielić pomoc najbardziej potrzebującym.

– To bardzo rozsądny plan, panie – stwierdził zaskoczony doradca. – Ale ty powinieneś zostać tutaj. Niech inni się tym zajmą.

Garard odetchnął głęboko i pomyślał: no, a teraz najtrudniejsze...

– Widzisz, Osbernie – powiedział. – Ja się czuję niepotrzebny. Ojciec wyruszył na wojnę, a tu, tak naprawdę, rządzisz ty. Bardzo chciałbym zrobić coś pożytecznego.

Doradca zamyślił się. Propozycja była sensowna, a motywy, które przedstawił młodzieniec, ze wszech miar wiarygodne. Dlatego skinął głową na zgodę.

– Dobrze. Przydzielę ci pisarza i kilku gwardzistów do ochrony. Kiedy chcesz wyruszyć?

– Choćby zaraz! – krzyknął Garard, tracąc powagę. – To znaczy jutro rano, jak najwcześniej – poprawił się.

Osbern uśmiechnął się pod wąsem.

Kiedy za doradcą zamknęły się drzwi, chłopak zerwał się z krzesła i podskoczył wysoko.

– Udało się – zanucił radośnie. – Dał się nabrać, hura, hura!

Niewielka drużyna pod wodzą namiestnikowego syna przemierzała wyspę szlakiem, którym przybył Calmin ze swymi ludźmi. Z każdym krokiem postawionym na kamienistym gościńcu naiwny zapal Gararda zmieniał się w nienawiść. Wcześniej miał się za doświadczonego zwiadowcę, którego nic nie jest w stanie zaskoczyć, lecz rozkładające się smocze ścierwo było niczym wobec tragedii, jaka rozegrała się tu, w środku lądu. Patrząc na zmasakrowane trupy i zniszczone wioski, chłopak bezustannie walczył z mdłościami. Towarzyszący mu gwardziści byli równie przygnębieni. Takiego pogromu nikt się nie spodziewał.

Parę dni później zgnębiony, utrudzony i głodny – bo Garard nadzwyczaj skąpo wydzielał zapasy – oddział dotarł do krańca wyspy i zatrzymał się nad tą samą rzeczką, gdzie kilkanaście dni wcześniej obozowała drużyna Jastrzębia. Zmęczeni żołnierze pokładli się w cieniu rachitycznych drzewek. Młody panicz tymczasem minął ruiny osady i zszedł na plażę.

Łódź Antara leżała przechylona na bok, ledwo odciągnięta od fali przyboju. Ze wstrzymanym oddechem chłopak obejrzał maszt ze zwiniętym żaglem, ster, sprawdził wiosła. Według jego oceny, a pływał przecież od dziecka, wszystko było w porządku i łódka nadawała się do żeglugi.

Zaniepokojeni długą nieobecnością dowódcy, gwardziści niechętnie wstali z trawy i powlekli się do wsi, a potem na brzeg morza. Garard, który układając swe plany opuszczenia wyspy, nie myślał o towarzystwie, spojrzawszy na znajome, szczerze twarze ziomków, nagle zmienił zdanie.

– Znalazłem łódź – oznajmił trochę nerwowo. – Chcę wyruszyć na ląd, żeby walczyć jak mój ojciec. Popłyniecie ze mną?

Myśli gwardzistów pobiegły niemal tym samym torem. Co mamy do roboty na tej wyspie śmierci, zapytywali sami siebie. Kto pomści tych zamordowanych ludzi? I kto zajmie się tym zuchwałym młodzikiem, którego Osbern kazał im pilnować za cenę życia? Tak. Chcieli płynąć i walczyć, jak ci, którzy wyruszyli z namiestnikiem. Pokiwali głowami, a Garardowi nagle zrobiło się lżej na sercu.

– Łódź jest duża, zmieścimy się wszyscy, ale ktoś musi zostać, żeby powiadomić Osberna i moją matkę – powiedział rozsądnie.

– Może pisarz?

Brodaty mężczyzna, który całe życie spędził w portowych magazynach, trudząc się nad księgami, odetchnął ze skrytą ulgą. On jeden nie palił się do szalonej wyprawy.

Garard uśmiechnął się radośnie.

– Zapasów mamy niewiele, ale przy odrobinie szczęścia wystarczą. Idźcie tylko napełnić bukłaki i możemy ruszać.

Wieczorem pięcioosobowa załoga wypłynęła w morze, kierując się wprost na wschód.

Dwanaście potężnych, łuskowatych ciał spoczywało w górskiej jaskini. Wydawały się martwe. Z nozdrzy nie wydobywał się oddech, ślepia były zamknięte. Jednak od czasu do czasu dało się zauważyć jakiś nieznaczny ruch, drgnienie ogona, skurcz potężnej łapy. W ciągu ostatnich miesięcy takich ruchów było jakby więcej. Głęboki letarg powoli zamieniał się w sen. Teraz brakowało już tylko jednego impulsu, który wytrąciłby smoki z głębi niebytu.

I taki impuls wreszcie nadszedł.

Potężny ryk wstrząsnął górami, wdarł się do skalnych korytarzy, potężniał. Wrażliwe smocze uszy łowiły go chciwie, przyjmowały w siebie, czując, jak ożywia ich wspomnienia, daje siłę. Ciężkie powieki uniosły się, serca zaczęły pompować krew, rozprostowywały się zdrętwiałe mięśnie, oddech oczyszczał płuca. Wreszcie były gotowe. Jeden po drugim przeciskały się przez korytarze, rozpościerały błoniaste skrzydła i wzbijały się w powietrze. Barwne łuski migotały w słońcu, kiedy otoczyły kręgiem oczekującą ich parę.

Złotołuska trzymała się blisko swego towarzysza. Odczuwała potężne fale energii, które wysyłał przebudzonym. Ich ślepia z każdym okrążeniem nabierały blasku, skrzydła poruszały się szybciej i prężniej, jakby czerpały siły ze źródła. Wtedy i ona włączyła się do rytuału, lecz to nie siła była jej atrybutem. Dzieliła się mocą, wspomnieniami, nienawiścią, którą nagromadziła w dawnym życiu.

Wreszcie obrzęd dobiegł końca. Smoczy Pakt wypełnił się.

Bestie przestały kołować. Czarny smok, a za nim złota smoczyca skierowały się ku wschodowi. Pozostałe podążyły za nimi.

Ostatnia Twierdza pławiła się w słońcu, jej majestatyczna szara bryła stapiała się w jedno ze skałami. Ścięte przymrozkiem kwiaty na tle pożółkłej trawy wyglądały jak wyblakły kobierzec. Zbite w ciasną gromadę owce skubały przemarznięte źdźbła.

Błękitne niebo nagle pociemniało. Po górach przetoczył się grzmot. Zwierzęta rozbiegły się w popłochu.

Czternaście potężnych bestii rozpoczęło atak. Smoczy strach poraził dolinę Ostatniej Twierdzy. Ognisty oddech podpalił dach głównego budynku i drewniane szopy. Z trzaskiem pękały szyby, płonęły stogi.

Poczwały przysiadły na skałach, czekały.

Ale z budynków nie wybiegli oszaleli z przerażenia ludzie, nie słyhać było krzyków, nikt nie próbował ratować dobytku. Czarny smok nasłuchiwał i węszył, a potem z gardzieli wydarł mu się ryk tak potężny, że wywołał kamienną lawinę. Ryk wściekłości i zawodu.

Sfrunął ze skał i jak oszalały zaczął niszczyć to, czego nie strawiły płomienie. Kiedy nie zostało już nic, rzucił się na spanikowane zwierzęta. Pozostałe bestie poszły jego śladem. Bek mordowanych owiec zagłuszył trzask walących się budynków.

Złotołuska paliła i zabijała razem z innymi, a teraz patrzyła na zrujnowaną twierdzę, na spowitą dymem dolinę. W ułamku chwili poczuła coś jakby... żal?

Czarny smok przysiadł obok i ze złością ugryzł ją w szyję. Złota grzywa opadła jej na oczy, ciało rozpląszczyło się uległe na wypalanej trawie. Żal minął.

Obdarowani już drugi dzień podążali forsownym marszem w kierunku Mulacium. Spiesznie pokonali skaliste przedgórze i skryli się w cieniu lasu. Rewelacje, które przekazał im na pierwszym postoju Dolid, sprawiły, że drzewa przestały wydawać się solidną osłoną. Parli naprzód, żeby powiększyć dystans, każdą przebytą milą odgradzić się od niebezpieczeństwa.

Poruszanie się tak wielką gromadą nie było łatwe. Czarodzieje, którzy większość życia

spędzili w bezpiecznej dolinie, odwykli od świata zewnętrznego i niewygód podróżowania. Spasione konie z trudem lawirowały pomiędzy kamieniami na przedgórzu i gęstymi ostępami. Nie było ich wiele, dlatego niosły zebrane w pośpiechu bagaże, a ludzie szli pieszo. Szczęściem leżące w bliskości gór rejony Rubieży były słabo zaludnione – klimat panował tu bowiem ostry, lasów nikt nie karczował, a zbójcy nader chętnie lokowali swe kryjówki. Oddział Jastrzębia rozprawił się z bandami, lecz zła sława tych okolic pozostała.

Obdarowani jeszcze nie zdążyli oswoić się z wieściami o smoczym zagrożeniu, kiedy nagle, w środku słonecznego dnia, Lavalla oszalała. Dzięki Darowi odbierania emocji i uczuć jako pierwsza poczuła wszechogarniający strach, a potem nienawiść, którą emanowały bestie.

Zdawało się, że mała czarownica zniecka straciła rozum. Wiła się z bólu i przerażenia, szarpała na sobie odzienie, w zaciśniętych pięściach ścisnęła kosmyki wyrwanych włosów. Wrzeszczała dziko, a kiedy zabrakło jej tchu, bełkotała niezrozumiale. Z przegryzionego języka ciekła krew zmieszana ze śliną. Wytrzeszczone oczy nie potrafiły skupić się na jednym punkcie. Najgorsze było to, że Lav, nie panując nad sobą, przekazała targające nią emocje innym Obdarowanym. Spokojny dotąd pochód zamienił się w jarmark opętanych.

Dolid przyglądał się temu bezsilnie. Sam pozbawiony Daru nie uczestniczył w tym zbiorowym szaleństwie, ale też i nie umiał pomóc. Histeria skończyła się, gdy wyczerpana, oszalała kobieta straciła przytomność, a z nią wielu innych.

Godziny pozostałe do zmierzchu bibliotekarz i mniej poszkodowani poświęcili na cudenie zemdlonych i opatrywaniu ran.

Pośród wszystkich nieszczęśników najbardziej ucierpiała sama Lavalla. Jej umysł pograżył się w ciemnościach zatruty smoczą nienawiścią, ciało drgało bez przerwy, jakby w nieustającym ataku epilepsji. Oczy miała rozbiegane, ślina ciekła jej z ust, ubranie zalewały strużki niekontrolowanego moczu. Nie pozwalała się dotykać, rzucając się na każdego, kto podszedł zbyt blisko. Nie przyjmowała wody ani strawy. Związano ją w końcu, żeby nie zrobiła krzywdy sobie czy innym.

Dolid, oprócz współczucia dla ulubienicy Sajrona, czuł przerażenie. Jeśli tak działa na ludzi smoczy strach, to walkę z gadami można od razu uznać za przegraną. Nikt nie oprze się takiemu koszmarowi, a przecież smoki nie zaatakowały ich bezpośrednio. Innym widać podobne myśli przychodziły do głowy, bo siedzieli ponurzy, omijając wzrokiem drobną postać rzucającą się w więzach.

Noc nastąpiła bezchmurna, piękna. Zbliżający się do pełni księżyc oświetlał leśny dukt, gwiazdy mrugały przyjaźnie. Było przeraźliwie zimno. Po długim, upalnym lecie bardzo wcześnie nastąpiły chłody. Lodowate powietrze ziębiło ciała, przymrozki ścinały trawę. Dygocący po przebytych szoku i przemarznięci ludzie kulili się ukryci pomiędzy zbrązowiałymi liśćmi.

Dolid poczuł, że musi przerwać pętlę przerażenia, która zaciskała się na ich gardłach. Poleciał napoić Lavallę ziołami, które sprowadzą sen i dadzą odrobinę wytchnienia od koszmaru, a gdy zasnęła, posadził ją przed sobą na konia i ruszyli dalej. Kiedy wreszcie zatrzymali się, by odpocząć po całonocnej jeździe, ciągle spała, więc bibliotekarz rozluźnił nieco pęta, ułożył ją na ziemi i otulił derką. Znużeni wędrowcy pokładli się spać, a gdy zbudzili się, zziębnięci i głodni, Lav nie było. Na zrudziałym mchu leżały poszarpane rzemienie ze śladami krwi.

Dolid i kilku innych mężczyzn ruszyli na poszukiwania. Przepatrywali krzaki, wykroty, rozgarniali paprocie, wszystko na próżno. Ci, którzy posiadali Dar myślowego

porozumiewania, słali swe wezwania w pustkę. Mała czarownica przepadła bez śladu.

Wreszcie bibliotekarz z ciężkim sercem nakazał ruszać dalej. Czas naglił.

Stear pędził, jakby sam Najwyższy Kapłan następował mu na pięty. Ciągłe był wściekły. Nie pomogły argumenty o wadze i niebezpieczeństwie powierzonych misji. Czuł się odsunięty, zlekceważony i niepotrzebny. W dodatku, jadąc wybrzeżem – gdzieś na granicy świadomości – rejestrował nieustanny szum morza, dźwięk, którego nienawidził. Gnał więc po całych dniach, doprowadzając siebie i konia na skraj wytrzymałości. Nocami stawał na krótkie popasy, byle coś zjeść, zapaść w płytki sen, dać odpocząć zwierzęciu. O brzasku znów ruszał w drogę.

Początkowo zamierzał ominąć Noctural, ale pokusa była zbyt wielka. Wjechał do miasta późnym popołudniem z mocnym postanowieniem wyruszenia następnego ranka, zaraz po otwarciu bram.

Gospoda Pod Mewą była pierwszą, na którą się natknął. Zostawił konia w stajni, wszedł do środka, przepchnął się pomiędzy ciasno ustawionymi stołami w poszukiwaniu wolnego miejsca i osłupiał.

W kącie pod okopconą ścianą siedział Garard w towarzystwie czterech gwardzistów z insygniami namiestnika na wyblakłych tunikach.

Zanim zdecydował, czy lepiej zniknąć, nim go zauważą, czy też podejść i wytargać krnąbrnego młokosa za uszy, siedzący dostrzegli go.

Garard, zadowolony z siebie, uśmiechnięty od ucha do ucha, pomachał mu ręką i wrzasnął na całe gardło:

– Chodź do nas, Stevar, napijemy się razem!

Niedźwiedziowi oczy nabiegły krwią. Zapomniał o szacunkunależnym królewskiemu potomkowi. Sapnął niczym byk przed szarżą i podszedł do ławy. Jednym ruchem wyciągnął zza stołu zdziwionego chłopaka i zaczął nim potrząsać jak szmacianą lalką.

– Co tutaj robisz, ty cholerny gówniarzu?! – wrzasnął. – Jakby ojciec wiedział, nogi z dupy by ci powyrywał! Miałeś siedzieć w domu, a nie obijać się po knajpach!

Garardowi głowa odskakiwała w przód i w tył, oczy wychodziły z orbit. Miał wrażenie, że za chwilę udusi się w potężnym uścisku Stevara.

Gwardziści wybiegli zza stołu i próbowali wyrwać nieszczęsnego młodzika, ale Niedźwiedź, zaprawiony w karczemnych burdach, jednego kopnął w kolano, a drugiego grzmotnął tak, że biedak przeleciał na drugą stronę sali i wylądował na stole, który załamał się pod nim z głośnym trzaskiem. Pozostała dwójka przezornie odsunęła się na bok. Po izbie przebiegły tłumione chichoty.

– Puść mnie – wycharczał resztką sił Garard. – Puść, duszę się.

Stear oprzytomniał. Puścił chłopaka, podniósł z podłogi kopniętego gwardzistę i cisnął go na ławę.

– Siadać – warknął do pozostałych. – Piwa. Kwartę – dorzucił na wypadek, gdyby karczmarz źle ocenił jego potrzeby.

Począł, aż przyniosą mu napitek, zdmuchnął pianę i wypił zawartość dzbanka jednym długim łykiem. Odetchnął, repetował i wreszcie był w stanie zapanować nad sobą. Trochę.

– Od dawna tu jesteście? – warknął.

– Od południa – wymamrotał pospiesznie jeden z żołnierzy. – Prądy nas zniosły i wylądowaliśmy blisko miasta.

– Szwendaliście się po ulicach?

– Ano. Ciekawiśmy byli – potaknął pokornie gwardzista.

– Jak cię zwą?

– Wetyr, panie.

– Kretyn, nie Wetyr! – wrzasnął znowu Stevar. – Gdzie wasze tobołki?

– Tu, pod stołem. Gdzieżby indziej.

– Zabierać i wynosimy się stąd. Idźcie do stajni i tam czekajcie. Zrozumiano?

Wystraszeni mężczyźni pokiwali głowami. Jeden przez drugiego wyciągali spod stołu skromne tłumoczeki i popychając się wzajemnie, wyszli.

Garard ciągle miał trudności z oddychaniem i pewnie dlatego oczy szklily mu się od łez. Pospiesznie otarł je rękawem, zadowolony, że w stajni panuje półmrok.

Stevar przyprowadził ze sobą młodego, szczerbatego chłopaka. Z rąk do rąk przeszła spora liczba połyskujących złotem monet i zaraz szczerbaty przytaszczył pięć siodel i zaczął oporządzać konie.

– A teraz biegiem, zanim zamkną bramy – pogonił Niedźwiedź.

– Wyciągajcie nogi, to nie żarty.

Zdążyli w ostatniej chwili. Tego wieczora nikt więcej nie opuścił Noctural. Zanim miesiąc zaświecił na nocnym niebie, cała szóstka była już na trakcie, podążając w stronę lasu.

Stevar słyszał za plecami tłumione jęki swoich towarzyszy i klął pod nosem. Planował przejechać puszcę nocą, wykorzystując dzień na krótkie popasy. Wierzył, że w pojedynkę jakoś się przemknie. Teraz miał na karku niewydarzonych jeźdźców z królewskim synem na czele, przed sobą podróż przez najbardziej niebezpieczną okolicę w Imeskarii, a za plecami pościg kościelnych fanatyków. Ani przez chwilę nie żywił złudzeń, że pobyt w mieście Gararda i jego świty pozostał niezauważony. Nie w takim grodzie jak Noctural, gdzie świątyn było więcej niż kamienic, a prawie każdy mieszkaniec żył z posług dla klasztorów.

Uważał za szczęśliwe zrzędzenie losu, że udało im się wyjechać, nim zamknięto bramy, ale co dalej? Ciągle znajdowali się za blisko miasta, żeby zatrzymać się na nocleg, a posuwając się w tym tempie, rano nie będą dużo dalej. A może zamiast jechać traktem, powinni zagłębić się w las? Tylko czy ktoś wyszedł żywy z tej koszmarnej kniei?

Nieświadomy rozterek Stevara Garard czuł się poniżony jak jeszcze nigdy w życiu. Chciał odnaleźć Jarika, zostać bohaterem, pogromcą smoków, a jak dotąd spotykały go same niepowodzenia.

Najpierw, podczas morskiej podróży, natrafili na silny prąd, który zniósł ich łódź w nieznanym kierunku. Potem omal nie utonęli, gdy o świcie wpadli na przybrzeżne skały, nie mówiąc już o tym, że mieli zbyt mało zapasów słodkiej wody i prawie pomarli z pragnienia. A kiedy wreszcie przybili do lądu, najedli się i jako tako odpoczęli, musieli spotkać tego cholernego Niedźwiedzia.

Garard już od jakiegoś czasu zamierzał wygarnąć temu nieokrzesanemu prostakowi, co myśli o takim traktowaniu swojej osoby, ale za każdym razem coś mu w ostatniej chwili przeszkadzało. A to koń się potknął, a to trzeba było sprawdzić, czy juki się nie poluzowały...

Włókł się za Niedźwiedziem ze spuszczoną głową, podskakując niezgrabnie w siodle.

Kiedy Stevar podjechał do niego, drgnął gwałtownie i kurczowo ściągnął cugle. Zdezorientowany wierzchowiec stanął dęba, a Garard zwałił się na ziemię jak worek kartofli. Napięte nerwy nie wytrzymały i młodzieniec rozplakał się jak dziecko.

Olbrzym westchnął i złapał zwisające wodze.

– Jedźcie – pogonił resztę towarzystwa. – Dogonimy was, tu nie można zabłądzić.

Zeskoczył z konia i stanął obok Gararda.

– Przestań się mazać – mruknął. – Coś myślał, że to będzie zabawa? Wsiadaj na konia i jedziemy dalej. Mamy mało czasu.

– Dlaczego? – chlipnął młodzik.

– A dlatego, że rano będziemy mieli na karku całą watahę cholernych kleryków. Przygotują nam stos szybciej, niż zdążysz pierdnąć. Gałęzi tu pod dostatkiem.

Chłopak otarł oczy rękawem, smarknął przez palce, jak podpatrzył u gwardzistów, podszedł do konia i wsunął nogę w strzemień. Wierzchowiec zadreptał w miejscu, a Garard znów wylądował na gościńcu.

– Kurde – jęknął, gramoląc się niezdarnie i rozcierając pośladki.

Zabrzmiało to dość żałośnie.

Stevar uznał, że młodzieniec przeżył już dość upokorzeń jak na jedno popołudnie. Ponownie złapał konia, przytrzymał strzemień i pomógł mu ulokować się na grzbiecie zwierzęcia.

– Dobra – mruknął do siebie, kiedy zobaczył, że chłopak jakoś sobie radzi. – A teraz spróbujemy przyspieszyć.

Oddział pod wodzą namiestnika posuwał się w kierunku Dardall. Większość żołnierzy przebrała się w chłopskie siermięgi, a pilnujący ich bracia ogolili głowy i oblekli mnisie habity. Falias grał rolę drobnego posiadacza ziemskiego, którego eskortę stanowiło dwóch gwardzistów i Cal. Wymyślona naprędce historia głosiła, że wszyscy podążają z pielgrzymką do Loenu, do grobów pierwszych wyznawców Boga o Wielu Obliczach. Sporo takich procesji przemierzało ostatnio trakty Imeskarii.

W Brianie i Doughu przebranie budziło pusty śmiech, Falias się zżymał, a Calmin zdawał się przyjmować tę maskaradę z ponurą obojętnością.

Pochód podążał powoli i nieskładnie. Niewyuczeni musztry gwardziści nie udawali gapowatych chłopów. Byli nimi. Nie przywykli do karnego, monotonnego marszu w kolumnie, leżli zatem niemrawo, gapiąc się na boki. Braciszkwowie nauczyli ich kilku religijnych pieśni, więc podczas wędrówki zawodzili żałośnie i smętnie, chwając nieznanego boga.

Cal przy pomocy Briana i Dougha poradziłby sobie pewnie z tą oporną gromadą, gdyby nie obecność namiestnika. To byli przecież jego ludzie, jego gwardia honorowa i to Falias był ich przywódcą, a nie on, Calmin Fen. Namiestnik jednak sam nie miał się najlepiej. Zgodnie z przypisaną mu rolą jechał konno, tak samo, jak jego honorowa eskorta. Kierowane niewprawnymi rękoma wierzchowce sforowały się zbyt do przodu lub zostawały w tyle. Zapasy kurczyły się szybko, a uzupełnianie ich przychodziło z trudem, bo rzadkie lasy nie obfitowały w zwierzynę.

Calmin był coraz bardziej zmęczony i zniechęcony. Za dnia martwił się o zaopatrzenie i marszrutę, szukał argumentów mających przekonać gubernatora Sansed. Nocami zrywał się ze snu dręczony wspomnieniami i koszmarnymi majakami.

Namiestnik również dość kieszko znosił podróż. Nigdy wcześniej nie zetknął się z końmi i te wielkie zwierzęta budziły w nim strach. Od jazdy wierzchem, do której zmuszał go zięć, nieustannie bolały go kości, drżały mięśnie. Poza wszystkim czuł się przytłoczony rozmiarami swej nowej dziedziny. Prócz tego z każdą chwilą dotkliwiej osaczała go samotność. Wszyscy traktowali go z pełnym dystansu szacunkiem i pozostawiali własnym myśłom.

Wieczorny ogień tlił się powoli. W kociołkach bulgotała cienka polewka. Gwardziści jedli i popatrując z ukosa na kręcących się w pobliżu braci, sarkali na jałową strawę.

Falias wręcz zazdrościł swoim ludziom swobody, z jaką wyrażali niezadowolenie. W takich chwilach wolałby znajdować się bodaj w podziemiach zamku na Wyspie Mgieł niż tu, w kraju, o którego koronę zamierzał się upomnieć. Rozgoryczony spojrzął na Calmina. Jeździec siedział po przeciwnej stronie ogniska i z ponurą miną wrzucał w płomienie łamane w palcach gałązki. Przywołał go i wskazał miejsce obok siebie.

– Wydajesz się bezustannie czymś zmartwiony – zagaił. – Przecież wszystko idzie po naszej myśli.

– Żartujesz, panie? – odrzekł Cal z tajonym gniewem. – Nasze położenie z każdym dniem jest gorsze. W tym tempie dojdziemy do Dardall za rok. Wybacz, ale muszę to wreszcie powiedzieć. Żołnierze waszej miłości to zwykłe niedołęgi. Lekceważą rozkazy, opóźniają pochód, a jedyne, czego nam brakuje, to czas.

– Sam mówiłeś, że są kłopoty z zaopatrzeniem – wtrącił urażony do żywego namiestnik.

– Byłyby mniejsze, gdyby twoi ludzie nie obżerali się tak na każdym postoju – odparł brutalnie Cal i cisnął w ogień resztę patyków. – Tak dalej nie może być.

Falias, który popijał grzane piwo, odstawił gwałtownie dzbanek.

– Zamierzasz nas opuścić?

– Nie, panie. Wierzę, że czynimy słusznie. Ty jesteś naszym przywódcą, naszym królem. Przemów do gwardzistów, obudź w nich zapał, przypomnij, po co tu przybyli, a jeśli to nie poskutkuje, zastosuj kary. Inaczej przegramy, nim naprawdę włączymy się do walki.

Tym razem to Falias zapatrzył się w płomienie.

– Obrażasz mnie każdym słowem, ale muszę przyznać ci rację. Jutro rano spróbuję zaprowadzić nowe porządki – powiedział w końcu sucho i znów sięgnął po piwo. – Nasłuchałem się opowieści o twoich wyczynach, Jastrzębiu. Te dwa obwiesie, Brian i Dough, raczą nimi moich ludzi chyba do przesady.

– Jeśli mamy przeżyć, powinni ich słuchać uważniej.

Namiestnik skrzywił się i chwilę siedzieli w milczeniu pogrążeni we własnych myślach.

– Fen.

– Tak, panie.

– Albana niewiele opowiadała mi o swoim życiu. Trochę się dowiedziałem z zapisków tego Sajrona, ale... Myślałem, że mamy mnóstwo czasu na snucie takich opowieści. Teraz wszystko się zmieniło.

– Ja nie...

– Proszę, Cal. Pamiętam ją jako niemowlę w kołysce, a potem dorosłą kobietę, czarownicę skażoną smoczą krwią. Nie taką chciałbym ją znać, wspominać. Opowiedz mi, proszę, jak żyła, śmiała się, płakała. Pomóż mi ją zrozumieć.

Calmin długo patrzył w przystojną twarz, w wąskie szparki oczu, z których wyzierała rozpacz i tęsknota. Przeczesał palcami włosy, odetchnął głęboko i zaczął mówić, na początku nieskładnie, zacinając się co chwila, przerywając sam sobie.

Namiestnik nie ponaglał go. Słuchał.

Cal opowiadał. Przestał zwracać uwagę na słuchacza, po prostu mówił. Wyrzucał z siebie wspomnienia, od których przedtem uciekał, przeżywał na nowo pierwszą fascynację, gniew, radość i smutek.

Czas mijał, a oni wciąż siedzieli przy wygasłym już ognisku. Kiedy Jeździec wreszcie

skończył, po twarzy Faliasa spływały łzy.

Jeszcze długo potem Calmin nie mógł zasnąć. Ta opowieść na nowo wzbudziła ból, choć przyniosła też ulgę. Nie wiedział, jaka czeka go przyszłość, jednak pogodził się z przeszłością.

Niezauważenie zapadł w półsen, stan, kiedy ciągle jeszcze odbiera się bodźce zewnętrzne, ale nie panuje już nad myślami. Czuł chłód nocy, wilgoć trawy, drętwienie rąk. Częstką świadomości rejestrował to wszystko, lecz nie był w stanie się poruszyć, zmienić niewygodnej pozycji czy poszukać okrycia. Myśli krążyły bezładnie. Wszystkie dotyczyły Albany. Słyszał jej ochrypy głos, czuł dotyk gładkiej skóry, zapach ciała, łaskotanie potarganych włosów. Potem nagle obraz się zmienił. Jedne kontury się zatarły, inne wyostrzyły.

Widział górską dolinę z dziwnej, odmiennej perspektywy, jakby wypaczoną. Wciągnął do płuc ostre powietrze i niespodziewanie poczuł gryzący zapach dymu. Powiódł wzrokiem po pełnym uroku, spokojnym krajobrazie i... dostrzegł dopalające się zgłiszcza wielkiej budowli. Ten widok nie wzbudził w nim emocji. Czuł wręcz przytłaczającą obojętność. A potem...

Cal na swym posłaniu poruszył się niespokojnie i jęknął, nie otworzył oczu, nie zbudził się.

...poczuł jakąś obecność. Istota była wręcz przytłaczająca swoją obcością, ale przyjął jej pojawienie się z zadowoleniem? I nagle...

– Nie, nie – krzyczał w pół śnie, pół jawie.

To wystarczyło, obudził się zlany potem, drżący, podniecony jednocześnie pełen wstrętu do wizji, którą wciąż miał przed oczyma. Skulił się, próbując opanować emocje. Wreszcie podniecenie opadło, pozostał wstręt.

Czerń nocy powoli ustępowała szarości świtu. Ptaki wyśpiewywały swoje poranne piosenki, wiatr szumiał łagodnie w koronach drzew, powietrze pachniało świeżością.

Calmin ruszył pomiędzy śpiących. Znalazł jakieś naczynie z wodą i przemył twarz. To otrzeźwiło go do reszty. Odszukał Faliasa i bezceremonialnie potrząsnął go za ramię. Namiestnik z trudem otworzył oczy. Mruknął coś pod nosem, ale podniósł się na posłaniu.

– Smoki rozpoczęły atak – powiedział Cal z przerażającą pewnością. – Zniszczyły siedzibę Obdarowanych, tak jak przewidywaliśmy. Czas ruszać.

Zgodnie z wieczorną obietnicą namiestnik zebrał swoich podkomendnych i wygłosił mowę. Prawił o odpowiedzialności, o niebezpieczeństwie, o honorze. Poskutkowało, bo gdy przyszło formować kolumnę i ruszyć w drogę, zwykłe narzekania umilkły, a wymarsz odbył się zadziwiająco sprawnie.

Podróżni mieli wrażenie, że ten cholerny las nie ma końca. Błąkali się już czwarty dzień i wciąż nie mogli trafić na gościniec.

Ciągle napotykali jakieś przeszkody: drzewa połączone płataniną bluszczu, bagna, wykroty, zwalone pnie. Gęste korony zasłaniały słońce i trudno było określić kierunek, w jakim podążają. Zdarzało się, że po całym dniu pochodu trafiali w miejsce, z którego wyruszyli. Na domiar złego zaczął doskwierać im głód. Nie zdążyli kupić zapasów, a ta reszotka, którą miał przy sobie Stevar, dla sześciu mężczyzn starczyła na jeden posiłek. W puszczy żyło dość zwierzyny, lecz łuk w takiej gęstwie był bezużyteczny, a na zastawianie sideł nie mieli czasu, żywili się więc borówkami, grzybami i jakimiś cierpkimi owocami, które Niedźwiedź z samozaparciem wypróbowywał na sobie.

Nie było chwili, w której Stevar nie przeklinał pomysłu opuszczenia traktu. W otwartej

walce, z liczniejszym nawet przeciwnikiem, mieli szansę. Bór wydawał się pułapką bez wyjścia.

Popołudniem trafili wreszcie na prześwit. Zatrzymali się na skraju, nie przekraczając linii drzew. Choć puszcza wydawała się spokojna i pusta, Niedźwiedź nie mógł pozbyć się wrażenia, że jest obserwowany. Zsiadł z konia i zaczął okrążyć polanę. Przystawał, nasłuchując, ale docierał do niego tylko szum gałęzi, szelest własnych kroków, ciche rzenie koni.

Jakiś podmuch wiatru rzucił mu na twarz zeschnięty pęd leśnego bluszczu. Odgarnął go niecierpliwie i nagle zamarł, „...domostwa zbudowane wokół drzew, zamaskowane bluszczem, którego tam pełno”, przypomniał sobie słowa Albany.

Przyjrzał się uważnie leśnym olbrzymom. Teraz, kiedy już wiedział, na co zwrócić uwagę, łatwiej mu było dostrzec szczegóły. Pnącza o pożółkłych liściach obrastały nienaturalnie szerokie przy podstawie pnie. Ostrożnie zbliżył się do drzewa rosnącego na skraju polany i zatrzymał się, niepewny, co uczynić. Jeśli w leśnych chatkach rzeczywiście czaili się zabójcy, pozostawienie ich za plecami nie było rozsądne. Z drugiej strony atak na wioskę mógł się skończyć masakrą. Było ich przecież niewiele, a gwardziści Faliasa, według opinii Niedźwiedzia, bardziej nadawali się do pasania kóz niż walki. Po krótkim namyśle uznał, że lepiej polec w starciu, niż zostać zamordowanym strzałem w plecy. Zamaszystym gestem przywołał żołnierzy i kazał im przycząć się w krzakach z napiętymi łukami. Sam skrzesał ognia, podpalił kilka suchych patyków i rzucił je w gąszcz. Stał opodal z obnażonym mieczem i czekał.

Gałązki paliły się różnym płomykiem, liście zbrązowiały, wysuszony bluszcz zaczął dymić. Stevar czekał.

Wpierw dał się słyszeć suchy kaszel. Potem, prawie tuż u jego stóp, wiotkie pędy rozchyliły się i spomiędzy nich wypełzła odrażająca postać, a za nią następna. Legły na trawie, skomląc i pojękując. Niedźwiedź przyłożył jednej miecz do gardła, ale wstrzymał sztych. Leżący nie zamierzali się bronić. Złapał więc za splecione kudły i podniósł do góry opuszczone głowy. Spojrzał w nierozumne oczy.

– Ma... mmama? – wybełkotał człekopodobny stwór i pogłaskał nogi Stevara. – Jeeeść?

Od potwornego smrodu zakręciło Niedźwiedzia w nosie. Puścił zmierzwione, pełne robactwa włosy i odruchowo wytarł ręce w kaftan, odsunął się. Odziane w rozpadające się łańchmany stworzenia popęzły za nim, wyciągając ręce. Nagle gałęzie otaczających polanę krzewów zakołysały się gwałtownie. Jeden z gwardzistów rzucił się w tamtą stronę i przydusił do ziemi kościstą sylwetkę.

– Nie róbtą mi krzywdy! – rozdarł się ochryply głos. – Ja niczemu nie winna!

– Mamamamama – ucieszyły się poczwary i na czworakach popędziły w tamtą stronę.

Podniesiona z ziemi kobieta przypadła do dzieci i osłoniła je ciałem niby kwoka pisklęta. Stevar nakazał pilnować wystraszonej grupki, a sam sprawdził pozostałe chaty. Domostwa stały puste.

– Coś za jedna? – spytał, gdy skończył inspekcję.

– Nie zabijajcie, panie – mamrotała błagalnie kobieta. – My nikomu krzywdy nie robim. A to syny moje, oni niespełna rozumu som.

– A Keranowie gdzie?

– Uni juże dawno uszli albo zdechli jak Woram... Nikogo tu, nikogo. I my chcieli iść, ale wygnali nos, wygnali... Tera ino my tu żyjem. Tyle dziecisków miołam, ino te mi ostoły.

Krzywdy nie róbtá, panie jasny, my nie winni...

Stevár pokręcił głową w zdumieniu. Jeśli Keranowie opuścili bór, to znaczyło, że trakt do Bresanii jest znów bezpieczny. Niepotrzebnie zjechał z gościńca i stracił tyle czasu na błąkanie się po bezdrożach. Rozejrzał się jeszcze raz po wiosce, spojrzął na pokurczone, wynaturzone postacie i zdjęła go nagła litość.

– Nie bój się – powiedział prawie łagodnie do przycupniętej u jego nóg staruchy. – Zostawimy was żywych. Ale ty, kobieto, musisz nas na trakt wyprowadzić, bo zbłądziliśmy.

– Wyprowadzę, jasny panie, wyprowadzę... A krzywdy nie róbcie... Tylko synkom jeść dom i pójdziem...

Weszła między drzewa i odszukała porzucone wcześniej zawiniątko z liści. Nakarmiła dzieci, wkładając im do ust przemarznięte jagody i surowe grzyby, a potem odprowadziła do częściowo zwęglonej chaty.

– Póđźmy.

Ścieżki, które kiedyś wydeptali leśni bandyci, porosły trawą, ale kobieta bez wahania prowadziła ich dawno zapomnianym szlakiem. Przed wieczorem stanęli na gościńcu, a Keranka zniknęła niczym zjawa. Kompania dosiadła koni i ruszyła w stronę Loenu.

Jeźdźcy w burych habitach pojawili się tak nieoczekiwanie, że Stevár nie zdążył nawet przyhamować konia i minął krąg napastników. Zbyt mocno ściągnął wodze, spłoszone zwierzę stanęło dęba, omal nie zrzucając go z grzbietu. Dobył miecza, zawrócił i ruszył na odsiecz otoczonemu Garardowi i czwórce gwardzistów.

Garardowi zdawało się, że śni, kiedy nagle zobaczył przed sobą wyłaniających się spomiędzy drzew ludzi, którzy zastąpili im drogę, mierząc z łuków. Koń zatańczył pod nim, więc odruchowo ściągnął cugle, a potem niemrawo sięgnął po miecz. Mnich, który był najbliżej niego, nagle zgiał się wpół i z jękiem zsunął na ziemię. Zanim chłopak zdążył choćby mrugnąć, to samo zrobił następny, a potem w środek przerwane go kręgu niczym furia wpadł Stevár. Na jego widok zaskoczeni gwardziści oprzytomnieli i dobyli broni. Rozgorzała walka.

Młodzieniec patrzył na rozgrywające się przed jego oczami sceny i nie potrafił odróżnić przeciwników od towarzyszy. Spłoszony hałasem wierzchowiec postąpił parę Uroków i Garard znalazł się nagle oko w oko z mierzącym z łuku mnichem. Lata ćwiczeń pod surowym okiem ojca zrobiły swoje. Jego ręka, jakby bez udziału woli, pomknęła wytrenowanym ruchem do przodu. Miecz zagłębił się w ciało łuczника. Z rany bluznęła krew, a męczyzna spadł wprost pod kopyta wierzchowca.

– Łap konia – usłyszał czyjś okrzyk, więc odruchowo chwycił do ręki śliskie od krwi wodze i krzywiąc się z obrzydzenia, ściągnął mocno. Potem spojrzął za siebie. Potyczka dobiegała końca. Stojący na ziemi Stevár walczył dwoma mieczami z ostatnim akolitą.

Skąd on ma drugi miecz? – pomyślał tępo Garard, nie mogąc oderwać wzroku od śmiertelnego pojedynku.

Przeciwnik Niedźwiedzia najwyraźniej nie był nowicjuszem. Teraz starał się wykorzystać przewagę, jaką dawał mu koński grzbiet. Zamachnął się, celując w nieosłoniętą głowę olbrzyma. Stevár sparował cios, a drugim mieczem przeciął popręg. Mnich zwałił się na trawę z głuchym łomotem, a zranione zwierzę kwiknęło i rzuciło się do ucieczki. Zanim napastnik wstał, płacząc się w długim habicie, Stevár przyłożył mu miecz do gardła.

– Nie boję się śmierci! – wrzasnął histerycznie akolita. – Oblicza Boże przyjmą mnie do siebie!

– Pozdrów je ode mnie – warknął Niedźwiedź i zanurzył ostrze w jego szyi.

Obojętnie przyglądał się, jak tamten pada na wznak, a potem wytarł zakrwawiony oręż w połę szarej szaty.

– Usuńcie trupy z gościńca – mruknął w stronę gwardzistów, a sam zaczął przeszukiwać ciała.

Zebon szedł korytarzem lochu. Skrzywiony z odrazy mijał okratowane cele i nie zważał na wyciągające się ku niemu dłonie, na błagalne jęki ani przekleństwa. Zatrzymał się dopiero przed nabijanymi ćwiekami drzwiami. Jeden z towarzyszących mu akolitów przekreślił klucz i wszedł do środka, przyświecając sobie pochodnią. Za nim wsunął się Zebon.

Przykute do ściany zwisało nagie, tłuste ciało Brendana.

Mnichom wydawało się, że ich mistrz uśmiecha się na widok martwego kapłana. Protektor oblizwał spierzchnięte wargi i rozkazał:

– Obciąć mu głowę i wystawić przed wejściem do kaplicy, a ścierwo spalić.

Ponura procesja ruszyła dalej, by po przejściu kolejnego korytarza otworzyć inne drzwi.

Łańcuchy, którymi skrzepowano Benektusa, nie pozwalały mu dotknąć stopami podłogi. Poraniona skóra spływała krwią.

Wąskie wargi Zebona rozciągnęły się w uśmiechu.

– Pochwalone niech będą Oblicza Boże – zaszemrał. – Czy i ty je sławisz?

Koniuszy uniósł nieco głowę i uchylił zapuchnięte powieki.

– Pić – jęknął.

Jeden z akolitów zdjął wiszący na ścianie pięciopalczasty harap, którego rzemienne supły zakończono metalowymi zadziornami, i podał go Zebonowi. Ciałem Najwyższego Kapłana wstrząsnął dreszcz oczekiwania.

Eskorta usunęła się z celi, pozostawiając go samego z więźniem. Szponiaste palce kapłana mocniej uchwyciły rękojeść i wymierzyły cios, a potem następny i następny. Bił jeszcze, kiedy ciało więźnia zawisło bezwładnie. Zapach krwi drażnił jego nozdrza, pobudzał, oczy rozbłyły szaleństwem, a ciało dygotało z podniecenia. Nie zadał żadnego pytania, nie wysunął ani jednego zarzutu. Rozkoszował się cierpieniem Benektusa, nurzał się w nim. Ono go oczyszczało, usuwało strach, pozwalało zapomnieć o czających się w mroku cieniach, więc bił i bił, póki podniecenie nie znalazło ujścia, póki starczyło mu siły.

Wtedy odrzucił harap, wytarł dłonie w chustkę i pobłogosławił swoją ofiarę. Wyszedł z celi, szepcząc pod nosem modlitwy.

Marszałek Kattes zatrzymał się jak wryty na placu przed kaplicą. Tuż nad wrotami świątyni wisiała okrwawiona głowa Brendanawykrzywiona w śmiertelnym grymasie. Akolici odstawiali drabinę i szybko dołączyli do niego, podziwiając swoje dzieło. Kattes spojrzał na ich beznamiętne oblicza, przełknął ślinę i zawrócił na pięcie. Długo potem siedział w swojej komnacie, ukrywając twarz w dłoniach, bijąc się z myślami. Kiedy wreszcie się ocknął, był już wieczór. Wyjrzał przez okno i zamarł – przez dziedziniec podążała cowieczorna procesja, a prowadził ją Zebon. Marszałek spojrzał na miecz przez cały ten czas leżący tuż obok, włożył płaszcz i pozostawiwszy oręż w komnacie, pospieszył do kaplicy.

Więć o tym, że Najwyższy Kapłan wstał z łoża boleści i osobiście celebryje modły, musiała obieć już zamkową służbę, bo z każdą chwilą na dziedzińcu przybywało ludzi. Kattes przepchnął się przez gęstniejący tłum, wszedł do świątyni i zajął swoje miejsce.

Zebon wydawał się taki jak zawsze, fanatyczny w modlitwie i groźny niczym czający się w

mroku padlinożerca. Jedynie oczy, które zwykle patrzyły beznamiętnie, teraz omiatały niespokojnie modlących się w skupieniu ludzi. Kiedy jego wzrok na moment spoczął na Kattessie, ten aż skulił się od gorejącej w nim nienawiści.

Od tego dnia nie było chwili, by marszałek zaznał spokoju. Każdy mijany mnich mógł oznaczać zgubę dla niego i pozostałych spiskowców. Większość z nich rozjechała się pod byle pretekstem po swoich majątkach, lecz Kattes czuł, że nie może zniknąć bez zwracania na siebie uwagi. Był członkiem Rady i musiał uczestniczyć w zebraniach, choć protektor nikogo o zdanie nie pytał.

Dalsze aresztowania nie nastąpiły, żadna więcej głowa nie ozdobiła kaplicznych wrót, a los Benektusa pozostawał nieznany. Kattes czuł, jak powoli strach odbiera mu rozum. Przestał go interesować los królestwa, teraz najważniejsze było przeżycie następnego dnia.

Gubernator Rhodes zakończył już przyjmowanie petentów. Czuł się znużony tym cotygodniowym obowiązkiem. Sprawy, z jakimi zwracali się do niego mieszkańcy prowincji, były podobne do siebie. Skargi na sąsiada pijaka, który pomylił domy i rozbił cudze meble, spory o skrawek ziemi czy garść kłosów i donosy. Tych gubernator nienawidził najbardziej, tak samo jak milczącej obecności kapłana w szarych szatach, który mu towarzyszył w posłuchaniach. I tego, że choćby oskarżenie o uprawianie czarów było całkowicie niedorzeczne, to mnich i tak wykonywał swoją robotę i płonął kolejny stos. Gubernator miał dość osobistych powodów, by nienawidzić czarowników, lecz taka naprędce wymierzana sprawiedliwość budziła w nim głęboką odrazę i sprzeciw. Rhodes już od dawna zastanawiał się nad sposobem pozbycia się kłopotliwego gościa. Nie chciał jednak otwarcie przeciwstawić się protektorowi, dlatego musiał dzień po dniu znosić obmierzłą obecność jego przedstawiciela.

Wstał z ozdobnego i bardzo niewygodnego krzesła, dając tym samym znak, że posłuchanie dobiegło końca. Kapłan skinął głową tak nieznacznie, że zakrawało to na obrazę i jak szary cień wymknął się z sali.

– Żeby cię zaraza dopadła – wymamrotał do siebie Rhodes i ruszył do wyjścia.

Niespodziewanie drzwi otwarły się. Do sali wszedł komendant garnizonu Mulacium.

– Panie – powiedział półgłosem, upewniwszy się wpierw, że gubernator jest sam. – Jest jeszcze jeden człowiek z prośbą o posłuchanie.

– Skończyłem na dziś, Morgan. Niech przyjdzie innym razem.

Komendant pokręcił głową i zniżył głos do szeptu:

– Myślę, że powinieneś go przyjąć. Jest dość... niezwykły.

Zmęczone oczy gubernatora nagle nabrały wyrazistości.

– Przyprowadź go więc.

Morgan skrzywił się, jakby nagle rozboleł go ząb.

– Mam takie przeczucie, że byłoby lepiej, gdyby jego Łysa Wielebność nie dowiedział się o tej wizycie.

– Aha – mruknął Rhodes. – A gdzie on jest?

– U mnie w kwaterze.

– Wobec tego zrobmy niespodziewaną inspekcję mojej gwardii.

Nim weszli do kantorka, w którym Morgan zwykł przyjmować interesantów, komendant wydał ciche rozkazy. Żołnierze rozproszyli się w pobliżu i bacząc czujnie, by nikt nie zakłócił ich dowódcom spokoju, zastygli w pozornym nieróbstwie.

Oparty o ścianę stał solidnej postury mąż ubrany w szatę przypominającą mnisi habit. Rhodes zatrzymał się w progu, rozczarowany, bo nie miał ochoty na spotkanie z kolejnym duchownym. Dopiero kiedy gość wysunął się z cienia i pochylił w ukłonie, spostrzegł, że jego czaszka nie jest wygolona, a habitu nie przepasuje rytualny sznur.

– Dziękuję, że zgodziłeś się mnie przyjąć, panie – odezwał się przybysz. – Nazywam się Dolid, a sprawa, z którą przychodzę, jest poufna. Gdybyś zechciał pomówić ze mną na osobności...

– Nie ma mowy – przerwał mu gubernator, siadając na ozdobnym dębowym krześle. Nie mógł oderwać oczu od blizny brzydkiego zgrubienia w miejscu, gdzie powinno znajdować się ucho.

– Patrzysz na moją szramę – spytał Dolid, bezwiednie dotykając szczęki. Długie rękawy opadły mu do łokci, odsłoniły sine tatuaże na nadgarstkach. – To pamiątka po spotkaniu z Zebonem.

Zaintrygowany Rhodes pochylił się w stronę nieznanego.

– Nie jestem dyplomata, wasza miłość. Kiedyś byłem żołnierzem, potem bibliotekarzem, a ostatnio... – zawiesił głos Dolid.

Przymknął oczy i poruszył parę razy ustami, jakby powtarzał w myślach to, co chciał powiedzieć. Gdy znów się odezwał, jego głos zabrzmiał dziwnie głucho.

– Jest w Górach Przejścia twierdza, zbudowana po smoczej wojnie. Niedawno jej mieszkańcy otrzymali, hm, ostrzeżenie. Powiem jasno: to, co zaatakowało twierdzę, może zniszczyć i Mulacium. Nie wiem, gdzie uderzy teraz, zagrożona jest cała Imeskaria, ale to Rubieże leżą najbliżej gór. Dlatego ostrzeż ludzi, niech skryją się w lasach albo w górach, bo tam będą mieli jakąś szansę przeżycia, zwołaj wojsko i wyślij sygnał dla innych. Tobie uwierzą pewnie chętniej niż mnie. Zrób to, panie, bo czas nagli.

Rhodesowi odebrało mowę. Kiedy opanował nieco myślowy chaos, wybuchnął:

– Kim ty jesteś? Szpiegiem Zebona czy zwyczajnym wariatem? Morgan, wyprowadź go.

Nim komendant zdążył wykonać rozkaz, Dolid podniósł ręce.

– Nie mam broni. Nie jestem szpiegiem Zebona, nienawidzę tego kastrata. Wariatem też nie jestem, choć ostatnio niewiele brakowało... Wyrzucić mnie zawsze zdążysz, więc wysłuchaj mnie do końca, panie.

– A jeśli wtrącę cię lochu albo oddam mnichom? – spytał szorstko gubernator.

– Nic się nie zmienia. Ale jeśli miałbym wybór, to wolałbym katowski topór niż spotkanie z kapłanami – zażartował słabo Dolid.

– Więc mów. Co to za jedni, dlaczego mieszkali w górach?

Olbrzymi bibliotekarz zakłopotał się nieco. Przejechał dłonią po krótkich włosach.

– Zdradzając tę tajemnicę, powierzam ci życie wielu ludzi, miej to na względzie. Słyszałeś kiedy o Obdarowanych? Tak nazywają siebie czarownicy, podobni tym, którzy pomagali Forsythowi w smoczej wojnie. Dysponują ogromną mocą, siłami, o których ci paleni na stosie biedacy nigdy nawet nie słyszeli. Mieszkałem wśród nich przez wiele lat, choć sam nie rozporządzam owym Darem. Wiem, że można im ufać, polegać na ich słowie...

Gubernatorowi krew nabiegła do twarzy. Nieoczekiwanie walnął pięścią w stół i stanął na równe nogi.

– Czarownicy?! – ryknął. – Morgan, wsadź tego człowieka do najgłębszej ciemnicy. Zastanowię się, czy zasługuje na łaskę śmierci, czy oddam go kapłanom.

– Panie...

– Wynocha! Takim jak wy nie można ufać!

Komendant błyskawicznie przyłożył miecz do gardła zaskoczonemu Dolidowi i wrzasnął na stojącego pod drzwiami wartownika. Rhodes z rozmachem odstawił krzesło i wyszedł.

– Przygotuj miasto do obrony, wyprowadź ludzi, ostrzeż innych! – zawołał za nim Dolid z rezygnacją.

Czternaście smoczych sylwetek unosiło się na nieboskłonie. Poruszały majestatycznie skrzydłami, w lśniących łuskach odbijało się słońce. Leciały na południowy wschód. Po opuszczeniu górskiej doliny nie spotkały jeszcze ludzi, gromadzona przez wieki nienawiść nie znalazła ujścia.

Nieoczekiwanie wyostrzone zmysły złotej smoczycy zarejestrowały coś znajomego. Odłączyła od grupy, obniżyła lot i zaczęła nasłuchiwać. Potem zanurkowała w dół. Złota grzywa rozwiała się na wietrze, kiedy mknęła, przecinając ze świstem powietrze. Na moment znów owładnęło nią to niezwykle uczucie siły i panowania nad żywiołem.

Wyhamowała nad lasem i zatoczyła krąg, powodując, że korony drzew przygięły się ku ziemi. Kiedy wypatrzyła dużą polanę, opuściła olbrzymie ciało, ułożyła się na trawie, przymknęła oczy i skoncentrowała uwagę. Tak, to co ją niepokoiło, było blisko.

– Chodź do mnie – wysłała myślowy zew. – Chodź.

Nie musiała długo czekać. Wkrótce spośród drzew wyłoniła się jakaś postać, śmiesznie mała w porównaniu z nią samą.

Podarte, brudne szmaty zwisały na wychudzonym ciele. Siwe, potargane włosy otaczały twarz wykrzywioną w szalonym grymasie, z ust sączyły się nitki śliny, oczy były rozbiegane, drobnym ciałem wstrząsały drgawki.

Smoczyca brutalnie wdarła się do umysłu odrażającej istoty.

– Kim jesteś? – spytała.

Postać zaczęła się cofać, a jej oczy, na chwilę skupione, znów rozpoczęły swój szaleńczy płas.

– Stój. Kim jesteś? – przygwoździła ją złotołuska, nie czyniąc nawet najmniejszego ruchu.

– Znam cię... – wybełkotała postać. – Mówisz: stój – ja stoję, skacz – skaczę. Znam cię, znam, znam!

Nagle roześmiała się, dzikim szalonym śmiechem. Struga ciepłego moczu spłynęła po jej poranionych nogach.

– Skacz, Lavallo, mówisz, i skaczę – powtarzała ciągle.

Z głębi świadomości smoczycy nagle przebił się cień wspomnienia. Było odległe, niewyraźne, ale bolesne. Ogon drgnął gwałtownie, łuski zmatowiały, oczy straciły na mgnienie obojętny, gadzi wyraz. Ryknęła, wyciągnęła łapę i przydusiła do ziemi dygoczącą postać, a potem nacisnęła mocniej. Rozległ się chrzęst łamanych kości. Cofnęła łapę, rozłożyła skrzydła i podążyła za ledwo już widocznym stadem.

Gubernator Rhodes niespokojnie przemierzał zimne sale i korytarze swego zamku. Natłok myśli nie pozwalał mu usiedzieć w miejscu, budził niepokój. Nie zdając sobie z tego sprawy, opuścił komnaty i wyszedł na mury. Oprzytomniał, kiedy wiatr potargał mu włosy, rozwiał podbity futrem płaszcz.

Wychylił się przez krenelaże i zapatrzył na znany od dziecka krajobraz. Gdzieś na krańcu horyzontu majaczyły wierzchołki Gór Przejścia, poniżej rozciągały się plamy lasów wabiące

wzrok żółcią i czerwienią, jeszcze bliżej pola uprawne, niektóre już zaorane, inne pełne pożółkłej słomy. Opasane murami miasto tętniło życiem, jego mieszkańcy wyglądali jak krzątające się pracownice mrówki.

Wyprowadź ludzi, zabrzmiały mu w uszach słowa Dolida. Ostrzeż innych... Przed czym, w końcu się nie dowiedział.

Zbiegł w dół.

– Jak, do licha, mam ewakuować całe miasto? Przed czym ostrzegać? – pytał chwilę później Morgana. – Gdy zmobilizuję wojsko, protektor oskarży mnie o bunt. Stracę stanowisko, majątek, a pewnie i głowę. A jeśli zagrożenie istnieje naprawdę? Na mnie spadnie odpowiedzialność za śmierć tych ludzi. Co robić, Morgan, co robić, do jasnej cholery?

– Można by jeszcze raz porozmawiać z tym, jak mu tam, Dolidem, panie – zasugerował komendant.

– Nie, nie teraz, może jutro. Pomyśl, Morgan, czy da się wyprowadzić ludzi bez żadnego powodu?

Gwardzista poskrobał się po kłującym podbródku.

– Trochę o tym myślałem – przyznał. – I chyba wiem...

– Wiesz? – ożywił się gubernator. – To gadaj, człowieku, nuże.

– Zaraza, panie.

– Zaraza? – zdziwił się Rhodes. – Zaraza, powiadasz. Wszyscy nie pójdą, ale chociaż kobiety i dzieci, a mężczyźni... no tak, klechy zostaną, żeby w swym miłosierdziu nieść pomoc, chociaż... – Nagle oczy mu rozbłysły. – Wreszcie będę mógł się ich pozbyć, choćby dlatego warto to zrobić. Tylko co z ostrzeżeniem? Przecież to sygnał wojenny.

– Drobiazg – machnął ręką komendant. – Powiemy, że strażnik też był w gorączce i majaczył.

Gubernator zamyślił się głęboko.

– Zróbmy to, komendancie – odezwał się wreszcie. – Wolę być głupcem niż mordercą. Wydaj rozkazy.

Smoki zebrały swoje pierwsze krwawe żniwo.

Niewielkie miasteczko Ars, leżące na zachód od Mulacium, zostało zaskoczone atakiem w środku dnia. Nie było w nim garnizonu, który mógłby stawić opór, nie było murów obronnych ani podziemi. Ot, zwykła miejscina z wąziutkimi uliczkami, którymi płynęły nieczystości, z kramami, dwoma karczmami i świątynią Boga o Wielu Obliczach. To był najsolidniejszy budynek w miasteczku. Niedawno wykończony, kłuł w oczy bielą kamieni, przesadną mnogością rzeźb na portalu, wysoką dzwonnica.

Zaskoczeni pośród swej codziennej krzątania mieszkańcy padali jak muchy. Niektórzy zmarli od razu, kiedy poraziła ich fala smoczego strachu, inni, obłąkani z przerażenia, ginęli z własnej ręki albo rzucali się na oślep w panicznej ucieczce, by wpaść w łapy krążących wokół miasteczka bestii. A kiedy smoki uradowały już serca obrazami oszalałych ludzi, rozpoczęły bezpośredni atak. Ciasne ulice wypełniły się krwawymi szczątkami. Krzyki milkły powoli, miasto ogarnęły płomienie.

Nikt nie ocalał z masakry, żeby zanieść ostrzeżenie o wrogu, a bestie nasycone krwią niewinnych ruszyły dalej.

Obdarowani czuwali w lesie nieopodal Mulacium. Wpatrywali się w mury otaczające miasto i w toporną bryłę zamku zbudowanego nie dla wygody, lecz do obrony. W miarę upływu czasu nabierali coraz większej pewności, że czekają nadaremnie, trwali jednak w przenikliwym chłdzie, po części z lojalności do bibliotekarza, po części dlatego, że nie mieli pojęcia, co winni uczynić, jeśli ich przywódca nie wróci.

Dopiero świt drugiej, beznadziejnej nocy przyniósł odmianę. Górująca nad zamkiem wieża obserwacyjna zabłysła światłem pochodni odbitym w wypolerowanej tarczy, a bramy miasta otwarto wcześniej niż zwykle i zaczęła się przez nie wylewać rzeka ludzi. Właściwie najpierw był to strumyczek, leniwy i powolny, ale w miarę jak słońce wznosiło się coraz wyżej, strumień przybierał na sile, rozszerzał się. Ludzi i wozów było coraz więcej. Pokrzykiwania mężczyzn, zawodzące głosy kobiet i dziecięce piski, podniecone i wystraszone, mieszały się z porykiwaniem zwierząt i turkotem drewnianych kół podskakujących na kamieniach. W miarę oddalania się od miasta rzeka ta rozdzielała się na mniejsze odnogi i ginęła w lasach.

Obdarowani obserwowali to zamieszanie z uczuciem ulgi. Teraz nadchodziła ich kolej, by działać.

Gubernator Rhodes patrzył z niedowierzaniem na brudnych, trzęsących się z zimna przybyszy.

– Smoki?! – ryknął. – Jakie smoki?

Janus, przemawiający w imieniu Obdarowanych poruszył się niespokojnie.

– Czy Dolid was nie uprzedził, panie? Wyprowadziliście przecież ludzi z miasta.

– Smoki – zbulgotał bliski apopleksji Rhodes. – Chcesz powiedzieć, że nakazałem ewakuację, rozesłałem ostrzegawcze sygnały, zaciągnąłem pod broń wszystkich mężczyzn w mieście, bo grozi nam najazd smoków?!

Przybysze popatrzyli niepewnie po sobie. Janus odchrząknął.

– Przyszliśmy, żeby wam pomóc w tej walce.

– Zamknąć ich! – wrzasnął gubernator. – Wtrącić do lochui niech ich ludzkie oko nie ogląda. Morgan, musimy powstrzymać to szaleństwo. Trzeba zawrócić ludzi i rozpuścić wojsko. Zebon mi tego nie daruje... Niech was wszystkich szlag trafi!

Huk zatraskiwanych drzwi odbił się echem wśród opustoszałych komnat.

Morgan piał się po krętych schodach na sam czubek wieży obserwacyjnej. Mimo przenikliwego chłodu był spocony i zasapany.

– Spokój, panie komendancie – zameldował wartownik. – Tylko na zachodzie widać pożar, to chyba w Ars.

Nieokreślony lęk zakradł się do umysłu Morgana.

– Ars? To za daleko, żeby pomóc. Długo się pali?

– Od południa.

Morgan spojrzał ponad linią lasu na zachodzące słońce. Dreszcze przebiegły mu wzdłuż kręgosłupa. Poczul nagle, że dłonie ma lepkie od potu.

– Kiedy się ściemni, nadaj sygnał jeszcze raz – poleciał głucho.

Zszedł z wieży i zaczął obchód na murach. We wschodnim narożniku wypatrzył okrągłą postać, otuloną peleryną. Stukając obcasami, podszedł i stanął obok gubernatora.

– Ars się pali. Kazałem powtórzyć sygnał – oznajmił trochę niepewnie.

Rhodes ciałniej otulił się płaszczem.

– Powiedz, czy też to czujesz? Ten niepokój?
– Boję się, wasza miłość – przyznał gwardzista. – Coś wisi w powietrzu. Może to ci czarownicy rzucili na nas urok.
– Trzeba trzymać warty przez całą noc. Niech nikt nie śpi, i niech nie piją. Dopilnuj tego, Morgan.

Słońce zaszło. Czerwonofioletowe obłoczki ustępowały miejsca ciemności, gdy wieża rozbłysła nagle ognikami światła. Błysk – ciemność, błysk – ciemność. Rhodes patrzył na to z jakimś bolesnym zafascynowaniem.

Noc nastała cicha i piękna. Na niemal bezchmurnym niebie gwiazdy błyszczały niby klejnoty rozsypane na delikatnej materii. Dziedziniec rozświetlony był ogniskami, przy których czuwali żołnierze. Palce mieli zaciśnięte na główkach mieczy, nerwy napięte, wystrzone zmysły. Choć ani jeden z nich nie uczestniczył wcześniej w żadnej bitwie, to każdy całym sobą czuł tę szczególną chwilę, kiedy przeciwnik gotuje się do walki.

Gubernator Rhodes, jak złodziej, cichaczem przemierzył korytarze własnego zamku i ukryty w cieniu zszedł do podziemi. Strażnik poprowadził go tunelem do odosobnionej celi i pozostawił samego. Pochodnia rozjaśniła ciemności, spłoszyła karaluchy.

Dolid w niczym nie przypominał załamanego pojmanym oszusta. W bystrych, choć załzawionych oczach nie było śladu szaleństwa, przeciwnie, zdawały się zawierać całą mądrość świata.

– Wyprowadziłem ludzi, wzmocniłem garnizon i nadałem sygnały – powiedział gniewnie gubernator.

– Sprowadź też Obdarowanych. Mieli czekać na mnie przy zachodniej bramie – rzekł bibliotekarz. – Jeśli ktoś potrafi powstrzymać atak, to tylko oni.

– Jedna z was zgładziła najlepszego wojownika, jakiego znałem, inni przychodzą tu i plotą bajki o ataku smoków, a ty chcesz, żebym się z wami sprzymierzył – wybuchnął Rhodes.

– Co z nimi zrobiłeś? – warknął Dolid. Szarpnął się, lecz łańcuch, którym przykuto go do ściany, nie pozwolił mu uczynić choćby kroku.

– Kazałem ich zamknąć.

– Więc ich wypuść, panie. To nie banda rzeźmieszaków ani żebraków. To Obdarowani, być może jedyni prawdziwi czarodzieje, którzy ocaleli z łap oprawców Zebona. Jeśli chcesz przeżyć, traktuj ich z należytym szacunkiem.

– Nie rozumiesz...

– To ty nie rozumiesz, gubernatorze. Smoki wróciły, mamy na to dowody, czujemy ich obecność. Przyszliśmy tu, żeby was ostrzec i walczyć ramię w ramię, jak kiedyś. Inaczej ten świat czeka zagłada. Ale może źle wybraliśmy, może dla ciebie ważniejsze od ludzkiego życia są przesady albo ten stołek, na którym siedzisz.

Rhodes spurpurowiał, pochodnia w jego ręce zamigotała niebezpiecznie.

Dolid zrozumiał, że posunął się za daleko. Opuścił głowę, spokorniał.

– Nie wiem, o jakim wojowniku mówiłeś, nie znam okoliczności, w których spotkała go śmierć, ale i pomiędzy Obdarowanymi spotyka się szaleńców...

– Słyszałeś o Jastrzębiu? To on zaprowadził porządek w prowincji, wytłukł bandy, a ta przeklęta rudowłosa dziewczka zabiła go.

Bibliotekarz pobladł.

– To niemożliwe, niemożliwe – jęknął. – Albana? Albana zgładziła Jastrzębia? Jak to się stało? Dlaczego?

Ciągle gniewny Rhodes streścił, co słyszał od naocznych świadków.

– Więc nie żyje... – szepnął martwo Dolid. – To koniec.

Opuścił głowę, jednak nie dość szybko, by gubernator nie dostrzegł łez w jego oczach.

– Wypuść nas – powiedział wreszcie po długiej chwili milczenia. – Jeśli nie chcesz skorzystać z pomocy Obdarowanych, pozwól, niech zrobią to inni. Może znajdzie się ktoś, kto nam zaufa.

– Chyba już się znalazł – mruknął Rhodes. – Pewnie zrobię z siebie głupca... ale wierzę ci.

Tuż przed świtem, kiedy mrok jest najgęstszy, a cisza przytłaczająca, rozległ się metaliczny łoskot młota uderzającego w tarczę. Spocone dłonie silniej ujęły ścisną przez całą noc broń, powieki mrugały, chcąc jak najszybciej usunąć zmęczenie i łzy od uporczywego wpatrywania się w horyzont.

Bezszelestnie, jak cienie, do grup obrońców przyłączali się Obdarowani.

Nagle błyski ciągle nadawanych sygnałów urwały się. Gwiazdy zniknęły, zerwał się wiatr, a ludzie skulili się przytłoczeni strachem. I wtedy usłyszeli dźwięk: łopot skórzastych skrzydeł rozdzierających ciszę.

Feeria barw rozświetliła ciemności. Noc wybuchnęła rozdzierającym rykiem.

Na postrzępionych murach kuliły się małe sylwetki ludzi. Przepęłniała go żądza krwi... Cal obudził się. Leżał drżący pod grubą derką. Otwarte szeroko oczy rejestrowały bladość świtu, rozróżniały kształty, lecz wystarczyło, że przymknął je na chwilę, a znów widział scenę z koszmaru.

– Odejdź, zostaw mnie w spokoju – wyszeptał z udręką. – Nie zmuszaj mnie, żebym to oglądał.

Przycisnął dłonie do czoła, jakby chciał wyprzeć z głowy natrętne obrazy, ale to nie pomogło. Odrzucił koc i zadrżał, kiedy poranny chłód owiał mokrą od potu skórę.

Gdzieś niedaleko trzasnęła gałązka. Rozświergotane ptasie głosy umilkły nagle.

Calmin znieruchomiał, a potem sięgnął po miecz. Nie zdążył.

Głuszę przerwały ostre głosy wykrzykujące komendy, a pomiędzy śpiącymi pojawiły się sylwetki odziane w pstrokate tuniki. Tui ówdzie dało się słyszeć szcęk broni uderzającej o broń. Milkł równie szybko, jak się rozpoczynał.

Cal nie stawiał oporu. Rozpoznał barwy napastników: to byli żołnierze w służbie gubernatora Sansed.

– Przekroczyliście granicę prowincji. Dokąd zmierzacie? – spytał donośnie jeden z nich. Słowom towarzyszył rytmiczny odgłos klaśnień rękawic, którymi uderzał o udo.

– Z pielgrzymką, do Loenu. To ludzie z majątku pana Faliasa – wyjaśnił Cal, wskazując na namiestnika. – Pan Falias byłby bardzo rad, gdyby gubernator Sansed zechciał go przyjąć.

Żołnierz spojrzał na namiestnika, oceniając jego strój i sylwetkę, i na gromadę rozspanych, potarganych chłopów. Pokiwał głową.

– A ty?

– Jestem Calmin z klanu Fen, Jeździec Równin w służbie pana Faliasa – zabrzmiał czysty głos.

– Fen, Fen... Czy ja o tobie nie słyszałem? – spytał.

– Zanim wstąpiłem na służbę do pana Faliasa, byłem kapitanem Królewskiej Armii

Imeskarii.

– Kapitanem?

Żołnierz spojrział na niego spode łba. Myślał. Wreszcie rękawice klasnęły mocniej i zakończyły swój rytmiczny taniec.

– Wy, panie, i ty, Jeźdźcu, pojedziecie ze mną. Reszta pójdzie pieszo za nami.

– Muszę zabrać swój kufer – odezwał się namiestnik.

Podejrzliwość rozpalila się w oczach dowódcy mocnym płomieniem.

– Jaki kufer?

– Nie myślisz chyba, że mój pan stanie przed gubernatorem niczym żebrak i bez podarunków – wtrącił zjadliwie Calmin. – Żądamy też kilkusobowej eskorty naszych ludzi...

– Dość, Fen.

– ...żeby mieć pewność, że nie poderżnicie nam gardeł gdzieś w lesie.

Żołnierz poczerwieniał ze złości, a rękawice znów zaczęły wystukiwać swój monotony rytm.

Cal patrzył na niego nieustępliwie i dowódca nie wytrzymał tego ciężkiego spojrzenia.

– Trzech – wydusił wreszcie. – Bez broni.

– Ty, ty i ty. – Jastrząb błyskawicznie odwrócił się na pięcie i wskazał trójkę ludzi, w tym Briana. – Ty, księżulku, zostajesz z pozostałymi – zwrócił się do Dougha.

– Taa... – zaczął Dough i nagle przypomniał sobie o ogolonej głowie i szatach, które miał na grzbiecie. – Niech was Oblicza Boże mają w swojej opiece. Do zobaczenia za parę dni.

Bez pieszych gwardzistów, wlokących się niczym prawdziwa procesja, droga do Dardall, stolicy prowincji, zajęła im trzy dni.

Miejscowy komendant garnizonu wysłuchał raportu, przydzielił gościom kwatery i postawił przed drzwiami strażnika, po czym udał się wprost do gubernatora.

– Wyspa Mgieł, powiadasz – powtórzył Sylus, zarządzający prowincją Sansed. – Falias, hmm, nigdy nie słyszałem. I chcą się ze mną widzieć?

– Tak, panie, na osobnym posłuchaniu – potwierdził komendant.

– A ty, co myślisz?

Zapytany wzruszył ramionami.

– Broń im odebraliśmy, jechali spokojnie, oporu nie stawiali...

Gubernator był postawnym *mężczyzną* liczącym sobie około czterdziestu wiosen. Wysokie czoło z głębokimi zakolami przecinały pionowe zmarszczki, nadające twarzy wyraz wiecznego niezadowolenia. Pod wydatnym nosem zwieszały się opuszczone w dół wąsy. Teraz ciaśniej otulił się podbitą rysiomym futrem szubą i zapatrzył na fresk zdobiący ścianę gabinetu. Straszliwy bohomas raził kolorami, mieszał wzrok brakiem perspektywy, ale Sylus go lubił. Przedstawiał scenę, w której wszystko było jasne i łatwo czytelne – smoki, straszliwe zło, które należało pokonać, i ludzi, którzy nie wahali się poświęcić życia, by tego dokonać. Teraz wszystko się zmieniło. Sylus jeszcze raz spojrział w gorejące oczy jadowicie zielonej bestii.

– Przyjmę ich – powiedział. – To nie będzie prywatne spotkanie, lecz obejdzie się bez obecności kapłanów. Zdamy ich wezwać, gdyby okazali się potrzebni.

Sala posłuchań była duża i bogato przystrojona. Porfirowe kolumny podpierały ozdobiony mozaikami sufit, tapiserie lśniły złotymi nićmi, w wysokie okna wprawione były kolorowe szybki, które w słoneczne dni rzucały wesołe błyski. Goszczący w Dardall nie bez racji uważali, że gubernatorska siedziba znacznie przewyższa proporcjonalnością kształtów i wystrojem komnat zamek w Loenie. Prowincja Sansed przynosiła znaczne dochody i kolejni

zarządcy z większym lub mniejszym umiarem korzystali z jej bogactw.

Sylus zasiadł na rzeźbionym krześle wymoszczonym wielką poduchą. Obok stanęli komendant garnizonu, Lufus, i zaufany doradca, Kalaas.

– Wprowadźcie ich – polecił komendant, kiedy gubernator, znalazłszy wreszcie w miarę wygodną, a jednocześnie godną pozycję, skinął ręką.

Nim jednak drzwi się otworzyły, zza gobelinu zasłaniającego drugie wejście wysunął się chudy, nieco zasapany mnich i stanął przy gubernatorskim karle.

– Wybacz spóźnienie, panie – zaszemrał – ale nie uprzedzono mnie o tym spotkaniu.

Sylus skrzywił się.

– Winni zostaną ukarani – mruknął niedbale. – Zaczynamy wreszcie.

Do sali weszło pięciu ludzi. Pierwszym pomiędzy nimi był dostoyny mężczyzna w średnim wieku o ogorzałej cerze i z przyprószonymi siwizną włosami. Zarzucony na ramię płaszcz spinała ozdobna złota klamra z rubinem. Spod okrycia widać było grubą skórzaną kamizelę ściągniętą pasem i rękawy białej koszuli. Haft na rękawach i ćwieki, którymi wzmocniono kamizelę, połyskiwały złotem. Sylus gotów był założyć się o swoje ciżmy, że solidna skóra wytrzymałaby cięcie lżejszym mieczem. Obrzucił wzrokiem eskortę zamożnego gościa.

Zgodnie z raportem Lufusa, komendanta, Faliasowi towarzyszyło trzech najemników i kapłan, tymczasem dwóch mężczyzn – Jeździec z Marth o splecionych w ciasny warkocz włosach i ogolony na łyso zawadiaka – miało na sobie wypłowiałe, skrojone na żołnierską modłę kaftany ze znakiem Jastrzębia, a dwaj pozostali tuniki z królewskim herbem, z widniejącym na nim mieczem odcinającym smoczą głowę. Tylko tło – miast purpurowe – było jaskrawoczerwone. Po śmierci Emausa żaden ród w Imeskarii nie pieczętował się podobnym znakiem.

Trzeba się było zgodzić na prywatne spotkanie, pomyślał Sylus, skubiąc wąsa. Niech Bengh skosi tego klechę.

Skinął na komendanta i szepnął mu parę słów do ucha. Żołnierz zniknął na chwilę, a potem znów stanął obok gubernatorskiego krzesła.

Cisza przedłużała się niebezpiecznie.

– Mój pan wita cię i dziękuje, że zechciałeś przyjąć go tak gościnnie – rozbrzmiał wreszcie spokojny, czysty głos Jeźdźca.

– Pan Falias przebył długą drogę, by spotkać się z tobą, wasza miłość.

Gubernator przymknął oczy, skrywając isierki gniewu. Ten zuchwalec dawał mu wyraźnie do zrozumienia, że to on powinien pierwszy powitać gościa. Nie odezwał się.

– Mój pan nie czuje się dobrze, stąd prośba o prywatne spotkanie – głos Jeźdźca opadł odrobinę, a oczy pomknęły w stronę mnicha. – Pan Falias chciałby ci przedstawić pewne dokumenty, które...

Z przejścia ukrytego za kobiercem wyłonił się niewysoki mężczyzna. Musiał być gwardzistą w służbie gubernatora, bo na kolczugę narzucony miał gambeson ze znakami Sansed, a w ręku trzymał hełm.

– Tak? – zachęcił uprzejmie gubernator, ale przemawiający milczał. Sylus nie wytrzymał i odwrócił się.

Gwardzista o lisiej twarzy gapił się najeźdźca z otwartymi ustami. Zwiniętą pięść odruchowo uniósł w salucie, wyprężając ciało.

Jeździec nie odsalutował, ale przez jego usta przewinał się cień uśmiechu. Gubernator jeszcze raz przeklął w duchu własną ostrożność i spojrzał nienawistnie na słuchającego pilnie

mnicha.

– Te dokumenty – podjął Jeździec z naciskiem – są wyjątkowo cenne i wymagają uwagi.

Wskazał na okuty srebrem kuferek, który trzymał jeden z żołnierzy w królewskich barwach. Dostojny mężczyzna, przyglądający się dotychczas biernie całej scenie, ruchem ręki osadził w miejscu żołnierza zdążającego już w kierunku gubernatora.

– Dość tej farsy – powiedział zmęczonym głosem. – Dziękuję ci, Calminie Fen, ale muszę załatwić to sam.

Wziął skrzynkę i spojrzał wprost w oczy Sylusa.

– Jestem Falias, potomek Kylana, królewskiego brata Forsytha, namiestnik Wyspy Mgieł, prawowity dziedzic tronu Imeskarii.

Gdyby nagły piorun grzmotnął w barwione szyby, nie wywołałby większego wrażenia.

– Dokumenty z tej skrzyni potwierdzą moje słowa. Nim się z tym zapoznasz, może wystarczy to. – Wyciągnął dłoń, na której wyraźnie odcinał się pierścień na grubej obrączce.

Zanim Sylus zdołał ochłonąć, mnich, zwinny jak kot, przemknął obok i rzucił się do przodu.

– Zdrada! – ryknął, wznosząc sztylet wyciągnięty z fałd szaty. – Zdra...

Zatrzymał się nagle, ręka uniesiona do ciosu opadła, a ciało zgięło się wpół i z głuchym łomotem upadło u stóp Faliasa.

Calmin Fen odsunął namiestnika, kopniakiem odwrócił zwłoki i z piersi wyjął swój nóż. Jasnoczerwona krew popłynęła obfitym strumieniem i zastygła na marmurowej posadzce. Jeździec otarł sztylet o mnisią szatę, wetknął za cholewkę buta i spokojnie wrócił na miejsce, krok za namiestnikiem.

– U... uprzątnijcie go – wymamrotał gubernator. – Tylko dyskretnie.

– Chciałem tego uniknąć, dlatego prosiłem o osobne przyjęcie – powiedział smutno Falias.

– Powinieneś się z tym zapoznać.

Podał Sylusowi kasetę.

– Skąd pewność, że nie każę was oddać katu, a papiery spalić? Zabiliście mojego kapłana.

– Emaus był moim bratankiem. Komu składałeś przysięgę, jemu czy im? – Wskazał pogardliwie na wynoszonego właśnie trupa. – Zebon to uzurpator, lecz gdyby rządził mądrze i sprawiedliwie, mógłbyś się wahać. Jednak ten kapłan jest opętany żądzą władzy przybłądą, czarownikiem, skrywającym swoją moc. Możesz mnie zgładzić i znosić rządy tego szaleńca, ale możesz też przyłączyć się do mnie, pomóc odzyskać tron, przygotować się do...

Urwał gwałtownie, a Sylus dałby sobie rękę uciąć, że Jeździec dał namiestnikowi szturchańca w bok. Ten zwykły poufały gest przywrócił mu wreszcie równowagę i pozwolił uporządkować myśli.

– Lovell.

Wezwany stanął u jego boku.

– Znasz tego człowieka – stwierdził raczej, niż zapytał, wskazując na Calmina.

Lovell rzucił Jeźdźcowi niespokojne spojrzenie i dopiero kiedy ujrzał przyzwalający ruch głowy tamtego, wypalił:

– To kapitan Calmin Fen z Królewskiej Armii Imeskarii, zwany Jastrzębiem. I Brian, z naszego oddziału... Nie wiem tylko, jakim sposobem... Widziałem przecie na własne oczy, jak giniecie w Celebonie...

– A jednak żyję, tak samo jak Dough i Stevar.

– A Trevor, Jarik? On zniknął zara po waszej, eee, po waszym odejściu.

– Obaj zginęli.

– Dość tych wspomnień – przerwał im gubernator. – A więc jesteś tym osławionym Jastrzębiem. Tak, przeczytam te dokumenty, a wy tymczasem pozostaniecie moimi gośćmi. Domyślam się, że ta chłopska procesja to twoje wojska, panie?

– To gwardziści z Wyspy Mgieł.

– Zadbam, by ich nie niepokojono.

– Wasza miłość, czy dasz słowo, że nie zniszczysz tych papierów? – spytał Calmin, kiedy gubernator powstał, dając znak, że to koniec posłuchania.

– To obraza – warknął Kalaas.

– Panie? – nalegał Jeździec, nie zwracając uwagi na doradcę.

– Tak – warknął Sylus i wyszedł, ściskając w rękach kasetę.

W środku nocy gubernator wezwał do swego gabinetu Kalaasa.

– Są prawdziwe – powiedział, wskazując dokumenty, którymi zasłany był stół. – Tu jest cała historia, genealogia, nadania. Wszystko opatrzone królewskimi pieczęciami. Ten list – wskazał na jedną z kart – pisał sam król Forsyth. I co teraz, do jasnej cholery?

Łysy doradca przysiadł na brzegu krzesła i wziął do rąk pierwszy z brzegu dokument. Obejrzawszy pieczęć, rozwinął go ostrożnie. Pełne zawijasów litery wyraźnie odznaczały się na przybrudzonym pergaminie. Przeczytał treść dawnego posłania, sylabizując słowa pod nosem, odłożył rulon i zakręcił młynka palcami.

– Nie kochasz Zebona – przypomniał ostrożnie.

– Nienawidzę go – potwierdził gubernator. – Lecz uznanie tego Faliasa królem... To oznacza jawny bunt przeciwko Jego Dostojności, wojnę domową, zamęt. Dlaczego on przyszedł właśnie do mnie?

– Ale zgadzałeś się z Kattesem, że należy obalić Zebona, brakowało jedynie kandydata do tronu. Teraz okazja sama pcha się w ręce. Jest członek królewskiej rodziny, jest dowódca wojsk, pozostaje tylko... – zawiesił głos.

– Zabić tę gnidę, tak? Jeden już próbował.

– Może źle się do tego zabrał... A kiedy już będzie po wszystkim, ty, panie, wprowadzisz na tron nowego króla.

Sylus wreszcie podniósł głowę i spojrzał na swego doradcę z zainteresowaniem.

– Taak – przyznał – ale gdyby się nie udało, czeka mnie topór.

– Niekoniecznie.

Kalaas rozsiadł się wygodniej.

– Jeśli sprawy nie ułożą się po twojej myśli, powiesz, że zatrzymałeś Faliasa i Jastrzębia, aby protektor osobiście mógł ich osądzić.

– Podwójna zdrada.

– Polityka, panie.

Gubernator opuścił głowę. Bezmyślnie gładził palcami pożółkłe pergaminy, dotykał pieczęci. Niespodziewanie huknął pięścią w stół, aż zaskoczony doradca podskoczył na swoim krześle.

– Nie, Kalaasie. Żadnych zdrad, żadnej polityki. Temu królestwu przyda się dla odmiany trochę uczciwości i honoru. Naradzimy się rankiem, a ty zadbaj, żeby Jego Dostojność nie dowiedział się o naszych planach.

Stear niechętnie zanurzył się w loeński gwar. To była jego pierwsza wizyta w rodzinnym

mieście, od kiedy wyruszył z samobójczą misją na Rubieże. Przywykł do nieograniczonych murami przestrzeni, do ciszy łąk i szumu lasu. Miejski rozgardiasz go ogłuszył, smród ścieków płynących ulicami zatykał oddech. Humoru nie poprawiało mu także wspomnienie poważnej twarzy Valdala i jego obietnicy zwołania Rady Starszych. Nie wiedział, na co liczył Calmin, ale on zawiódł się srodze.

Garard i jego czterej gwardziści czuli się przytłoczeni ogromem Loenu. Ubrani w samodziiałowe chłopskie okrycia gapili się natłumy, na stragany kuszące nieznanymi towarami, na budynki łuszczących się fasadach i stromych dachach.

Gospoda Pod Zamkiem była mała, obskurna i usytuowana w sporej odległości od zamku, ale Stevar wybrał ją z dwóch powodów: gospodarz, Drag, nie interesował się życiem prywatnym swoich gości i dobrze ich karmił. Niedźwiedź z doświadczenia wiedział, że czas w takich miejscach jakby nie istniał i nie pomylił się.

Kiedy usadowił już swoje potężne ciało przy brudnym stole, pojawił się na nim dzbanek ciemnego lońskiego, a Drag przez dziurawe zęby wyseplenił:

– Cześć, Stevar. Obiad? – tonem, jakby rozstali się zaledwie wczoraj.

Po posiłku należycie obfitym, zakwaterowaniu w pokoiku, którego jedyne okno wychodziło na dach, i surowym upomnieniu, żeby wyspiarze siedzieli na tyłkach i nie pokazywali się na dole, Niedźwiedź wyszedł na miasto.

Poszwendał się po ulicach, zajrzał do paru szynków, wreszcie trafił do knajpy Pod Kogutem i zanurzył się w jej gęstej atmosferze. Z zadowoleniem stwierdził, że ciągle jest to ulubione miejsce spotkań lońskich żołnierzy. Powtarzane półgębkiem wieści, które usłyszał po drodze, nie spodobały mu się ani trochę. Musiał dowiedzieć się czegoś więcej. Usiadł w najciemniejszym kącie, zamówił dzbanek piwa i czekał.

Komendant Arebus rozsiadł się na ławie i smętnie zapatrzył na pokryty niezliczonymi rysami blat. Nie podniósł oczu, kiedy obok przystanąła zwałista postać.

– Gorzałki – mruknął przez zaciśnięte zęby.

Po chwili na zachlapanym stole stanęła butelka i dwa cynowe kubki. Arebus odkorkował, nalał i przechylił, nie troszcząc się o niespodziewanego towarzysza. Repetował, charknął na podłogę i dopiero wtedy zerknął na dotrzymującego mu kroku kompana.

– Aaa – powiedział niewyraźnie i ponowił manipulacje z butelką – ja cię znam. Mówili, że nie żyjesz.

Stevar łyknął palącą ciecz, otarł brodę i nalał ponownie.

– Twoje zdrowie, Arebusie.

– Zdrowie nieboszczyków – odwzajemnił się komendant. – Ostatnio ich, kurwa, nie brakuje.

– Zaraza? – spytał naiwnie Niedźwiedź.

– A tak, kurwa, zaraza. Na niedorostków, co ich z fosy wyławiamy...

– Eee – machnął ręką Stevar – popływać pewnie poszli.

– Taa, z wyłupionymi oczami, porznięci niczym prosięta. Ty masz pojęcie, człowieku, czwartego dzisiaj znaleźliśmy. Lato było suche i woda opadła. Poszedłem do Kattesa, a on mnie odesłał jak jakiegoś mydłka!

Walnął pięścią w blat, aż kubki, chwilowo puste, potoczyły się z wesołym brzękiem pod stół. Chwiejącą się niebezpiecznie butelkę złapał Stevar.

– A inni? – spytał ostrożnie.

– Jacy inni? Benektus zniknął, a reszta Rady uciekła.

Stear poczuł się, jakby otrzymał cios w żołądek.

– Benektus zniknął? – wydusił.

– Toś nie wiedział? – zdziwił się Arebus. – Podobno o zdrowie Jego Chędożonej Dostojności poszedł zapytać razem z Brendanem, tym tłuściochem z kolegium. Żaden nie wrócił. Brendanowi łeb ścięli i nad świątynią wywiesili, a Koniuch zniknął... Kattes ze strachu prawie rozum stracił. A ten, tfu, wyzdrowiał, psia jego mać, i nabożeństwa po dawnemu odprawia. Gdzieś ty się podziewał, że o niczym nie wiesz?

– Byłem w Moint – mruknął Stevar, zbyt oszołomiony, żeby zełgać. – Straszna dziura cuchnąca rybami.

– A ten, co z tobą był? Ten, jak mu tam, Jeździec? Gdzie on?

– Nie wiem, rozdzieliliśmy się.

– Co teraz robisz? Znow chcesz wstąpić do armii? Kurewskiej Armii Imeskarii?

– Dopierom przyjechał, muszę się rozejrzeć. Napijemy się jeszcze?

Butelkę później przez opustoszałe, ciemne ulice Loenu przetaczał się ryk nieprzyzwoitej piosenki śpiewanej na dwa ochryple głosy. Tawerna Pod Kogutem znajdowała się ledwie dwie przecznice od koszar i mieszkańcy tych uliczek przyzwyczajeni byli do nocnych przemarszów wojsk, lecz ten wrzask musiał im zadziałać na nerwy, bo nagle jakieś okiennice otwały się z trzaskiem, a na czule objętych śpiewaków spadła zawartość nocnika i dodatkowo mocno przejrzały pomidor. W końcu – zwabieni hałasem – podeszli, strosząc wąsy, miejscy strażnicy. Kiedy rozpoznali komendanta garnizonu, podjęli się niewdzięcznej roli eskortowania go do koszar wraz z przyjacielem, bo Arebus zdawał się wręcz przyklejony do śmierdzącego sikami olbrzyma.

Wartownicy nie okazali zdziwienia na widok swego dowódcy. Odprowadzono go na kwaterę i grzecznie złożono życzenia spokojnej nocy. Jeszcze przez jakiś czas słyhać było uparcie powtarzaną frazę o żołnierzu z żądłem i dziewce rozkładającej nogi, aż wreszcie wszystko ucichło.

Stear odczekał, aż nieregularne pochrząkiwania Arebusa przeszły w rytmiczne posapywanie, zasłonił okna i rozejrzał się po komendanckiej siedzibie. Znalazł dzbanek z wodą i miskę, umył się i przeszukał szafę. Wszystkie spodnie były na niego za ciasne, a jedyna koszula, w którą się zmieścił, okazała się obszerną nocną szatą. Włożył ją z westchnieniem, długi dół upchnął w portkach i obciął nożem dyndające przy kołnierzu i mankietach figlarne troczki. Potem wymknął się z mieszkania Arebusa i omijając warty, wszedł na zamek.

W ciemnych przejściach strażnicy drzemali na stojąco. Pokojowcy, rozciągnięci u drzwi swoich panów, chrapali miarowo.

Niedźwiedź, który podczas żołnierskiej służby poznał zamek na wylot, omijał główne korytarze i cicho jak kot przemykał pomiędzy śpiącymi, aż dotarł do właściwych drzwi. Nie było przed nimi służącego, więc wszedł śmiało. Potknął się tylko raz o pozostawiony na środku komnaty podnózek i dotarł do okna. Sapiąc głośno, wygramolił się przez nie i stanął na szerokim gzymsie. Raz, dwa, trzy – mruczał, mijając ciemne okna. Wreszcie, kiedy uznał, że jest na miejscu, szarpnął okiennicą. Spróchniałe drewno poddało się z lekkim tylko trzaskiem. Niedźwiedź wsunął się w wąski otwór i wylądował na podłodze. Nie zdziwił się nawet, kiedy na szyi poczuł zimny dotyk stali. Spokojnie podniósł ręce w górę, a potem, z niewiarygodną przy jego posturze szybkością, wytrącił nóż i zatkał otwarte do krzyku usta.

– Marszałek Kattes? – spytał cicho.

Szamocząca się w ciemnościach postać energicznie pokręciła głową.

– Cholera by to – wymruczał Stevar.

Obmacał jeńca, zerwał mu z głowy szlafmycę i wepchnął do ust, a ozdobnym sznurem od zasłony skrepował dłonie. Potem zapalił świecę.

Mimo że marszałek Kattes z wystającym mu z ust chwościkiem, oplątany złotym sznurem i z drżącymi ze strachu łydkami wyglądał żałośnie, Stevar skłonił się z szacunkiem.

– Wybacz, panie marszałku – powiedział dwornie – ale musimy pilnie porozmawiać.

Marszałek siedział na łożu, międląc w ustach własne nakrycie głowy, i słuchał opowiadania swego nocnego gościa. Najpierw dlatego, że nie miał innego wyjścia, a potem z takim przejęciem, że niemal zapomniał o upokarzającej sytuacji, w jakiej się znalazł.

– Widzisz więc, panie marszałku, że nie mam złych zamiarów, a działać trzeba natychmiast – zakończył Stevar swoją nieco przydługą opowieść.

Kattes pokiwał głową i zagulgotał przez knebel. Niedźwiedź pospiesznie pociągnął za chwościk i wyciągnął szlafmycę, niemal pozbawiając marszałka zębów, potem rozciął złote więzy.

– Człowieku – sapnął Kattes, czując, że wracają mu siły, a strach ustępuje przed możliwością działania. – Gdzie jest teraz ten Falias?

– Zmierzał do Dardall.

– Sylus to porządny człowiek, choć nie podejmuje pochopnych decyzji. Czas pokaże, co z tego wyniknie. Ale smoki? No, to tłumaczyłoby te idiotyczne sygnały z Rubieży. Teraz najważniejsze, to pozbyć się tego łysego szczura. Tylko jak? Mnisi nie odstępują go na krok.

– Mam pomysł – przyznał Stevar – ale potrzeba nam paru zaufanych żołnierzy.

– To da się zrobić. Oni nigdy nie kochali Jego Dostojności. Tylko te smoki... Co zamierzasz? I co tu, u diaska, tak cuchnie?

Niedźwiedź poczekał, aż marszałek uporządkuje myśli, a potem przedstawił swój plan.

Obrońcy Mulacium kulili się w podmuchach przenikliwego wiatru. Byli brudni, głodni, a nade wszystko zmęczeni. Brud można zmyć, głód nasycić, zmęczenie pokonać snem i odpoczynkiem. Najtrudniej jest przywrócić nadzieję, a oni już ją stracili.

Noc mogła przynieść tylko następny atak, dzień ukazywał ogrom zniszczeń.

Gubernator Rhodes pogrążał się w rozpacz. Jego miasto, jego prowincja stawały się wielkim cmentarzyskiem. Wystarczyło tylko spojrzeć na płonące lasy, lasy, gdzie schronili się mieszkańcy. Z tych, którzy pozostali, ocalała ledwo połowa. Smoków nie można było pokonać.

Wielkie bestie wciąż krążyły w pobliżu, dokonując kolejnych spustoszeń. Ziały ogniem, raziły strachem, miażdżyły domy, zabijały samym tylko spojrzeniem. Obrońców pozostała ledwie garstka, a to, że wciąż żyli, zawdzięczali Obdarowanym. To oni przyjmowali na siebie fale smoczej nienawiści, łagodzili strach, mamili wzrok bestii. Słabo radzili sobie z mieczem czy łukiem, ale byli zawsze tam, gdzie ich potrzebowano. Zostało ich niewielu. Tak niewielu.

Droga z Dardall do Loenu zapchana była ludźmi, wozami i stadami porykującego bydła. Na widok sygnałów wojennych nadawanych z wieży obserwacyjnej niektórzy zabierali, co mogli i opuszczali domy, by znaleźć bezpieczne schronienie w lasach, inni przeciwnie, liczyli na grube mury i garnizon wojska, do którego dołączyli wszyscy zdolni do noszenia broni mężczyźni. Prowincja Sansed gotowała się do wojny.

Pośród tego zamieszania gościńcem kroczyła kolumna żołnierzy. Gwardziści Faliasa, tak jak poprzednio, szli pieszo, starając się zaprezentować jak najlepiej przed obserwującymi ich

ludźmi i żołnierzami gubernatora. Dowództwo nad nimi nadal sprawował Dough. Nad częścią dardallskiego garnizonu, którą zdecydował się zabrać ze sobą gubernator, komendę objął on sam, mając do pomocy puszającego się przed braćmi Lovella. Obiema grupami dowodził Calmin Fen.

Cal nie czuł dumy, choć spełniło się jego dziecięce marzenie. Był wszak bohaterem, słynnym Jastrzębiem z Rubieży kroczącym na czele wojsk, aby walczyć o tron dla swego króla i toczyć bój ze smokami. Myśli zaprzętały mu kłopoty z zaopatrzeniem, powolność marszu i tłok na drodze. O dręczących go koszmarach wolał nie myśleć. Do późna w nocy, przy ognisku, układał plany obrony Loenu przed smokami, rysował na ziemi układ murów, przeliczał ludzi i broń. Znużony zasypiał szybko i mocno, lecz majaki nie pozwalały mu na odpoczynek.

Którejś nocy śnił o Równinach. Widział końskie stado i podążających za nim Jeźdźców, czuł zapach wilgotnej ziemi. Nagle zamglone niebo pociemniało jeszcze bardziej, a tchnący spokojem widok przesłonił ogień i dym. Kiedy się rozwiął, skrwawione zwierzęce trupy barwiły na czerwono łądygi traw, a ludzkie figurki zamierały porażone smoczym strachem, by po chwili umrzeć rozszarpywane przez potężne kły i pazury.

– Czy on oszalał? – spytał zdumiony Sylus Lovella, kiedy rankiem Cal wylał na siebie cebrzyk zimnej wody.

– Wszystko przez tę wiedźmę – mamrotał chłopak przestraszony wyrazem oczu swego kapitana. – Od kiedy ją spotkaliśmy, wszystko szło nie tak.

– Uważaj, co mówisz, mały – upomniał Brian i trzasnął Lovella w ucho. – Gdyby nie ona, nie byłoby nas dziś tutaj, więc trzymaj język za zębami. Kapitan – zwrócił się uprzejmie do Sylusa – lubi poranne kąpiele. Lepiej mu wtedy nie przeszkadzać.

Stear dzieciństwo i młodość spędził na loeńskich ulicach, w mrocznych zaułkach, w które nigdy nie zapuszczali się miejscy strażnicy, gospodach, gdzie spotykały się najgorsze męty. Służba wojskowa i spotkanie z Calminem, wiejskim chłopakiem z głową nabitą szlachetnymi ideami, sprawiły, że Niedźwiedź inaczej spojrzał na życie i na swoje w nim miejsce. Z tamtych mrocznych czasów pozostała mu jednak dogłębna znajomość ludzkiej natury. Wizytując tawerny, słuchając przechodniów, ocenił, że sytuacja w stolicy jest napięta do ostatecznych granic i brakuje tylko iskry, która pobudzi ludzi do działania. Mieszkańcy mieli dość ciągłych postów i umartwień, nieustannych modłów, a nade wszystko strachu na widok ponurych mnichów. Wystarczyło słowo, uśmiech, spojrzenie, które nie spodobało się upiornym patrolom, żeby trafić do lochów. A stamtąd wiodła już tylko jedna droga – na stos. Dodatkowym powodem do wzburzenia był fakt, że nikt nie szukał mordercy chłopców wyłowionych z fosy.

Stear postanowił rozdmuchać w loeńczykach ową iskrę, należało tylko krążącym po stolicy opowieściom i plotkom nadać odpowiedni kierunek, wesprzeć dowodami. Z doświadczenia wiedział, że wieści szeptane półgłosem, powtarzane z ust do ust na targowiskach, w karczmach i zajazdach trafią do ludzi szybciej i celniej niż królewskie obwieszczenie.

Na emisariuszy wymyślonej przez siebie opowieści wybrał pięciu swych wyspiarskich towarzyszy: czterech namiestnikowych gwardzistów i Gararda. Wszyscy oni wyglądali zwyczajnie – dojrzały mężczyźni, z sumiastymi wąsami i nierówno przyciętymi włosami, ubrani w chłopskie sukmany, i młody chłopak, z sypiącym się wąsem, o oczach wyrażających

ni to strach, ni oszołomienie.

Nie wyjawiał im całej prawdy, na wypadek, gdyby trafili w ręce szarej gwardii Zebona, ale historię, którą mieli rozpowszechniać, wbijał im do głowy tak długo, póki nie zapamiętali jej w najdrobniejszych szczegółach. A kiedy uznał, że są gotowi, posłał ich na ulice.

Na pierwszym większym placu czterech mężczyzn rozeszło się w różnych kierunkach i wmixało w tłum. Czasem przystawali przy jakimś kramie, zamieniali parę słów z kupcem albo wrzucili miedziaka do żebraczego kubka. Wstępowali do szynków i stawiali kufle pieniącego się piwa lub pozwalali się częstować, pośród żartów i opowieści.

Garard tymczasem, ściągnawszy ze straganu jabłko, opuścił miasto i zszedł nad rzekę, w miejsce, gdzie zbierały się loeńskie praczki. Zatrzymał się za krzakami, wyrzucił ogryzek, potargał włosy, a w ubranie wtarł garść ziemi. Potem wyskoczył zza zarośli i pochlipując głośno, rzucił się biegiem w stronę kłęczących na kamieniach kobiet.

W innej części Loenu bednarz Frank, którego syn był jednym z zamordowanych chłopców, z ponurą miną dłuhał coś przy deskach. Niechętnie spojrział na wchodzącego.

– Zamknięte – mruknął.

– Roboty szukam, panie – wybąkał stojący w drzwiach pleczysty chłop, miętoląc czapkę. – Może pomocnik wam potrzebny albo terminator?

Bednarz obrzucił przybysza niechętnym spojrzeniem.

– Za staryś do terminu.

– Ale roboty się nie boję. Posprzątałbym i krzepę mam w rękach. Przydałbym się – nalegał chłop.

– Może i tak – przyznał Frank. – Ale nie znam cię, nie wiem coś za jeden. Skądęś, nie z Loenu chyba?

– Nie, panie. Ze wsi wedle Równin.

– Daleko.

– Ano daleko. Ale roboty tam dla mnie nie ma. – Wieśniak westchnął smętnie.

– A to czemu?

Potężny chłop zmieszał się wyraźnie. Przystąpił z nogi na nogę, a czapkę ścisnął tak mocno, że słyhać było, jak pęka na szwie.

– No – ponaglił zaciekawiony nagle bednarz. – Złodziei pod dach nie wpuszczam.

– Jaki tam ze mnie złodziej – wybuchnął przybysz. – Pole miałem i chałupę jak się patrzy. Ja był pan całą gębą.

– I co się stało?

– Ano powiem, bo dobrze wam z oczu patrzy, panie. Żonę mi na stosie spalili, że niby czarownica. Jaka tam ona czarownica? Robotna była, to się nam darzyło, ale przysły mnichy i spalili mikobitę, a pole i chałupę zabrali. To com miał zrobić? Błąkam się tera jak ten pies i roboty szukam, ale ludzie tu nieuzycyliwe, oj nie. Na zamek poszłem, to przegonili, a poreszta, jakżem zobaczył, że tyle tam tych mnichów i usłyszałem, że dzieci tam mordują, to i sam nie chciałem.

Bednarz drgnął, jakby go nagle osa użądliła.

– Coś powiedział?

– Nno – zająknął się wieśniak – że dzieciśka tam mordują, te mnichy znaczy. Nie słyszeliście, panie?

Frank pokręcił głową.

– Ano, tak. Jeden podobnież uciekł i opowiadał, jak klecha jakiś z nożem do niego skoczył,

a przedtem spoić go chciał. Panie, co wam, panie?

Bednarz zbladł, a kropelki potu zrosiły wyłysiałe czoło. Trząsł się, jakby dostał ataku febry, a z gardła wydobywało mu się ni to rżenie, ni to warkot.

– Gorze mi, gorze – wychrypiał i złapał za stylisko wielkiej siekiery opartej o ścianę.

– Panie – wyjąkał kmięc. – Ja nie winien, ja ino roboty szukam. Ratujcie, ludziska!

Po czym odwrócił się i umknął jak spłoszony zajęć.

Zwabieni wrzaskiem sąsiedzi i przechodnie zaczęli gromadzić się przed warsztatem.

Stewar, pozbywszy się wiejskiego przyodziewku, wieczorem ruszył w obchód. Wstępował do karczem i gospód, siadał, popijał piwo i słuchał. Czasem rzucił mimochodem jakąś uwagę, czasem tylko szczyrzył zęby albo potakiwał gorliwie. Ostatnia w kolejce była tawerna Pod Kogutem.

Knajpa pękała w szwach i huczała od wrzasków tłoczących się przy stołach żołdaków. Niedźwiedź zręcznie przemknął pomiędzy gośćmi, w ostatniej chwili uchylił się przed kuflem, którego jakiś rozochocony adwersarz użył jako argumentu w dyskusji, i podążył w głąb sali. Szybko wypatrzył znajomka.

Przystanął obok chuderlawego mężczyzny, z brodą splecioną w fantazyjne warkoczyki i łysym czerepem, ubranym w wyświechtany żołnierski kaftan. Brodacz, którego wołali Jalo, złapał piwsko i przyglądał się, jak dwóch młodych ludzi siłuje się na ręce.

– Kupa czasu – zagał Niedźwiedź.

– Ano kupa – potaknął Jalo, zerkając na rozmówcę. – Urosłeś, zmężniałeś.

– Świeże powietrze mi służy. Co słyszać?

– Fiu, fiu – gwizdnał żołnierz. – W zamku aż huczy.

– Taa, a o czym?

Jalo zachichotał z uciechy.

– Gdzieżeś był, że nic nie wiesz? Ano łebka jakiegoś praczki znalazły nad rzeką. Pono ucik Bengh spod sierpa. Jakiś łysy, powiada do tych bab, na obiad go zaprosił i gorzałką częstował. Chłopakowi siwucha nie posmaczyła, więc ją cichcem pod stół wylewał, to i trzeźwy był.

– Miłosierny uczynek głodnego nakarmić, spragnionego napoić, choćby i siwuchą – wtrącił filozoficznie Stevar.

– A jakże, a potem w portki zaglądać i z nożem pogonić. Tfu, obraza boska! – Jalo splunął na podłogę i wskazał na sapiących z wysiłku młodzieńców.

– Widziałeś ich? Już długo się tak siłują. Może by zakładzik? Sztuka srebra na tego większego.

Niedźwiedź ocenił zawodników i pokręcił głową.

– Mały siły traci, ten byk zaraz go rozłoży. A łysy to kto? Wiadomo może?

Jalo wzruszył ramionami.

– Łysy jak łysy, oni wszyscy jednacy, ale ciemny habit miał, znaczy ważny. Podobno oczy miał dziwne i blady był jakiś. No, kurde, trzymaj, trzymaj! – wrzasnął nagle, widząc, że pięść jego faworyta znalazła się niebezpiecznie blisko blatu. Ten jakby usłyszał i podciągnął. Widać jego przeciwnik zużył na ten atak resztę sił, bo w chwilę potem został pokonany.

– Koniec – sapnął Jalo. – Piwo dla tego osiłka, ja stawiam! Chodź, Stevar, siądziem, nogi mi do rzyci włożą.

– Szuka kto tego łysego? – drażył Niedźwiedź.

– A niby kto? I skąd wiedzieć, który to, jak chłopak znik. Ale jakbym dorwał takiego sukinsyna w swoje ręce... – Jalo wyszczerzył zęby w nieprzyjemnym uśmiechu.

– Taaa. No, czas na mnie – pożegnał się Stevar i rzucił na stół kilka miedziaków.

– Gdzie ci tak spieszo? Pogadalibyśmy jeszcze, popili.

– Łóżko stygnie, a panience ochota odejdzie – roześmiał się Niedźwiedź. – Bywaj, Jalo.

– Ano bywaj – odmruknął żołnierz. – Ty, młody, zmęczonyś? Może popróbowalbyś się jeszcze z kimś, hę? Zrobiłoby się parę zakładników, podzielilibyśmy się po połowie.

Gdyby Jego Dostojność Zebon przeszedł się następnego dnia po Loenie, zdziwiłby się zapewne panującym w nim nienaturalnym spokojem. Pewnie, że targowisko tętniło życiem, ulice były zatłoczone, lecz przechodnie, kupcy, a nawet wysiadujące po karczmach darmozjady miny mieli poważne, a w oczach bunt. Z przesadną grzecznością ustępowali z drogi kapłanom, ale nie zginali się w ukłonach, nie prosili o błogosławieństwo. Odprowadzali ich tylko ponurymi spojrzeniami i zaciskali pięści. Patrolujący ulice strażnicy czuli ową niezwyczajną atmosferę, ale przed wieczorem, jakby na umówiony znak, zebrali się w koszarach. Żaden nie miał ochoty wyruszyć na obchód, a dowódcy nie przynaglali ich do pośpiechu. Lecz protektor spędził cały dzień w swej ascetycznej zamkowej izdebce i dopiero przed zmierzchem wyszedł, by odprawić nabożeństwo.

Z satysfakcją patrzył z okna na zgromadzonych przed świątynią wiernych. Upajał się ich obecnością, przekonaniem, że przyszli, by oddać cześć jemu, nie Bogu. Kiedy zszedł na dół, gdzie czekali na niego towarzyszący mu w rytuale kapłani, policzki miał nienaturalnie czerwone, a podniecenie buzowało w całym ciele. Wziął Księgę Objawień i dał znak. Drzwi wiodące na plac otwały się powoli, procesja ruszyła.

Po paru krokach Zebon nagle zwolnił. Rumieńce ustąpiły bladości, ciało pod obszernym habitem spłynęło potem. Stłoczeni ludzie cuchnęli nienawiścią. Wrażenie było tak silne, że protektor zmylił kroki, a ciężki tom prawie wysliznął mu się z dłoni. Zerknął do tyłu, lecz nie mógł już zawrócić. Zbita ciżba zatarasowała mu odwrót, szedł więc ciasnym szpalerem akolitów oddzielającym go od zionącej wrogością tłuszczy.

– Mordercy!

Okrzyk zabrzmiał w ciszy, odbił się od kamiennych ścian i wrócił echem. Tłum zafalował.

– Mordercy dzieci!

Dostojnicy towarzyszący Najwyższemu Kapłanowi trwożliwie, ukradkiem rozejrzeli się na boki. Mnisi strzegący przejścia zwrócili oczy na ciżbę, by wyłować krzykaczy. Kilku, brutalnie odpychając stojących, ruszyło pomiędzy motłoch. W powietrzu świsnął kamień i uderzył szaro odzianego akolitę, z nagiej czaszki spłynęła krew. Zraniony z wściekłością spojrzał w nieprzyjazne oczy.

– Wy kmioty! – wrzasnął. – Zapłacicie mi za to!

To wystarczyło. Dyszący nienawiścią loęczycy wciągnęli go pomiędzy siebie i zaczęli okładać pięściami. Gdzieś błysnął nóż.

– Łapać morderców! Na stos ich! – rozwrzeszczały się setki gardeł.

Zapanował chaos. Mnisi uświadomili sobie nagle, że jest ich zbyt mało, by podjąć walkę, zwłaszcza że nigdzie nie było widać żołnierzy. Jedyne, co mogli zrobić, to otoczyć kołem Zebona i wraz z nim przeciskać się w stronę schodów do bezpiecznego schronienia, jakim była świątynia.

Zebon, pod osłoną swojej szarej gwardii, dobrnął do bożnicy, mnisi zaryglowali wrota.

Siedzący w środku wierni nie wiedzieli, co zaszło, oglądali się więc ciekawie do tyłu,

póki nie zobaczyli protektora. Wtedy wszystkie głowy zwróciły się w stronę figury Boga o Wielu Obliczach. Najwyższy Kapłan truchtem przebiegł pomiędzy zgromadzonymi i zatrzymał się przed posągiem.

– Módlcie się! – ryknął i spojrzął w kierunku krypty.

Wejście do niej zamykały nowe, lśniące jeszcze kroplami żywicy drzwi, a metalowe sztaby zamknięte na kłódkę wyraźnie odcinały się na tle dębiny.

Zebon zadygotał ze strachu, oczy niespokojnie omiały rozświetlone świecami wnętrze.

Dźwierz zadrzęsły się od uderzeń. Tłum na placu skandował ponuro:

– Mordercy na stos!

Akolici rzucili się, by podeprzeć coraz mocniej trzęsące się wrota.

Najwyższy Kapłan, osamotniony przy ołtarzu, nie wytrzymał napięcia. Uwolniony spod kontroli Dar poruszył ciężkie ławy, postrącał świece. Ich rozszalałe płomienie osmały siedzących w pierwszych rzędach, podpaliły szaty i włosy. Ludzie zerwali się ze swoich miejsc – część rzuciła się ku głównemu wyjściu, tratując stojących tam mnichów, inni, nie wiedząc, że zablokowano dostęp do krypty, przepychali się w stronę apsydy.

Kattes, w pierwszej chwili zaskoczony pokazem mocy, opanował strach i wyciągnął sztylet. Bez pardonu roztrącał stojących mu na drodze wiernych, póki nie dotarł do ołtarza. Był tak blisko Zebona, że czuł zapach jego strachu. Dym opadł na chwilę i wtedy ich oczy spotkały się – gorejące oczy szaleńca z zimnymi oczami marszałka zdecydowanego zakończyć ten obłąd.

– To ty! – wrzasnął kapłan, wyciągając rękę.

W tej samej chwili Kattes rzucił się na niego, chcąc przygwoździć do ziemi i poderżnąć gardło. Chybił o włos. Zebon cofnął się, wpadając wprost na potrącany nieustannie, chwiejący się posąg.

Wyrzeźbione Oblicza Boże runęły na swego Najwyższego Kapłana, a sierp Bengh przeszył mu pierś. Przez wyłamane drzwi wdarł się do kaplicy rozwrzeszczany motłoch.

CZEŚĆ ÓSMA:

ZŁOTY SMOK

Loeńskie kuźnie rozbrzmiewały łomotem przekuwanego żelaza. W koszarach komendant Arebus – zadowolony, że ma wreszcie co robić – zdierał sobie gardło, musztrując świeżo zaciągniętych żołnierzy. Straż miejska patrolowała ulice, pilnowała porządku, studziła emocje. Heroldowie ciągle na nowo odczytywali obwieszczenie podpisane przez marszałka Kattesa. Stragany i sklepiki z żywnością świeciły pustkami. Kto żyw gromadził zapasy na nadchodzącą wojnę.

Kattes siedział przy łożu Benektusa i streszczał mu najświeższe wydarzenia, choć na widok zmaltretowanego przyjaciela coś ścisnęło go w gardle, a oczy wilgotniały.

– Rozruchy trwały całą noc – opowiadał. – Ludzie rozochocili się i rzucili do wyrzynania mnichów. Podpalili kilka świątyń, zdemolowali kolegium, ale następnego dnia udało się przywrócić porządek. Wysłałem na ulice żołnierzy i naruszyłem królewskie piwnice. Nie masz pojęcia, jak parę darmowych beczek wina poprawia nastroje. Kazałem też ogłosić, że wkrótce do Loenu przybędzie królewski potomek, by objąć tron, więc piją jego zdrowie.

– A przygotowania do obrony? – spytał słabo Benektus.

Marszałek skrzywił się.

– Zaciągnąłem nowe wojsko, kazałem wzmocnić mury, podwoiłem strażę.

Koniuszy zamknął oczy. Kattes patrzył chwilę, jak ciężki oddech unosi wychudłą pierś.

– Zmęczony jesteś, pójdę już – szepnął i cicho wyszedł.

– Zasnął – powiedział do Stevara, który czekał w jego komnacie.

– Cud, że przeżył. Myślałem, że rozkuwam trupa.

– Cud – zgodził się marszałek. – Co słyszeć w mieście?

– Ludziska z kufarów broń powyciągali, wyczyścili pancerze. Nie boimy się smoków, powiadają, Forsyth je przegonił, to i my poradzimy. Oblicza Boże czuwają nad nami! – Niedźwiedź udatnie naśladował ochryple przechwałki loeńczyków.

– Dobrze się stało, że Zebon zginął przygnieciony przez posąg, a nie od mojego sztyletu. Wyglądało, jakby sam bóg wymierzył mu karę – zamyślił się marszałek.

– Nie wierzysz w to chyba, panie?

– Czy ja wiem... Łatwiej jest żyć ze świadomością, że ktoś, choćby i bóg z czterema twarzami, ma cię w opiece.

– Brednie – sarknął Niedźwiedź. – Ja tam wierzę we własny rozum i ten kawałek żelaza. – Potrząsnął mieczem. – Te bajdy o boskich Obliczach wymyślili przerażeni wojną szaleńcy, a Forsyth je zaakceptował, bo tak mu było wygodnie.

Kattes nie mógł odmówić logiki wywodowi Stevara, ale poczuł nagłą złość na przesadnie bezpośredniego olbrzyma. Od śmierci Najwyższego Kapłana Niedźwiedź prawie nie opuszczał zamku i wszędzie wtykał swój wielki nochal. Chwilami marszałek dziwił się sobie, że zamiast kazać go wychłostać za bezczelność i odesłać pod komendę Arebusa, słucha pilnie każdego zdania i dzieli się najskrytszymi myślami. W końcu to za jego sprawą ludzie wreszcie przejrzeni na oczy, usprawiedliwiał się w duchu. Kto by pomyślał, że plotki, które rozpuścił, okażą się prawdą... Kattesem wstrząsnął dreszcz na wspomnienie tajemnej komnaty w

podziemiach zamku, krwawych plam na ścianach i postaniu, mdlącego zapachu, którym było przesiąknięte. Tak, gdyby nie ten osiłek, protektor mógłby długo jeszcze pławić się w chwale i mordować niewinnych. Ale, mimo zasług, czas tego zuchwalca przywołać do porządku, uznał.

Odchrząknął, założył ręce za pas i mimochodem spojrział w okno. Na murach tłoczyli się cywile i żołnierze, wszyscy wpatrzeni w horyzont. Zamiast reprimendy z jego ust wydobyło się tylko przeciągłe westchnienie.

– Gdybyśmy choć wiedzieli, gdzie smoki zaatakują. Można by ostrzec ludzi, wzmocnić obronę.

– Nie ominą Loenu – burknął Stevar z ponurą pewnością. – Jest między nimi co najmniej jeden, który ma do wyrównania rachunki z Jego Martwą Dostojnością.

– Nie pojmuję – zdziwił się marszałek, ale nim zdążył dokładnie wypytać Niedźwiedzia, wszedł pokojowiec.

– Goniec, panie.

– Aaa, wpuścić natychmiast. Skądęś, człowieku? No gadaj, nie stój jak słup.

– Z Dardall, wasza miłość – wydusił żołnierz. – Listy od gubernatora wiozę.

– No to dawaj, dawaj.

Drzwi otwarły się ponownie.

– Goniec – po raz drugi beznamiętnie oznajmił służący.

Kattes skinął głową w roztargnieniu, bo właśnie złamał pieczęcie i zaczął czytać wymięte kartki.

– Od Sylusa – mamrotał. – Więc jednak zdeklarował się po naszej stronie i ciągnie tu razem z wojskiem, a Falias razem z nim, i Jastrząb. Ciekawe kiedy...

– Panie marszałku...

– Zaraz, zaraz. Jeśli wyruszył...

– Panie! – huknął Stevar. – To posłaniec z Mulacium.

– Co, gdzie? Z Mulacium... – dokończył zamierającym głosem.

Obszarpany, zarośnięty mężczyzna ledwo trzymał się na nogach. Odzienie miał brudne, śmierdzące potem. Spod zasznurowanego kaptura sterczały sztywne włosy, nos wyzierający znad zmierzwionej brody był czerwony i napuchnięty. Goniec co chwila wycierał go rękawem, tak samo jak załzawione oczy. Niedźwiedź podsunął mu krzesło i hojnie poczęstował zawartością oplecionego wikliną dzbana stojącego na stole.

Mężczyzna wypił, oblizał się i wyciągnął kubek po dolewkę.

– W gardle zaśchło – usprawiedliwił się.

– Głodnyś?

– A juści. Bez przystanku z Mulacium jadę. Koniam na śmierć zagonił.

– No mówże – popędził go Kattes.

– Wyście marszałek? – upewnił się posłaniec i otarł zwisającą z nosa kapkę.

– Tak, tak.

– Smoki nas zaatakowały.

– No i?

– Bronilim się, ale nie obronilim. Z Mulacium ino kupa gruzu została, lasy się palą, a tam kobiety z dzieciskami schowane były. Nocą żeśmy wyszli, a mnie gubernator ostatniego konia dał i kazał innych po drodze ostrzec, a potem do Loenu jechać. Dwa my zranili, ale nie ubili żadnego. Czarownicy... eee, Obdarowani nam z pomocą przyszli, co by nie oni – nikt by żyw nie wyszedł. Porządni z nich ludzie, chocia czaro... eee, Obdarowani.

– Stevar, co on mówi? – spytał skołowany marszałek. – Co za Obdarowani?

Niedźwiedź zignorował Kattesa i otworzył drzwi.

– E, ty tam. Obiad przynieś, na jednej nodze.

– Panie... – wtrącił się goniec z Dardall.

– Dwa obiady, biegiem. No rusz się, lebiego – pogonił służącego, który oddalał się dostojnym krokiem.

Goniec z Mulacium dopił drugą szklanicę przedniego, crystońskiego wina. Zmęczona twarz ożywiła się, zgrabiałe, posiekane wiatrem dłonie przestały drżeć. Mlasnął, oblizując krople trunku z potarganych wąsów i z większą elokwencją tłumaczył:

– Oni z ostrzeżeniem przyszli, ale gubernator do lochu kazał ich wtrącić. A potem się pokazało, że rację mieli... Smocza zaraza, tфу! – Łupnął pięścią w stół, aż dzban zabrzęczał, a Kattes drgnął niespokojnie.

– Ile ich? – spytał słuchający pilnie Stevar.

– Sternaście – smarknął posłaniec.

– Ile? – Nie zrozumiał Kattes.

– Czternaście – mruknął Niedźwiedź. – Dwa raniliście, powiadasz?

– Ano tak. Posoka na nas buchła, to wiemy, że jeden w kuper dostał, a drugi w skrzydło. Ale ogniem ział, bestyja. My innego chcieli dostać, złotego. Grzywę taką miał i w słońcu błyskał, mniejszy od innych i znaczny, ale się nie dało.

– O jasny... – wymamrotał Stevar. – Niech mnie nagła krew zaleje, jak to nie ona. Rację miał Falias. Niech to szlag!

Kattes słyszał z tego szemrania co trzecie słowo, ale i tak zaintrygowało go to okrutnie. Tymczasem wniesiono dymiącą michę mięsiwa i obaj posłańcy rzucili się na jedzenie. Przez chwilę słyhać było tylko mlaskanie, chrzęst obgryzanych kości i gulgot lejącego się wina, którym się raczyli. Stevar i Kattes nie przerywali im. Dopiero kiedy posłaniec z Mulacium rozparł się na krześle i beknął z zadowoleniem, marszałek spytał:

– Mówiłeś, że miasto zniszczone.

– Ano, prawda – potaknął zamroczony goniec.

– A gubernator i żołnierze?

– Uszli w lasy. Tych, co ocaleli, mieli szukać, a potem z pomocą innym miastom pospieszać. Ale smoki musiały gdzie indziej lecieć, bo po drodze spokój.

– A ty listy tylko wiozłeś, czy coś powiedzieć miałeś? – zwrócił się do drugiego posłańca.

– Ino listy, panie. – Żołnierz zerwał się.

– Idźcie spocząć, obaj. Służący was zaprowadzi.

Gońcy wyszli. Bębniący palcami po stole Kattes poczekał, aż zamknęli za sobą drzwi i spojrzał gniewnie na Stevara.

– Bądź łaskaw się wytłumaczyć – powiedział sucho.

Niedźwiedź obdarzył marszałka najniewinniejszym ze spojrzeń.

– Co za smok ma rachunki z Zebonem?

Stevar milczał.

– Mam dość twojej bezczelności. Jeszcze dziś zameldujesz się u Arebusa. Osobiście dopilnuję, żeby oddał cię pod komendę Gararda – wściekł się Kattes.

– Na szczęście nie on dziedziczy po Faliasie – wyrwało się Stevarowi.

– Nie on? – zatchnął się marszałek. – Więc kto? Jest starszy syn?

– Obyś, panie marszałku, nie pożałował swojej ciekawości – wymruczał olbrzym. –

Wiedz, że Falias ma tylko jednego syna, Gararda właśnie, ale ma też córkę, starszą od niego.

– Córkę? – Kattes zbladł. – Nie było jeszcze na tronie kobiety. Ajajaj, co za pech! I skąd jej męża wybrać? Nowy kłopot.

– Owszem – przyznał Stevar – ale nie taki, jak myślisz, bo ona już ma męża.

– Kogo, człowieku? Kogo?!

– Calmina Fena, zwanego Jastrzębiem, Jeźdźca Równin Marth.

– Aaa... Nie próżnuje ten Jastrząb, o nie. Ale mogło być gorzej.

– Jest gorzej – burknął znów Niedźwiedź.

– Co jeszcze?

– Bo widzisz, panie marszałku, Albana da Fen z rodu Kylana jest tą samą kobietą o czerwonych włosach, która uratowała czarownicę przed stosem na loeńskim placu. Pamiętasz? To ona niby zabiła nas w Celebonie. Krótko mówiąc, sama jest czarownicą, Obdarowaną.

– O kurr...

– Właśnie. Ale to nie wszystko.

– Nie wszystko? – wybełkotał Kattes.

– Albana była, jest... Jak by tu rzec... Ten złoty smok to ona.

– Że co?

Stevar westchnął i wdał się w bardziej szczegółowe wyjaśnienia. Kattes na przemian bladł i czerwieniał, wzdychał i jęczał, a na koniec wychylił wprost z dzbanka resztkę wina, którą oszczędzili posłańcy.

– ...i nie po próżnicy trzępię ozorem. Powinieneś wiedzieć, że gdyby Faliasowi coś się przydarzyło, to Cal właśnie, a nie Garard, ma prawo do korony – zakończył Niedźwiedź.

Kattes objął głowę dłońmi, jakby się bał, że kark nie wytrzyma jej ciężaru i zerwał się zaraz, bo świątynny dzwon rozbrzmiał spiżowym dźwiękiem.

– Smoki? – spytał bez tchu, ale Stevar już wybiegł z komnaty.

Obserwator na wieży wychylał się spomiędzy blanków i osłaniając dłonią oczy, wpatrywał się w północno-zachodni horyzont.

– Co się dzieje – huknął mu za plecami Niedźwiedź.

– Tarkass się pali. Widać dym.

Stevar wyteńczył wzrok.

– Blisko – szepnął do siebie – a Cala wciąż nie ma. A ty, dalej miej baczenie – rzucił głośno. – Przyślę ci kogoś do pomocy.

Zszedł na dół i przystanął obok zasapanego marszałka.

– Tarkass się pali – powiedział posępnie. – Trzeba im wysłać pomoc.

– Nie.

– Chcesz, panie, spokojnie patrzeć, jak tam giną ludzie?

– Nie jestem, do cholery, spokojny! – wrzasnął Kattes. – Ale to za daleko. Gdybyśmy wyruszyli natychmiast, będziemy tam jutrokoło południa, zmęczeni forsowną jazdą. Przez ten czas smoki mogą polecieć gdzie indziej, choćby tu. A jeśli to zwykły pożar albo jakaś sztuczka? Może mamia nam wzrok, bo liczą, że opuścimy miasto?

– Prawda, jest z nimi Albana, a ona wiele potrafi – przyznał Niedźwiedź przestraszony nieco wybuchem marszałka.

Kattes zacisnął dłonie na wygładzonych kamieniach muru. Ciągłe patrzył na ciemne kłęby dymu unoszące się nad horyzontem.

– Wojsko powinno nadciągnąć za parę dni. Wyślę im naprzeciw gońca, żeby wiedzieli, jaka jest sytuacja. I trzeba zwołać Radę, zawnoczu przygotować koronację. Nie można zwlekać. Kapłani muszą zaprzysięć wierność Faliasowi, zanim się wyda, że królewska córka jest czarownicą. Potem, jeśli się zbuntują, będzie można ich wyrznać albo wtrącić do lochu – mówił do siebie. – Co się tam dzieje, u licha?

Zaintrygowani hałasem przeszli na drugą stronę muru i spojrzeli na dziedziniec.

Plac zapchany był ludźmi. Notable i żołnierze mieszałi się ze służbą i czeladzią. Całe to ludzkie mrowie obijało się o siebie i przepychało, nie szcędząc przekleństw i razów. Każdy trzymał jakąś broń: miecz, kuszę, nóż, pikę albo i zwykły kij. Opasana fartuchem kucharka wywijała umączonym wałkiem do ciasta.

Niedźwiedź pokiwał ponuro głową.

– Tu i obrona niepotrzebna. Na sam widok naszych wojsk smoczyska pękna ze śmiechu.

Wieczorem łuna na północnym zachodzie przybliżyła się do miasta. Lończycy pokładli się do łóżek z orężem w zasięgu ręki. Żołnierze trzymali służbę na murach, rekruci na placu ćwiczeń z zapalem walczyli ze słomianymi kukłami.

Garard z wyspiarzami szykował i czyścił broń. Po potyczce z mnichami on i gwardziści przybrali pozy doświadczonych weteranów. Spluwali przez zęby, klęli najgorszymi słowami, sączyli przemycone do koszar piwo. Mimo dziarskiej miny chłopak wzdragał się na myśl o spotkaniu z ojcem. Dobrze pamiętał jego ciężką rękę z nie tak odległego przecież dzieciństwa.

Posiedzenie Rady, które zwołał Kattes, odbyło się w komnacie Benektusa. Zarówno koniuszy, jak i obecni w mieście Vitas Tyr i podskarbi Gremus bez wahania zaakceptowali plany marszałka. Rozumieli, że w obliczu smoczego najazdu i potęgi kościelnych fanatyków tron nie może pozostać pusty.

Poranek nastał mglisty i chmurny. Ciężki opar zalegał na okolicznych łąkach, unosił się nad rzeką. W powietrzu czuć było smród spalenizny. Strażnik na wieży zaklinał się, że kiedy obłoki na chwilę odsłoniły słońce, widział nad Farsalos, miasteczku leżącym ledwie dzień drogi od Loenu, olbrzymie cienie bestii. Ludzie gromadzili się na ulicach i z lękiem wpatrywali w północne niebo. Nikt już nie żartował.

Późnym popołudniem, w strugach deszczu, który lunął niespodziewanie po tygodniach suszy, u południowych bram miasta nagle zagrały rogi.

Kattes, zmęczony wielogodzinnym napięciem, zerwał się z płytkiej drzemki, trzęsącymi się rękoma nałożył na siebie paradny strój i pobiegł na dziedziniec, gdzie już gromadzili się dostojnicy. Wkrótce cała grupa ruszyła do Bramy Złotników, chcąc godnie przywitać nowego władkę. Stali potem w strugach deszczu, a futra i aksamity ich płaszczy przesiąkały wodą. Patrzyli, jak rozpryskując kałuże, kolumna konnych i pieszych wkracza na most i wjeżdża do miasta. Powitanie trwało krótko, uroczyste mowy zarezerwowano na czas biesiady przygotowanej na zamku.

Lończycy, nie bacząc na deszcz, ustawili się wzdłuż ciasnych uliczek, obiegli okna i dachy, lecz wśród przemoczonych szarych postaci z trudem dawało się odróżnić sylwetkę Faliasa. Proporce obwisły smętnie, straciły barwy i nie sposób było dojrzeć, co przedstawiają haftowane herby. Kwiaty, które gdzieniegdzie rzucono z okna, zniknęły wdeptane w bruk przez końskie kopyta i oblepione błotem buciory maszerujących.

Sala audiencyjna zapełniła się gośćmi. Pod ścianami, wyprostowani niczym struny, czuwali

gwardziści. Na wyciągniętych z lamusa tunikach, śmierzących stęchlizną i bagnięcem, pyszniły się korona i miecz. Zniknęły równoramienne krzyże – znak protektora.

Wielkie dwuskrzydłowe drzwi otwarły się nareszcie. Jako pierwszy wszedł marszałek Kattes i długą laską, symbolem swego urzędu, trzykrotnie stuknął w podłogę.

– Jego Wysokość królewski namiestnik Falias, syn Obertha z rodu Kylana – oznajmił głosem schrypniętym z przejęcia.

Usunął się na bok. Oczekujący zgięli karki w ukłonach, gwardziści podnieśli pięści w salucie.

Do sali wkroczył Falias odziany w pięknie zdobioną grawerunkiem zbroję. Jego twardych kroków nie stłumił nawet czerwony chodnik prowadzący do królewskiego stolca. Za nim, niby honorowa eskorta, podążał Jeździec z Marth, w znoszonym mundurze ozdobionym wizerunkiem jastrzębia, i młodzieniec, w którym z trudem można było rozpoznać kręcącego się ostatnio po zamku wyrostka w chłopskiej siermiędze. Teraz – wystrojony w aksamit i złoto, z gładko uczesanymi włosami założonymi za uszy – był wierną kopią starszego mężczyzny. Dalsze miejsca w orszaku zajmowali członkowie Rady, rozglądający się nerwowo kapłan z Księgą Objawień w dłoniach i paziowie, niosący koronę, ceremonialny miecz i purpurowy płaszcz.

Zebrani nagle zrozumieli, że będą świadkami wydarzenia znacznie ważniejszego niż zwyczajowe powitanie. Tymczasem Kattes znów zastukał swą laską, a w kryształ, którym ozdobiono zwieńczenie, zatańczyły zimne ogniki.

– Ja, marszałek Imeskarii, Kattes z rodu Falang, członek Rady, oświadczam: królewski namiestnik Falias, syn Obertha z rodu Kylana, jest prawowitym następcą tronu i korony Królestwa, na co przedstawił niepodważalne dowody. Czy Rada to potwierdza?

– Potwierdzamy – zabrzmiał zgodny chór.

– Czy Kościół to potwierdza?

– Popotwierdzam – zająknął się mnich.

Kattes przyklęknął.

– Panie, w imieniu Rady, Kościoła Boga o Wielu Obliczach i wszystkich mieszkańców Imeskarii błagamy, byś przyjął koronę i miecz twego przodka, Forsytha.

Zebrani wstrzymali oddech.

– Zgadzam się – rozbrzmiał czysty głos Faliasa.

– Czy gotów jesteś przyjąć odpowiedzialność za naród i ojczyznę?

– Jestem gotów.

– Czy przysięgasz bronić swego królestwa, szanować ustanowione przed wiekami prawa, być sprawiedliwym?

– Przysięgam.

– Czy potwierdzacie, że Falias, syn Obertha z rodu Kylana zgodził się przyjąć koronę królestwa Imeskarii i złożył przysięgę?

– Potwierdzamy – huknęli gromko zebrani.

Kapłan drżącymi palcami uczynił znak błogosławieństwa nad złotą obręczą i wymamrotał modlitwę, po czym usunął się w cień. Falias ujął koronę, przyglądał się jej przez chwilę, jakby jeszcze raz rozważał swoją decyzję, a może tylko utwierdzał się w jej słuszności, i wreszcie zdecydowanym ruchem włożył ją na głowę. Kattes podał mu miecz, Calmin Fen narzucił na ramiona purpurowy królewski płaszcz.

Król wznosił miecz, ucałował ostrze, a potem wsunął do pochwy.

– Niech żyje król Falias! – zakrzyknął marszałek.

Goście powtórzyli zgodnie:

– Niech żyje! Niech żyje!

Falias skłonił głowę. Klejnoty osadzone w obręczy rozbłysły w blasku pochodni.

– Zapraszam wszystkich na ucztę, skromną, bo stosowną do sytuacji. Ale kiedy pokonamy bestie i odegnamy widmo wojny, spotkamy się znowu, by się radować i świętować zwycięstwo.

Calmin Fen wszedł do kwatery Arebusa i spojrzał na komendanta.

– Wysłałeś zwiad w kierunku Farsalos?

Kapitan zignorował go.

Cal odgarnął z czoła opadające kosmyki włosów i położył na stole opatrzony królewską pieczęcią papier.

– Wysłałeś? – powtórzył zimno.

– Nie.

– Dlaczego?

Arebus zerknął najeżdźca i napotkał pełne gniewu spojrzenie szarych oczu. Przygarbił się, a jego pewność siebie uleciała. Aby zamaskować zakłopotanie, nonszalancko odwrócił się do okna.

– Wyślij ich teraz, natychmiast. I nie jakichś niedowarzonych młodzików, ale prawdziwych żołnierzy. Mały oddział, nie więcej niż pięciu, sześciu. Niech jadą do Farsalos i sprawdzą, co tam się dzieje, a po powrocie zameldują się u mnie.

– Takiś ważny, pastuchu? Myślisz, że jak królewski płaszcz podawałeś, to i mnie możesz rozkazywać? Ja tu komendant i ani ty, ani ten osiłek nie będziecie się rządzić! – wybuchnął Arebus.

– Już nie jesteś komendantem – odparł sucho Jastrząb. – Ale możesz udowodnić, że potrafisz coś więcej, niż tylko musztrować rekrutów. Poprowadzisz ten zwiad. Weź ze sobą Briana i jeszcze paru ludzi, na których można polegać.

– Jak to nie jestem komendantem? – rozdziawił gębę Arebus. – Z czyjego rozkazu?

– Mojego.

Jeździec wskazał na rulon papieru. Arebus obejrzał pieczęć, złamał ją i przesyłabizował lakoniczny tekst. Poczzerwieniał jeszcze bardziej, ale nie odważył się na komentarz.

– Idź już i powiedz Stevarowi, żeby... Zresztą pójdę z tobą. Przy okazji obejrzę to twoje wojsko.

Otworzył drzwi i gestem pogonił kapitana. Wyszli, kierując się do kantyny.

Stevar, Brian, Dough i Lovell siedzieli w środku, popijając piwo i gadając jeden przez drugiego.

– Dowódca! – ryknął gromko Lovell, który pierwszy zauważył wchodzących.

Calmin machnął ręką.

– Siedźcie. Witaj, Stevar.

Niedźwiedź spojrzał spode łba. Nie miał wcześniej okazji pogadać z przyjacielem, bo Cal był ustawicznie zajęty przy królewskim majestacie. Teraz nie potrafił ukryć urazy.

– Cześć – burknął.

Jastrząb wyjął zza pazuchy następny dokument i podał nabzdyczonemu olbrzymowi.

– Masz, może to poprawi ci humor – powiedział.

– Co to? – spytał podejrzliwie Stevar.

– Nominacja na komendanta loeńskiego garnizonu. Brian, szykuj się do drogi. Kapitan Arebus poprowadzi zwiad do Farsalos. Pojedziesz z nim.

– Taa jest – westchnął Brian, dopił swoje piwo i spojrzał na skrzywionego Arebusa. – Idziemy?

Obaj zniknęli za kurtyną ciągle siąpiącego deszczu.

Niedźwiedź przeczytał papier i popatrzył na Cala.

– Strasznie teraz ważnyś – mruknął już bez złości. – Dowódca Królewskiej Armii Imeskarii, no, no.

Calmin wykrzywił się w imitacji uśmiechu.

– Lovell, przynieś jeszcze piwa, w gardle mi zaschło. – A kiedy chłopak odszedł, zniżył głos do szeptu: – To była protekcja, rozumiecie. Jak się jest królewskim zięciem...

Niedźwiedź i Dough gruchnęli śmiechem. Rezerwa, jaką odczuli wobec przyjaciela, zniknęła.

– Stevar, co myślisz o swoim garnizonie? Będzie z niego pożytek?

– Za pozwoleniem: komendancie Stevar. – Niedźwiedź wyszczerzył zęby. – A czy będzie z nich pożytek, to się okaże. Przecież oni nigdy w boju nie byli, a jedyna walka, jaką znają – to knajpiana awantura. Ale ochoty im nie brakuje.

– No tak. A czemu, do cholery, nie wysłaliście żadnego zwiadu?

Stevar wzruszył ramionami.

– Próbowałem przemówić Arebusowi do rozumu, ale nie chciał słuchać. Cal, wiesz, że był posłaniec z Mulacium? – zaszemrał ledwo słyszalnie.

– Słyszałem. Kattes wspominał.

– A mówił ci o złotym smoku?

Calmin zamarł. Rozpogodzona na chwilę twarz znów zmieniła się w maskę.

– Jest ich czternaście, a wśród nich jeden złoty.

Lovell stuknął kuflami o blat.

– Piwo, dowódco.

Jeździec wstał gwałtownie i wyszedł. Stevar ruszył za nim.

– Noc w noc mam ten sam sen – powiedział głucho Cal, patrząc na tonący w kałużach plac. – Umierający w męczarniach ludzie, płonące miasta, żar ognia... Śniłem o ataku na Ostatnią Twierdzę, o Mulacium, Równinach. Bez żalu, współczucia, jakbym widział oczami Albany... Ona już nie jest człowiekiem.

– To tylko sny.

– Nie mogę się dłużej ludzić.

Niedźwiedź położył rękę na ramieniu przyjaciela. Nie umiał znaleźć słów, którymi mógłby go pocieszyć. Chwilę stali, moknąc w deszczu, wreszcie Jeździec odetchnął głębiej.

– Oni chyba myślą, że zwariowałem, kiedy co dzień rano wylewam sobie na łeb kubek zimnej wody – mruknął.

– A tak, podobno Sylus się dziwił. Reszta przywykła.

– Byłeś na Równinach? Co powiedział Valdal?

– Może pogadamy w środku? Nie lubię, jak mi kapie na łeb. I piwo czeka.

– Racja, wracajmy.

Po południu ledwo żywy ze zmęczenia Arebus zameldował się u Cala.

– Farsalos się broni – raportował. – Miasto płonie, ale ludzie tam uparci i pomoc mają.

Widziałem Jeźdźców na murach.

– A smoki?

– Są. Jedenaście albo dwanaście, ciężko policzyć. Latają nad miastem i ogniem plują, ale do murów się nie zbliżają, bo tam z łuków okrutnie szyją.

– Dobrze się spisałeś, Arebusie. Wszyscy cali?

– Tak jest.

– To idźcie się posilić i odpocząć.

Calmin porzucił papiery, którymi zasłane było jego biurko, i przeczesał palcami włosy. Kiedy tylko objął swój urząd, zewsząd zarzucono go sprawozdaniami, rejestrami, księgami. Po całym dniu takiej pracy zatęsknił za otwartą przestrzenią, zapachem dymu z ogniska, parskaniem koni. Wstał, otworzył okno i wciągnął do płuc wilgotne powietrze, wyprostował zgarbione plecy. Spojrzał na dziedziniec, gdzie zwiadowcy, otoczeni kręgiem ciekawskich, gestykulowali żywo. Opowiadali pewnie o Farsalos, broniących się mieszkańcach i o bestiach. Widzieli smoki, może także tego wyróżniającego się, złotego. Cal zacisnął zęby. Czas to zakończyć, pomyślał, muszę wiedzieć, zobaczyć na własne oczy...

Wrócił do biurka, ale zamiast zająć się papierami, włożył kaftan i wyszedł.

Jego Wysokość Falias rozmawiał z Garardem. To chyba nie było przyjemne spotkanie, bo chłopak miał skruszoną minę, a na policzku czerwony ślad po uderzeniu. Cal nagle poczuł współczucie dla młodzieńca, choć rozumiał też gniew Faliasa.

– Panie, są wieści z Farsalos – oznajmił, przerywając niemiłą scenę.

– Mów. Ty zostań – król ostrym głosem powstrzymał próbującego się wymknąć syna. – Jeszcze nie skończyliśmy.

Fen streścił raport Arebusa.

– Chciałbym wziąć z pięćdziesięciu ludzi i ruszyć na pomoc.

– Jesteś potrzebny tutaj. Wyślij Stevara albo braci – sprzeciwił się Falias.

– Mam dowodzić wojskiem, nie przekładać papiery – argumentował Calmin. – Muszę wiedzieć, z czym przyjdzie mi się zmierzyć.

Falias spojrzał przelotnie na zięcia, ale twarz Jeźdźca nie wyrażała żadnych uczuć. Niechętnie skinął głową na zgodę.

– Weź połowę moich gwardzistów i tych ochotników, którzy przyłączyli się do nas po drodze.

– Dziękuję, panie. Może i Garard pojedzie? Przyda mi się łącznik.

– Pozwól, ojcze – poparł go błagalnie młodzik.

– Nie, zostaniesz tutaj. Masz się przenieść do koszar i zameldować u komendanta razem z tą bandą, którą przywiodłeś.

Kiedy znaleźli się na korytarzu, Garard posłał Calowi krzywy uśmiech.

– Nie prosiłem cię o protekcję.

– Naprawdę potrzebny mi łącznik. Trudno, będę musiał wziąć Lovella.

– Według ojca ciągle jestem małym dzieckiem – uzalił się niespodziewanie chłopak. – Zostawił mnie w domu, żebym siedział z babami i zwijał wełnę w kłębki. A teraz odsyła do Stevara, jak do niańki.

– Jeszcze będziesz miał okazję zostać bohaterem. – Jastrząb poklepał go po ramieniu. – A trochę dyscypliny ci nie zawadzi. Bywaj.

– Powodzenia, Cal. – Młodzieniec zasalutowował i zawstydzony zbiegł szybko po schodach.

Oddział pięćdziesięciu ludzi podązał spiesznie po rozmięklej drodze wiodącej z Loenu do Farsalos. Im bliżej podjeżdżali, tym zapach spalenizny stawał się mocniejszy, a dym tworzył coraz bardziej nieprzeniknioną zasłonę. Było tak mroczno, że ogień trawiący miasto majaczył ledwie żarzącą się poświatą. Mimo to – w sporej odległości od murów – Calmin nakazał skrócić pomiędzy bezlistne, tłuste od sadzy zarośla. Tam pozostawili konie, a dalej ruszyli pieszo.

Przemierzyli świeżo zaorane pola, z trudem wyciągając nogi z mokrej ziemi, przemknęli pomiędzy kikutami drzew w sadach. Deszcz przestał wreszcie padać, mocniejszy podmuch wiatru rozwiął na chwilę dym. Groza zaparła im dech w piersiach.

Nad płonącym miastem unosiły się smoki. Nie zważając na chmury strzał wysyłane przez obrońców, wisiały w powietrzu, z rzadka poruszając skrzydłami, niczym złowrogie cienie na rozświetlonym niebie. Trudno było odróżnić barwy łusek, jakby światło nie miało do nich dostępu. Spowite obłokami dymu, plujące krwawymi płomieniami wyglądały niczym zwiastuny śmierci, narzędzie Bengh.

Żołnierze nie potrafili oderwać wzroku od rozgrywającej się tragedii. Oprzytomnieli, kiedy cuchnący tuman znów zasłonił niebo. Calmin przetarł oczy, jakby nie dowierzał zmysłom, zacisnął w pięści drżące dłonie. Przed taką potęgą nie sposób się bronić, podpowiadał mu rozum. Bestii nie pokona żadna strzała, żaden miecz. Jego ludzie chyba myśleli podobnie, bo na twarzach zastygł im wyraz beznadziejnego przygnębienia i strachu.

Na murach nagle podniosła się wrzawa. Jeździec zmusił się, by spojrzeć w tamtą stronę i w mroku dostrzegł iskrę, która rozgorzała jasnym światłem. Miotła się niespokojnie, kreśląc w powietrzu zawikłany rysunek, a potem spadła w dół, lecz nie zgasła. Cal bez namysłu rzucił się w jej stronę.

Pod okopconą ścianą leżał na wpół spopielony człowiek. Skórę miał szerniałą, pokrytą pęcherzami, twarz zastygła w wyrazie niewyobrażalnej męki. Gdzieś z góry słychać było przekleństwa i okrzyki wściekłości. Te głosy, pełne gniewu, tak bardzo ludzkie, pozwoliły Calminowi otrząsnąć się z szoku. Zarzucił na płonące ciało swój płaszcz, choć wiedział, że to tylko bezsensowny, symboliczny gest.

– Niech Oblicza Boże mają cię w opiece, niech sprawiedliwie policzone będą uczynki twoje – powiedział głośno.

Towarzysze z oddziału chórem powtórzyli tradycyjną formułę. Widać przyniosła im ulgę, bo ten i ów odetchnął głębiej i spojrział pytająco na dowódcę. Cal podniósł wzrok na mury i na nowo przyjrzał się spowitym dymem sylwetkom.

– Wracaj do Loenu, do Stevara – rozkazał po chwili Lovellowi.

– Niech każe budować balisty i zbierze belki i kamienie na pociski. Ani łuki, ani kusze nie dosięgną smoków. I niech zadba, żeby przy każdym domu stały beczki z wodą do gaszenia ognia.

– Tak jest – szczechnął Lovell i pognał w stronę pozostawionych koni.

– Czy ktoś zna Farsalos? Gdzie jest najbliższa brama?

– W lewo, panie. Trza minąć te sady. Zaraz za nimi jest rzeczka i Brama Rzeźników – odezwał się czyjś głos.

Przemknęli pod murami niczym zjawy i załomotali do drzwi strażniczej wieży, opowiadając się głośnym krzykiem. Niewyobrażalny, spotęgowany przez gorąco smród prawie zwałił ich z nóg. W środku tłoczyli się obrońcy – wyczerpani, brudni, poparzeni, odziani w strzępy. Jeden z nich podniósł się z trudem i podszedł do Cala.

– Kto wy? – spytał, lustrując ich zadziwiająco błękitnymi oczyma na tle okopconej twarzy.

– Z Loenu, na pomoc.

Mężczyzna prychnął.

– Nie spieszył się Arebus. Jestem Dedrak, komendant garnizonu. A ty kto?

– Calmin Fen, z Równin.

Zmęczona twarz komendanta na krótko rozpogodziła się.

– Aaa, kolejny Jeździec. Dobrze, dobrze. Twoi ziomkowie dzielnie stają. A jedzenie ze sobą macie? Nasze zapasy szlag trafił w tym gorącu, i woda się kończy.

– Mamy, podzielimy się.

Po chwili strażnica wypełniła się odgłosami szybko przełykanych racji i westchnieniami ulgi, kiedy spieczona gardła obmyła świeża woda.

– Jest trochę czasu, strzały trzeba pozbierać. Żeby tak więcej było smoczej łuski... – westchnął tęsknie komendant. – Taka zbroja to teraz skarb. – Pomacał pancierz Calmina.

– Macie łuskę? Ubiliście smoka?

– Jednego – beknął Dedrak. – Spadł na miasto, nie da rady go obłupie, tam wszędzie ogień. Ale jeden zdechł nad Czerwoną Rzeką. Stamtąd Jeźdźcy pierwsze groty przywieźli. Dzielni woje, aż żal, że w armii nie służą. Tyś chyba też nie żołnierz?

Zanim Cal zdążył odpowiedzieć, ktoś wrzasnął:

– Jeźdźcy wracają!

Z góry, wąziutkimi schodami, zeszło kilka obszarpanych postaci.

– Zmiana na murach – polecił komendant. – Weźcie lończyków, niech się opatrzą.

Cal spojrział na Jeźdźców. Mieli na sobie niedopasowane, cuchnące zgniłym mięsem fragmenty smoczej łuski byle jak powiązane rzemieniami. Nieosłonięte części ciała były pełne pęcherzy i ran, spod powyginanych, okopconych hełmów wystawały popalone włosy.

Jastrząb skłonił się przed nimi z szacunkiem.

– Calmin z klanu Fen? Pamiętasz mnie? Jestem Halim z klanu Jingu. Twoja żona uratowała naszą wioskę. – Młody Jeździec przepchnął się do przodu i zdjął hełm, pokazując twarz.

– Chan... – zaszemrali Jeźdźcy i odwzajemnili powitanie, przykładając palce do ust.

– Rad jestem, że cię spotykam. Valdał opowiedział o twoich zasługach. Jesteśmy na twoje rozkazy, chanie.

Cal aż poczerwieniał z przejęcia. Tytuł chana oznaczał wojskowego komendanta klanów i zasłużył na niego tylko Valadej, dowódca z czasów smoczej wojny. Dowód uznania ze strony współplemieńców zaskoczył go i uradował bardziej niż nominacja na głównodowodzącego wojskami Imeskarii. Sposepniał równie szybko, jak się rozpromienił. Nie było przy nim nikogo, z kim mógłby podzielić się radością.

– Dziękuję Radzie Starszych i wszystkim Jeźdźcom za ten zaszczyt – powiedział. – A teraz zaprowadźcie mnie na mury.

W ścianach półkolistej baszty wykuto okienka strzelnicze. Ukryci w głębokich wykuszach łucznicy strzelali prawie na oślep, byle tylko nie dopuścić bestii zbyt blisko. Wejście na mury prowadziło przez górną strażnicę. Z dołu można się było do niej dostać przez otwór w podłodze. Wąskimi szczelinami okiennymi do środka wdzierał się gryzący dym i blask ognia trawiącego miasto. Zamiast drzwi w ścianie ziała wybita dziura zasłonięta nierówno zbitymi deskami.

Z murów rozległ się ostrzegawczy krzyk. Czuwający przy wejściu obserwator odsunął zapórę i do wewnątrz wpadli zdyszani łucznicy.

– Atakują!

Ktoś pociągnął Calmina na podłogę. Upadł wprost na kamienie odpadłe ze stropu, przegryzł sobie język. Z ust spłynął mu strumyczek krwi.

W pomieszczeniu pociemniało. Strach chwycił Cala za gardło, pozbawił tchu, serce łomotało w obłądnym rytmie. Ogłuchł i oślepl. Nie słyszał pełnego przerażenia skowytu, który wyrwał mu się z ust.

Nagle do środka wdarły się płomienie. Pozostawiły nowe blizny na ścianach, osmałiły grzbiety rozplaszczonych na ziemi obrońców. Deski zasłaniające wejście rozpadły się. Baszta zatrzęsła się od uderzeń, pazury zazgrzytały na szarym wapieniu. Z góry posypały się belki i oblepione zaprawą gładzi. W szczelinach na moment błysnęło oko z pionową gadzią źrenicą.

Niespodziewanie wszystko ucichło.

Calmin przytomniał powoli. Z trudem stanął na czworakach i spróbował skupić rozbiegany wzrok na jednym punkcie. Dotknął leżącego najbliżej. Obrońca był martwy. Nie czuł już żaru tłącego się na plecach odzienia ani potwornego smrodu palonej skóry.

– Żyjecie? – szepnął Fen, odwracając wzrok od trupa. Ktoś jęknął, ktoś się poruszył. Z otworu w podłodze wysunęła się usmolona twarz.

Jeździec wstał, czepiając się ściany. Drżącymi rękami wyciągnął miecz. W głowie kołatała mu się tylko jedna myśl. Czy to była Albana? Czy zaatakował ich złoty smok? Nie słyszał ostrzeżeń. Przebrnął przez gruz i wyszedł na zewnątrz.

Blanki z wygodnymi strzelnicami były w większości zburzone. Szerokie na krok mury straszyły wyrwami. Trzeba było nie lada sztuki, żeby utrzymać równowagę na chybotliwych kamieniach. Po paru niepewnych stąpieniach Calmin zatrzymał się i spojrzał. Naprzeciw, na szerokiej galerii zbudowanej ponad łukiem bramy, stał smok. Łuski na jego grzbiecie miały matowy, szarawy kolor. Wielkie, przerażająco inteligentne ślepie błyskały krwawo, z otwartego pyska sterczały kły. Wysmukłe ciało było sprężone, skrzydła przylegały do boków, uniesiony ogon poruszał się jak balans.

Bestia wyciągnęła szyję, gotując się do ataku. Cal, któremu ulga na widok koloru łusek dodała sił i pozwoliła choć w części przełamać strach, uniósł miecz i wpakował ostrze w gadzie oko. Potężny ryk bólu i wściekłości wstrząsnął murami. Calmin wyszarpnął oręż, ale przewrócił się wprost pod wielkie łapy. Nie zauważył, że zawadził o ostry szpon i przeciął rzemienie wiążące zbroję. Smok przysiadł, chcąc go zmiażdżyć. Jaśniejsze podbrzusze nagle znalazło się tuż nad głową Jeźdźca. Nastawił miecz na sztorc i pchnął z całych sił. Ostrze nie dosięgło ciała, lecz uwięzło pomiędzy łuskami. Fen zdobył się na ostatni desperacki wysiłek. Odepchnął się piętami i udało mu się przesunąć bardziej ku przodowi. Rozwścieczony gad ryknął głośniejsz i opuścił odwłok.

Miecz wbił się aż po rękojęść, na Cala bluznęła posoka. Nie słyszał już trzasku pękających kości, nie czuł potwornego bólu.

Głęboko zraniona poczwara zaczęła się miotać na wąskiej grzędzie. Nie utrzymała równowagi, nie zdążyła rozłożyć skrzydeł. Spadła w lawinie kamieni i odłamków muru na bruk, pociągając za sobą Calmina.

Ze strażnicy wypadli żołnierze. Rąbali bez opamiętania dogorywającą bestię, póki jej ślepie nie zaszyły śmiertelną mgłą, a potem wydobyli spod gruzów zmaltretowane ciało swego dowódcy.

Złota smoczyca zawisła nad miastem, nasłuchując. Wszystkimi wyostrzonymi zmysłami

obierała jedno wielkie cierpienie, ludzkie cierpienie – ból, który godził w nią samą. Nie mogła tego pojąć. To było jeszcze gorsze niż wspomnienie oszalałej kobiety.

Zdezorientowane smoki nagle zaprzestały ataku. Ożywiająca je nienawiść przygasła. Latały wysoko nad płonącym miastem, beznamiętnie patrzyły na śmierć towarzysza, czekały.

Rozproszona nieoczekiwanymi emocjami złotołuska nie zauważyła, że czarna bestia zbliża się do niej. Oprzytomniała, kiedy poczuła na szyi ugryzienie. Ryknęła z wściekłości, ale smok nie przestał jej atakować. Zanurkowała, składając skrzydła. Niczym złota strzała przecięła powietrze i wyhamowała tuż nad ziemią. Czarny runął na nią, wczepił pazury w łuskowatą skórę, pociągnął w dół.

Spadły na wilgotną, zaoraną glebę. Szepiły się w walce. Złotołuska była mniejsza, słabsza. Po chwili rozpląszczyła się poddańczo na ziemi, żebrząc o życie. Samiec ryknął triumfalnie i wzleciał w górę, smoczyca podążyła za nim.

Stear kłął i burczał po swojemu:

– Balisty budować... Czy te tępaki wiedzą, jak wygląda balista? Plany im potrzebne, powiadają, drzewa brakuje. Cał pojechał zgrywać bohatera, a mnie znów niańką Gararda zrobili. Dlaczego mam się zajmować tym szczeniakiem? Niech babę wynajdą, żeby z nocnikiem za nim latała.

Mimo tych narzekań Niedźwiedź, ogólnie rzecz biorąc, był zadowolony. Rzemieślnicy marudzili, lecz wzięwszy wzory ze starych rycin, pełną parą produkowali katapulty i olbrzymie, naciągane korbą łuki, z których strzały wylatywały na niebosiężną wysokość. Żołnierze karnie ćwiczyli obsługę tych machin, a w wolnych chwilach strugali strzały i pomagali napełniać wodą z fosy beczki, stągwie i konewki. Nawet Garard nie sprawiał kłopotów. Bez szemrania spełniał wszystkie rozkazy, nie zważając na zaczepki. Jedyne, co niepokoiło Stevara, to brak wiadomości od Calmina. Wysłał nawet następny zwiad do Farsalos, ale zanim oddział powrócił, nastąpił atak.

Żadne relacje świadków nie mogły oddać grozy i nieszczęścia, które zgotowały bestie. Miasto zalały strumienie ognia, ulice i domy zamieniły się w śmiertelne pułapki. Ściany drżały od wściekłego ryku, krzyki ludzi mieszały się z głosami przerażonych zwierząt, trzaskiem spadających dachówek i załamujących się gontów. Zdawało się, że świat nagle oszalał.

Smoki zebrały straszliwe żniwo. Loęcznicy, pewni siebie po śmierci Zebona, nie opuścili domostw. Marli porażeni strachem, paleni żywcem, przygnieceni walącymi się ścianami. W jednej chwili stolica królestwa zamieniła się w olbrzymie cmentarzysko. Zgromadzeni na zamku obrońcy mieli więcej szczęścia. Ukryci w labiryncie korytarzy nie odczuli tak mocno porażającej siły smoczych myśli, uniknęli obłędu.

Kiedy ponure cienie zawisły nad miastem, Stevar akurat był na murach. I jego powalił strach. Wtulił twarz w wydeptane setkami nóg kamienie, osłonił głowę rękami, byle nie myśleć, nie czuć. Nie wiedział, że płomienie pełgają po jego kaftanie, ciało pokrywa się pęcherzami, płucom brakuje powietrza, że przygniata go ciężar czyjegoś ciała.

Po chwili – krótkiej jak uderzenie serca, a może tak długiej niczym eon – odzyskał świadomość. Wyczołgał się spod spopielenych szczątków, które go ocaliły, przetaił oczy. Ze zdumieniem zerknął na poparzone dłonie, strzepnął popalone włosy. Potem zwrócił wzrok na miasto.

Budynki płonęły. Gęsty dym spowił horyzont, przesłonił słońce. Gdziekolwiek, pomiędzy jęzorami ognia, widać było sylwetki ludzi biegnących jak oszalałe mrówki. Nagle w pobliżu

rozległ się głośny trzask. Zawalił się dach nad najwyższym zamkowym piętro.

Na ten widok Stevar wreszcie oprzytomniał. Zbiegł w dół, roztrącając stojących mu na drodze.

– Zamek się pali! – wrzeszczał. – Dawajcie beczki! Pali się!

Dziedziniec zaroił się od ludzi biegających bez celu, z szaleństwem w oczach.

– Na piętro! – krzyczał Stevar. – Idźcie do góry i podawajcie wodę. Garard! Dopilnuj, niech się ustawią rzędem, jak przy gaszeniu portu, pamiętasz! – ryknął, kiedy dostrzegł chłopaka.

– Ojciec!

– Ja się tym zajmę. Ty zostań.

Wbiegł do zamku. Komnaty i korytarze wypełniał dym i kurz. Niedźwiedź przeskakiwał po parę stopni, wołając coraz bardziej ochryple:

– Wasza Wysokość! Marszałku! Panie, żyjesz?

Z sali, która kiedyś była gabinetem, wyłoniła się przysypana popiołem i tynkiem postać Faliasa. Król utykał, ze zranionego uda płynęła krew, mimo to na widok Stevara machnęła lekceważąco dłonią.

– Nic mi nie jest! Ratuj Benektusa – krzyknął i pokuśtykał na dół.

Niedźwiedź pognął do sypialni koniuszego. Zmaltretowany, niezdolny samodzielnie uczynić kroku Benektus wyczołgał się z łoża i pełził po podłodze, nie zważając na wbijające mu się w ciało okruchy szyb, byle dalej od płonących belek, które spadły z sufitu. Ogień trawił już drogocenny arras, płomienie sięgały baldachimu, lizały rzeźbione kolumnienki łoża. Stevar dzwignął koniuszego, przerzucił go przez ramię i wybiegł.

Na schodach i wzdłuż korytarza ustawiła się służba i z rąk do rąk podawała sobie konewki. Z rozpędu ktoś chlusnął wodą na Niedźwiedzia i objającego mu się na plecach Benektusa. Obaj przywitani ten prysznic westchnieniem ulgi. Woda obmyła ich rany, złagodziła ból.

Chaos na dziedzińcu zmniejszył się nieco. Komendę nad przerażonymi ludźmi objął Kattes. Stevar zostawił pod jego opieką koniuszego, szmatami zerwanymi z jakiegoś nieboszczyka obwiązał pulsujące bólem ręce i pognął z powrotem na mury. Dopiero stojąc na ich szczycie, spojrzął w górę. Smoki unosiły się w powietrzu, zataczały koła, gotowały się do następnego ataku, obniżały lot, rozpościerając szeroko skrzydła. Gdzieś pomiędzy szarością nagle błysnęła złota łuska.

– Katapulty! – ryknął Stevar. Niepotrzebnie, bo żołnierze już naciągali liny, ładowali kamienie i wielkie strzały. – Jak tylko zejda niżej, strzelajcie! Szybciej, szybciej!

– Lecą! Tam, tam!

– Nie uciekać! Strzelać, kurwa, strzelać, potem się chować!

Niedźwiedź wyrwał kuszę jakiemuś opieszalemu gwardziściei wymierzył. Starł się zignorować ogarniającą go niemoc.

– Teraz – zawył i zwolnił cięciwę. Ci, którzy dotrwali do tej chwili, również wypuścili strzały, a potem pędem pobiegli do najbliższego korytarza.

Leśnym duktem jechał wóz po brzegi wyładowany smoczą łuską. Otaczała go kompania Jeźdźców, która na luźnych koniach wiozła taki sam cuchnący ładunek. Wąska droga kluczyła wśród drzew, drewniane koła podskakiwały na korzeniach, ale tędy wiódł najbezpieczniejszy szlak z Farsalos do Loenu. Gdyby nie wóz, Jeźdźcy pogoniliby wierzchowce, a tak wlekli się

noga za nogą i oganiali od much, które całymi rojami oblepiały odartą ze smoka łuskę.

Pomiędzy bezcennym bagażem umieszczono ze słomy i szmat wygodne legowisko. Spoczywał na nim Calmin Fen. Poparzone ciało miał owinięte bandażami, połamane żebra mocno ściśnięte, rękę w łupkach. Te rany, choć bolesne, nie były groźne. Najgorzej wyglądał ślad po smoczej posoce – wypalony do kości, jątrzący się. Krew bestii musiała zawierać w sobie truciznę, bo mimo okładów z gojących ziół i wzmacniających dekoltów gorączka ciągle trawiła zmaltretowane ciało, a skóra wokół siniąła i obumierała. Eskortujący swego chana Jeźdźcy znali się na leczeniu. Wiedzieli, że do Loenu dowiozą trupa.

Cal na przemian odzyskiwał i tracił świadomość. Kiedy był nieprzytomny, męczyły go majaki o kobiecie, której skóra błyszczała niczym roztopiona miedź, i smoku z zielonymi, figlarnymi oczami. Śnił o nienawiści, strachu, szponach szarpiących ranę. Gdy się budził, czuł niewysłowiony ból, potęgowany przez wstrząsy, a otaczający go smród powodował nieustające mdłości.

– Pozwólcie mi wsiąść na konia – jęczał.

Lecz Jeźdźcy nie zwracali uwagi na te majaczenia. Na postojach wlewali mu do ust parę łyżek strawy, poili ziołami sprowadzającymi sen. Nic więcej nie mogli zrobić. A kiedy ujrzeni smoki, lecące w stronę Loenu, i płonące miasto, podzielili się. Niewielka eskorta pozostała przy wozie, reszta wojowników podążyła na odsiecz stolicy.

Calmin obudził się po zmierzchu. Nie był świadomy rozgrywających się wokół wydarzeń. Jego ciało powoli przywykało do bólu, przestawało się przed nim bronić. Myśli krążyły wokół przeszłych wydarzeń. Czepiały się okruchów wspomnień – śpiewnych okrzyków równinnych kobiet, oszałamiających barw crystońskich kwiatów, połysku rudych włosów, dotyku wilgotnej skóry.

– Albana – jęczał. – Potrzebuję cię.

Część smoczej łuski zawalającej wóz zniknęła. Jeźdźcy zabrali ze sobą tyle, ile mogły udźwignąć konie. Rzucający się w gorączce Cal zsunął się z wozu i legł na mokrej od rosy trawie.

Złotołuska wciąż czuła wściekłość czarnego przywódcy. Na chwilę poddała się owej nienawiści, wskazała nowy kierunek ataku, a potem paliła, mordowała, paraliżowała myślą. Ale kiedy furia osłabła, znów usłyszała pełen cierpienia głos i poczuła nagłące, niedające się zignorować wezwanie. Podczas kolejnego uderzenia niepostrzeżenie odłączyła się od stada i kierowana echem słabnących myśli, ruszyła na poszukiwania.

Źródło niepokoju odkryła na niewielkiej polanie. Krążąc ponad nią, posłała w głąb jaźni czuwających istot nakaz głębokiego, podobnego do martwoty snu, a potem wylądowała na skraju przeswitu. Wyostrzone zmysły bez trudu odnalazły dręczyciela – śmiertelnie ранego człowieka.

– Dlaczego mnie prześladujesz? – spytała, wdzierając się w jego majaki, nie zważając, że nieoczekiwany myślowy kontakt może go przyprawić o szaleństwo.

Leżący mężczyzna otworzył oczy. Musiał znajdować się na skraju śmierci, w stanie, w którym rzeczywistość odchodzi, miesza się z fantazjami, gaśnie, bo widok wyszczerzonych zębów i zielonych oczu przeciętych pionowymi źrenicami nie zrobił na nim wrażenia. Wyciągnął rękę, jakby chciał odgarnąć połyskującą złotem grzywę, utworzoną ze skórnych wyrostków.

– Albana – szepnął. – Wróciłaś...

Smoczyca zbliżyła nozdrza do rozpłomienionej gorączką skóry. Wąski język posmakował kropelkę potu.

– Znam cię – odezwała się znowu. – Pamiętam ten zapach, smak. Kim jesteś? Dlaczego nie mogę cię zabić?

– Jestem Cal, nie pamiętasz? Piliśmy z Pucharu... Mąż i żona, na zawsze razem... Tak jak teraz...

Złotołuska nagle wdarła się głębiej w świadomość umierającego. Brutalnie drażyła pamięć, dotarła do najgłębszych zakamarków, ukrytych myśli. Mężczyzna nie protestował, może nie czuł penetracji, a może było mu wszystko jedno. Nie poruszył się nawet wtedy, gdy smoczyca pysk zbliżył się jeszcze bardziej, zęby zerwały bandaż. Niespodziewanie wilgotny język dotknął rozognionego boku, przesuwając się pracowicie w górę i w dół, a ciepła ślina kołata ból, usuwała martwą tkankę, zasklepiła poszarpaną ranę. Gdy w ciele mężczyzny nie pozostał najmniejszy śladu jadu, smoczyca wycofała się i zniknęła w ciemności.

Strażnik zbudził się nagle, czując na policzkach powiew wiatru. Gałęzie skrzypiały złowieszczo, wyprężone konie kwiczały. Pogroził im pięścią i wstał. Podlał krzaki, poprawił broń i spojrzął na wóz.

– O kurr... – zbulgotał nagle.

Posłanie było puste. Już miał wszczać alarm, kiedy na ziemi dojrzał zarys postaci.

Calmin Fen leżał pogrążony we śnie. Oddychał równo i głęboko, czoło miał chłodne, bez śladu gorączki. Pozrywane szarpie były mokre od rosy.

Wartownik obudził swych towarzyszy i wspólnymi siłami, ostrożnie, ułożyli rannego z powrotem na legowisku.

Wyskok na mury, wystrzelenie tyłu strzał, bełtów, kamieni, ile tylko się da, ucieczka, przeczekanie naporu ognia i paraliżu, który ogarnia ciało i umysł, szybki kęs jadła, łyk wody i znów atak. Po dwóch dobach nieustannego naporu bestii takie życie stało się rutyną.

Przybycie Jeźdźców obarczonych śmierzącym brzemieniem dodało wszystkim otuchy, tak samo jak dochodzący z podziemi łoskot młotów, którymi płatnerze i kowale usiłowali zamienić twardą jak skała łuskę w broń i pancerze. Nową nadzieję wlała w znękaną serca lończyków wiadomość o wyczynie Jastrzębia, który sam jeden pokonał smoka.

Tylko król, jego marszałek i Stevar wiedzieli, jak poważnie ucierpiał Cal w tej potyczce i zgodnie doszli do wniosku, że rozprowadzenie o jego agonii przysporzy szkody rosnącemu morale. Martwi bohaterowie nie byli potrzebni, należało wzorować się na żywych, zdolnych do noszenia broni, zwycięskich.

Falias z lękiem w sercu patrzył na Gararda, który ubrany w smoczą zbroję śmigał po murach zwinnie niczym wiewiórka.

Chciał dorównać Calminowi i jeśli nie zabić, to przynajmniej zranić bestię. Jednak smoki ulatywały wysoko, poza zasięg strzał i kamieni. Atakowały z zaciętą determinacją, jakby brały odwet za opustoszałą Ostatnią Twierdzę, za opór, który stawili Obdarowani w Mulacium, za swoich towarzyszy zabitych nad Farsalos.

Lończycy również walczyli zajadle. Ci, którzy przeżyli pierwszy straszliwy atak, nie mieli już nic do stracenia. Chcieli pomścić śmierć bliskich, zburzone domostwa, spalony dobytek. Z równą zaciętością bronili zamku. Za każdym razem, kiedy budowlę ogarniały płomienie, tworzyli łańcuch rąk podających sobie naczynia z wodą. I na gruzach zatykali królewski

sztandar z wizerunkiem miecza odcinającego smoczy łeb.

Falias rozumiał ten upór, dlatego nie godził się na opuszczenie coraz bardziej zrujnowanej siedziby i pokazywał pewne siebie oblicze. Co naprawdę czuł, wiedząc, że pomiędzy bestiami znajduje się jego córka – nie zdradził nikomu.

Podczas kolejnej przerwy między atakami – ukryci w świątyni, budynku, który jako jeden z nielicznych ocalał z pożogi – Kattes i Stevar słuchali sprawozdania kwatermistrzów i rzemieślników. Kończyły się zapasy drewna, skór, konopi, z których powroźnicy skręcali sznury, coraz gorzej było też z wodą. Ostatnie deszcze napełniły fosę, lecz miejskie studnie były zanieczyszczone. Postanowiono wreszcie, że pod osłoną nocy niewielki oddział wyprawi się do lasu, spenetruje najbliższe wsie. Wycieczka była niebezpieczna, bo co innego przemknąć cichaczem, w kilka koni, a co innego jechać wozami załadowanymi beczkami z wodą, drewnem i wszystkim, co mogłoby przydać się loęcznikom.

Mimo obaw drużyna wróciła bezpiecznie, kiedy świtał następny dzień. Smoki wolały atakować nocą, bo łatwiej im było schronić się w ciemnościach przed gradem strzał i bełtów. Nie dostrzegły małego konwoju, podążającego polnymi drózkami, kryjącego się w cieniu osmalonych krzaków. Zapasów nie było wiele, ale w przywiezionych beczkach chlupotała woda, a koła wozów skrzypiały pod ciężarem drewna. Konopi i skór nie udało się znaleźć. Z nawiązką rekompensował to zagarnięty po drodze wóz ze smoczą łuską. Kilku eskortujących go Jeźdźców z chęcią dołączyło do karawany. Nikt nie przyjrzał się dokładnie owiniętemu bandażami mężczyźnie.

Dopiero gdy zamglone, przysłonięte dymem słońce oświetliło twarz rannego, podniosła się wrzawa.

– Jastrząb wrócił – powtarzano sobie z ust do ust. – Bohater, pogromca smoka, chan.

Jeźdźcy eskortujący umierającego Calmina ze zdumieniem patrzyli na zasklepioną bliznę, bez śladu trucizny, na jego energiczne ruchy i ożywiony głos. Pomogli mu się ubrać, splekli włosy, ogolili i zaprowadzili przed królewski majestat.

Stevar, który przypadkiem był w pobliżu, na widok przyjaciela idącego o własnych siłach uścisnął go tak mocno, że ten aż jęknął.

– Wystarczy, mam połamane zębra. Przestań, u licha, Niedźwiedziu – protestował Fen.

Zawstydzony komendant wypuścił go i ukradkiem otarł kilka łez, które stoczyły mu się po policzkach.

Cal skłonił się przed królem sztywno, nienaturalnie. Złamana ręka sterczała jak kikut.

Falias poklepał zięcia po ramieniu.

– Rad jestem, że wróciłeś. Właściwie straciliśmy nadzieję, Jeźdźcy mówili, że... – Zamilkł, kiedy uświadomił sobie obecność pilnie słuchających poddanych.

– Twardy mam żywot – uśmiechnął się blado Cal. – Ale jestem mocno pokiereszowany. Nie dam rady walczyć.

– Ważne, żeś żyw, chanie – włączył się Halim. I nieoczekiwanie zakrzyknął głośno: – Wiwat Jastrząb, wiwat smokobójca!

Pomiędzy radosnymi okrzykami wybił się ostrzegawczy wrzask.

– Lecą! Lecą!

Tłum rozpierzchnął się w jednej chwili. Calmin pokuśtykał za królem do tunelu pomiędzy murami. Podczas służby na zamku nieraz dziwił się ich konstrukcji. Ściany z kamieni opasujące miasto ułożone były w odległości dwóch kroków od siebie, a na zwieńczeniu połączone wygodnym przejściem. Bez strzelniczych otworów, z wejściami od strony

dziedzińca rozmieszczonymi co kilka prętów i drabinami prowadzącymi na górę. Wszystkie korytarze wraz z basztami tworzyły bezpieczny labirynt. W dawniejszych, spokojnych czasach stanowiły idealne schronienie dla pijanych gwardzistów, leniwych posługaczy czy spłoszonych kochanków. Teraz pomiędzy murami gnieździł się obrońcy, a szeroki zewnętrzny parapet pozwalał na ustawienie machin miotających.

W panującym tłoku Jeździec nie mógł usiąść, przeszkadzały mu połamane żebra, stał więc pod ścianą, oddychając ciężko. Rany dawały mu się we znaki bardziej, niż gotów był przyznać. Usłyszał smoczy ryk i dreszcz przebiegł mu po krzyżu, ale nie zamknął oczu, wparł się tylko mocno plecami w szorstkie kamienie.

Nagle zdał sobie sprawę, że jako jedyny pośród gromady ludzi zdolny jest do wykonania jakiegoś ruchu. Spojrzał na siedzącego obok Stevara.

Niedźwiedź trzymał się za głowę, jakby chciał zdrapać ledwo przyschłe strupy albo wyrwać resztki popalonych włosów. Zawodził przy tym głosem, którego Calmin nigdy wcześniej u niego nie słyszał. Inni zachowywali się podobnie. Siedzieli skuleni, jęczeli lub płakali sparaliżowani smoczym strachem.

Nie boję się, pomyślał zdziwiony Jeździec. Czyżby... Nie, tamto było tylko snem, zwidem wywołanym gorączką, uspokajał sam siebie.

Koszmar powoli ustępował. Obrońcy ocierali łzy, rozprostowywali zdrętwiałe mięśnie. Mury znów zaroily się od żołnierzy. Fen zatrzymał Stevara.

– Pokaż mi linie obrony. Nie mogę walczyć, więc może przydam się gdzie indziej.

Powoli ruszyli wzdłuż obronnych stanowisk, ale Calmin właściwie nie słuchał wyjaśnień komendanta.

– Powiedz, Niedźwiedziu – zaczął z wahaniem. – Dostrzegłeś...

– Złotego smoka? Tak, zaraz na początku, pierwszego dnia.

– A teraz, dzisiaj albo wczoraj w nocy?

– Przecież widzisz jak tu jest, wszędzie dym, pożary, kurz z walących się domów. A ty?

– Sam nie wiem – wyznał Jeździec – Śniłem, że przyszła do mnie, chciała zabić... A w końcu uleczyła rany, ocaliła...

Stevar zatrzymał się. Położył ręce na ramionach przyjaciela.

– Daj sobie z nią spokój, Cal. Kobiety, którą kochałeś, już nie ma – powiedział szorstko. – Musisz się z tym pogodzić, inaczej oszalejesz.

– Tak, masz rację – przyznał po chwili Calmin. – To wszystko koszarne sny.

Złota smoczyca nie zwracała uwagi na sygnały wzywające ją do powrotu, coraz gwałtowniejsze impulsy wściekłości i przymusu. Zamknęła się przed nimi, ukryła. Siedziała w rozpadlinie osłoniętej zrudziałymi paprociami i rozmyślała.

Spotkanie z umierającym mężczyzną pobudziło ukryte głęboko wspomnienia. Zapach końskiego potu, trawy i ziół, smak jego skóry przywodził na myśl obrazy, których nie powinna znać, pamiętać. Imię, które jej nadał, niepokoiło, było znajome, bliskie. Mimo że bardzo się starała, nie potrafiła odnaleźć źródła budzącego te odpryski uczuć, sięgnęła więc do myśli, które wydarła konającemu.

Wpierw odszukała ową Albanę, nazwaną przez mężczyznę żoną – młodą kościstą dziewczynę o czerwonych, splątanych włosach, których kosmyki odgarniał z czoła. Kobieta wirującą w zmysłowym tańcu, a potem wtuloną w jego ramiona. Słowa – kocham cię, Albano. Rozjarzone zielenią oczy, nogi szare od popiołu i chrapliwy, nabrzmiały od łez głos pytający:

dlaczego?

Z tymi okrucami wspomnień wiązały się inne. O drobnej kobiecie przesłoniętej dymem i płomieniami, wołającej o pomoc. Mężczyznach skradających się leśnych szlakiem, zabitej dziewczynce z pokrwawionymi udami, olbrzymie burczącym pod nosem. I chłopcu, nieśmiałym wyrostku skąpanym w nierzeczywistym ogniu.

Nie wchodź tam, coś w niej krzyknęło. Jarik, uważaj!

Zagubiła się w labiryncie zdarzeń, mnogości imion. Mimo to musiała dobrnąć do końca, zrozumieć, choć obrazy kaleczyły ją, sprawiały jej ból. Jak choćby ten, w którym obłąkany starzec bełkotał: Smocza dziwka, zdradzi was, oszuka... I ten najgorszy – ślad pazurzastej łapy odcisnięty na piasku i porzucony flakon.

Nagle wszystkie te oderwane fragmenty, obce nazwy, znalazły miejsce w jej świadomości. Zrozumiała, kim była. Kim jest.

Prawda nie przyniosła ulgi, nie była wyzwoleniem.

Cierpienie, jakiego doświadczyła podczas przemiany w smoka, było niczym wobec bólu, który przeżywała teraz. Pamięć podsuwała jej obrazy nieszczęść, które sprowadziła – Jarika, zabitego przez jej obojętność, Lavallę, Ostatnią Twierdzę, Mulacium, Równiny, Tarkass, Farsalos... I Loen. Stolicę królestwa, którym władał jej ojciec, gdzie walczył brat, mąż, przyjaciele.

Krzyczała, lecz z jej ust wydobywał się ryk, płakała, ale ślepiea pozostawały suche. Żal człowieka nie mógł cofnąć smoczych czynów, przywrócić życia, naprawić krzywd. Nawet gdyby udało jej się odzyskać dawną postać, jak mogłaby stanąć przed Calem, ojcem, Garardem?

Mijały godziny, szarość świtu ustąpiła jasności dnia, a potem czerni nocy i znów dnia. Zagrzebana w opadłych liściach smoczyca nie zważała na krzątanie pospiesznie wyrabujących drzewa ludzi, na stłumione okrzyki. Ciągle wracała do przeszłości, odsuwając chwilę, gdy będzie musiała zdecydować, co zrobić dalej.

Każda z zagmatwanych ścieżek jej losu wydawała się mieć swój początek w Smoczym Pakcie, umowie spisanej ze smokami przez króla Forsytha. To, co wcześniej tylko przeczuwała, okazało się prawdą – teksty różniły się między sobą. Smoki obiecywały zemstę, zapowiadały nadejście odnowiciela, w którego stworzenie zaangażowały wszystkie siły życiowe i magiczne. Forsyth musiał przeczuwać podstęp, bo zabezpieczył się najlepiej, jak potrafił. Wymordował Obdarowanych, potencjalnych smoczych sprzymierzeńców, ukrył pozwalający na przemianę specyfik, obwarował miasta. Spokój trwał przez wieki i być może losy dwóch ras nie skrzyżowałyby się ponownie, gdyby nie ona... W chwili kiedy przecięła więzy Emausa i Zebona, los królestwa był przesądzony. Kamyczek po kamyczku lawina zdarzeń zaczęła się toczyć, miażdżąc wszystko, co napotkała na drodze. Lavalla musiała ocaleć, król umrzeć, Zebon przejąć władzę. Nieuchronne stało się otwarcie szkatuły i posmakowanie smoczej trucizny.

Torturowała się tymi myślami, obarczała się winą za każde zdarzenie i próbowała znaleźć dla siebie miejsce w rzeczywistości, którą nieodwołalnie zmieniała. Lecz każde rozwiązanie niosło za sobą cierpienie dla tych, których kochała.

Wreszcie podjęła decyzję. Wypęzła z kryjówki, rozpostarła skrzydła i wzbiła się w powietrze, kierując się ku Loenowi.

Obdarowani zbliżyli się do stolicy na tyle, że widzieli już łunę pożaru. Od chwili

opuszczenia Mulacium wędrowali po opustoszałych drogach, kryli się w lasach, gotowi pomóc znękanym ludziom. I za każdym razem przybywali zbyt późno. Z daleka widzieli pożar równinnych traw, pomagali grzebać trupy w Tarkass i Farsalos. Teraz nareszcie mieli szansę włączyć się do walki. Dlatego, choć zmęczeni, głodni i zziębnięci, przyspieszyli krokiem weszli do miasta.

Stear przywitał ich niczym zbawców.

– Każda para rąk się przyda – powiedział. – Od gońca Rhodesa wiem o waszych zasługach. Posilcie się, spocznicie, a kiedy będziecie gotowi, przyjdźcie na mury.

Zabrał Dolida i zaprowadził do Calmina. Jeździec, usłyszawszy jego imię, uważnie spojrzał na zeszpeconą blizną twarz, na wysoką sylwetkę. Nie spodobała mu się. Na podstawie słów Albany wyobrażał go sobie jako leciwego staruszka, równego wiekiem Sajronowi, a nie pełnego sił, przystojnego mężczyznę.

– Witaj w Loenie, bibliotekarzu nieistniejącej biblioteki – odezwał się w końcu, próbując zwalczyć niechęć.

Dolid zamarł w zdumieniu, a Stevar z rozmachem palnął się w czoło.

– Jasne, jesteś tym żołnierzem z Ostatniej Twierdzy. Więc jednak udało się wam uciec.

– Skąd tyle wiecie? Ktoście wy? Obdarowani?

– To Jastrząb, chan Jeźdźców, dowódca królewskich wojsk – dokonał prezentacji Niedźwiedź.

– Tyś jest Jastrzębiem? Jak to możliwe? Rhodes mało mnie nie wykastrował, kiedy dowiedział się, że zabiła cię jedna z nas – gorączkował się bibliotekarz.

Stear przyjaźnie poklepał go po plecach.

– To była sztuczka, która miała omamić wzrok.

– Więc Albana żyje? Gdzie jest?

– A tobie co do tego? – spytał Cal, porzucając pozory uprzejmości.

– Ona jest najpotężniejszą Obdarowaną w Imeskarii. Coś z nią zrobił, głupcze? – rzucił się Dolid.

Oczy Jeźdźca zmieniły się w wąskie szpareczki.

– Moja żona chadza własnymi drogami – oznajmił lodowato.

– Żona? – powtórzył zaskoczony bibliotekarz. – Więc ty jesteś chłopcem, którego poślubiła...

– A ty durniem, który pozwolił jej na podróż do Celebonu! Omal nie zginęła przez twoją bezmyślność.

Dolid poczerwieniał nagle, blizna na jego twarzy zapulsowała gwałtownie. Niedźwiedź przezornie stanął pomiędzy nim a przyjacielem.

– Zaprowadzę cię do Briana, tam przydasz się najbardziej – powiedział i niedwuznacznie popchnął gościa w stronę drzwi. – Chodźmy, szkoda czasu na próżne gadki.

Wyszli. Cal rzucił za nimi dosadne przekleństwo.

Obrońcy z trudem pogodzili się z obecnością czarowników, ale nie śmieli sprzeciwić się rozkazom. Sam król przemówił za nimi, wykazując zasługi, lecz prości ludzie nie umieli tak od razu wymazać z pamięci pełnych oskarżeń i nienawiści słów kapłanów. Jednak Obdarowani szybko udowodnili swoją przydatność w walce. Dzięki ich mocom łatwiej było przetrwać kolejne ataki, zmierzyć się ze smoczym strachem. Najpełniej docenili tę nieoczekiwaną pomoc bezpośrednio zaangażowani w potyczki.

Budowana przez lata bariera nieufności powolutku zaczęła się kruszyć. Tylko Jastrząb unikał obszarpanych, zdeterminowanych czarowników.

Złota smoczyca zaatakowała zniecka. Celowała w skrzydło, rozcapierzonymi pazurami rozdarła lotną błonę, przeorała bok. Czarny smok rzucił się jej do gardła. Dwa potężne cielska splotły się w morderczym uścisku.

Złotołuska odskoczyła, kiedy zęby samca wbiły się w jej szyję, wyrwały kawałek mięsa. Zaczęła okrążyć przeciwnika, czekając na dogodną okazję.

Czarna błyskawica wystrzeliła w górę, a potem opadła w dół. Złota uchyliła się i wykonała potężny zamach ogonem. Chwilę potem ryknęła z bólu, bo potężne szczęki wgrzyły się w jej ciało. Wykręciła głowę i plunęła ogniem wprost w płonące żądzą mordu ślepie.

Obdarowani pierwsi zauważyli, a raczej odczuli ten pojedynek. Nienawiść, którą emanowały smoki, prawie zwała ich z nóg, pozbawiła przytomności. Obrońcy patrzyli zdumieni na ślaniających się czarowników. Wezwano Stevara, a Lovell pobiegł po Jastrzębia.

– Co się z nimi dzieje? Poszaleli? – mrucał Niedźwiedź, szarpiąc leżącego najbliżej.

Cal, poprzez zasłonę dymu, wypatrzył śmigające w górze ciała.

– To nie był sen – powiedział do siebie. – Nie strzelaj! – wrzasnął, kiedy Stevar wziął ciężką kuszę i wycelował w niebo. – Widzisz przecież, że walczy z tym czarnym! Może choć na chwilę odzyskała świadomość.

Podszedł do otumanionego czarownika i z całej siły chlasnął go w twarz.

– Oprzytomnij! Musisz jej pomóc! – krzyknął.

– Komu... Komu mam pomóc? – wybełkotał Obdarowany.

– Ten złoty smok to Albana. Znałeś ją przecież... Potrafisz do niej dotrzeć?

– Cal, czyś ty oszalał? Skąd wiesz, że ona odzyskała zmysły. Może bije się o przywództwo.

Wspomożemy ją, a ona nas zniszczy.

– Nie! Nie! Popatrz!

Smoczyca, której łuski na chwilę rozbłysły w słońcu niczym najczystsze złoto, opadała w dół. Desperacko machała wielkimi skrzydłami, żeby odzyskać równowagę, ale brakowało jej sił. Czarny smok zawisł nad nią, gotując się do ostatniego, śmiertelnego uderzenia.

– Pomóż jej! Ona nie może zginąć, nie tak...

Mężczyzna zatrzymał rozbiegany wzrok na złotołuskiej, dotarł do jej umysłu.

– Albana – szepnął wstrząśnięty. – To naprawdę ona.

Echo jego myśli dotarło do Obdarowanych. Wszyscy skupili całą siłę swoich Darów.

– Strzelajcie do czarnego! – krzyknął Cal.

Grad strzał poszybował w stronę nurkującego smoka, ale atakowany nie zatrzymał się w locie, nie umknął na bezpieczną wysokość. Ryczał w pędzie tak straszliwie, że trzęsły się ściany.

Opadająca smoczyca nagle zawisała nieruchomo, jakby godząc się z nieuniknionym. A kiedy przeciwnik był tuż, wzniosła się pionowo, przywarła do niego, zamknęła w uścisku. Zaciśnęła zęby na szyi, rozorała podbrzusze. Samiec wczepił się pazurami w złocistą grzywę i obie bestie spadły na ziemię.

Od potężnego wstrząsu posypały się kamienie, zadrżały mury. Nieliczne ocalałe płyty, którymi wyłożony był dziedziniec, wybrzuszyły się i pękły z trzaskiem. Runęło nadwężone ogniem wschodnie skrzydło zamku. Cal tego nie widział. Biegł, nie zważając na ból w piersiach, przeskakiwał nad kupami gruzu, roztrącał stojących mu na drodze ludzi.

– Strzelajcie do reszty! – darł się Stevar, wskazując zniżające lot pozostałe smoki. – Strzelajcie, cholera! Gapić będziecie się potem!

Jastrząb był już na dolnym dziedzińcu, gdzie trzymano konie. Kilka było osiodłanych, gotowych w każdej chwili ponieść na grzbietach posłańców. Wziął pierwszego z brzegu i przeprowadził przez rumowisko belek i kamieni. Za bramą z trudem wspiął się na siodło i ruszył galopem.

Po przeciwnej stronie miasta Dolid słuchał nieskładnych wyjaśnień Obdarowanego Janusa. Kiedy wreszcie zrozumiał, w czym *rzecz*, i on pognał w stronę, gdzie spadły smoki.

Wierzchowiec Cala nagle zarżał, a potem zarył kopytami w miejscu. W powietrzu czuć było słodkawy zapach krwi, mieszający się ze swądem spalenizny i żywicy kapiącej z połamanych gałęzi.

Wielkie, czarne cielsko drgało w agonii.

Calmin zsunął się z konia. Złapał miecz w zdrową rękę i w amoku zaczął ciąć i rąbać dogorywającą bestię. Nie czuł bólu, nie zważał na krople posoki spływające po pancerzu.

– On już nie żyje.

Czyjeś ręce złapały go za ramiona i unieruchomiły, wyjęły broń.

– Jest martwy. Poszukajmy Albany.

Cal szarpnął się, niemal przewracając siebie i przybysza. Ten podtrzymał go, odwrócił.

– To ja, Dolid, poznajesz mnie, Jeźdźcu?

Fen wyrwał się z jego uścisku i ruszył przez okaleczony las. Bibliotekarz poszedł za nim, wypatrując śladów złotej łuski. Ale to nie smok leżał na trawie, lecz poraniona, okrwawiona kobieta.

– Albana.

Calmin ukląkł przy niej, odgarnął zmierzwione włosy z czoła. Pogłaskał podrapany policzek.

– Albana.

Powieki drgnęły. Zielone oczy były szkliste, wargi poruszyły się w leciutkim drzeniu.

– Cal...

– Cii, już wszystko dobrze.

– Zimno...

Stojący obok Dolid ściągnął kaftan i podał go Jeźdźcowi, a ten okrył ją troskliwie. Szarpnął za rzemienie zbroi, chcąc ją ściągnąć, odrzucić precz, by przytulić kobietę, którą ukochał ponad wszystko. Zielony medalion wysunął się zza pazuchy. Zdjął go i położył na piersi żony w bezsensownym geście. Uśmiechnęła się słabo.

– Czy... on nie żyje?

– Tak. Pokonałaś go.

– Pomogliście mi, czułam... To wszystko przeze mnie...

Oddychała coraz ciężiej, oczy nie mogły już skupić się na jednym punkcie. Cal potrząsnął drżącym ciałem.

– Nieprawda! Wygrałaś, jesteś człowiekiem! Uratowałaś mi życie...

– Kiedy umrę... tamte... pokonacie je...

– Jesteś silna, potrafisz się uleczyć.

– Nie mogę, nie chcę...

– Nie, Albana, nie! – krzyknął, ale kobieta już go nie słyszała.

Skonała.

Calmin przytulił jej ciało, kołysał w ramionach, gładził rozrzucone włosy. Dolid skłonił głowę, żegnając zmarłą i zniknął pomiędzy drzewami. Oparł się o złamany w pół pień i zapłakał.

Zaczęło już szarzeć, zimne jesienne słońce niknęło za horyzontem, kiedy Cal wypuścił z objęć wystygłe zwłoki. Niczym pogrążony w transie zaczął zbierać gałęzie. Po chwili dołączył do niego bibliotekarz. Kiedy stos był gotów, ułożyli na nim ciało Albany. Dolid wskazał na medalion, który miała oplątany wokół palców.

– Powinieneś go zabrać. Będzie ci ją przypominał taką, jaka była naprawdę.

Cal milczał.

– Jeśli go nie chcesz, pozwól, że ja go zabiorę. Nie patrz tak... Kochałem ją. Nic w tym złego...

Po chwili wahania Jeździec zabrał medalion i włożył na szyję. Po raz ostatni pocałował chłodne usta, pogładził splątane włosy. Potem podpalił żagiew i wsunął pomiędzy gałęzie. Ogień najpierw leniwie pełgał po wilgotnym drzewie, aż wreszcie zapłonął gwałtownie i objął leżącą.

– Spełniło się twoje przeznaczenie, Albano da Fen, z rodu Kylana – szepnął. – Żegnaj.

Krażące nad Loeniem smoki skupiły się w gromadę. Opadały coraz niżej i niżej.

Skupieni na murach obrońcy strzelali bez ustanku, powietrze było czarne od bełtów i kamieni. Zniknął gdzieś paraliżujący ruchy strach. Ludzie wreszcie mogli dokonać zemsty.

Rankiem następnego dnia wrócił Dolid. Falias przyjął go bez zwłoki. Za nimi do świątyni wcisnął się Stevar i zdyszany Kattes.

– Albana da Fen nie żyje – oznajmił bibliotekarz. – Skonała w ramionach męża.

Król odszedł w głąb bożnicy, tam gdzie stał posąg Boga o Wielu Obliczach. Na sierpie Bengh wciąż widać było krwawe ślady. Zapatrzył się na rzeźbione twarze, może próbował znaleźć pocieszenie w kamiennych oczach.

Wszyscy uszanowali to ciche cierpienie. Kattes zaczął szeptać modlitwę. Wreszcie Falias odetchnął głębiej.

– Mów – poprosił głucho. – Co tam się wydarzyło?

Dolid opowiadał załamującym się głosem. O smoczym ścierwie, o przemianie Albany, o jej śmierci i stosie, na którym spłonęła. A kiedy skończył, wyciągnął zza pazuchy zmięty papier.

– Calmin Fen prosił, żeby ci to dać, Wasza Wysokość.

Falias wziął zwitek i rozłożył niecierpliwie. Z jednej strony zapisano jakiś stary meldunek, z drugiej ledwo widoczne koślawe litery, spisane kruszącym się rudawym inkaustem, układały się w słowa:

Przekazuję wszystkie prawa należne mi z racji małżeństwa z Albaną, córką Faliasa z rodu Kylana na rzecz Gararda, syna Faliasa z rodu Kylana i jego potomków.

Calmin, syn Dalali z klanu Fen, Jeździec Równin Marth

– Jak to? – wybuchnął Niedźwiedź. – Tak nie może być. Gdzie jest Cal?

– On po prostu... On odszedł.

– Odszedł? Dokąd?

Bibliotekarz pokręcił głową. Na zmęczonej, ściągniętej smutkiem twarzy wyraźnie odznaczała się poszarpana blizna.

– Nie wiem. Prosił, żebyśmy was pożegnał w jego imieniu.

– Nie! – krzyknął Stevar. – Trzeba go odszukać! Ruszę zaraz, przywiozę go z powrotem...
– Uszanuj jego wolę, nie jedź za nim – powstrzymał go Dolid. – Nie dla niego są teraz zaszczyty.

– Racja, nie nękałmy go – włączył się Falias. – Calmin musi odpocząć, uporządkować swój świat na nowo. Tak jak my wszyscy. Kiedy ta bitwa się skończy, kiedy już pochowamy i opłaczemy naszych zmarłych, czeka nas dużo pracy. Odbudujemy to, co zburzone, urodzą się nowe dzieci, taki jest porządek rzeczy. Przed nami jeszcze wiele, wiele dni.

KONIEC